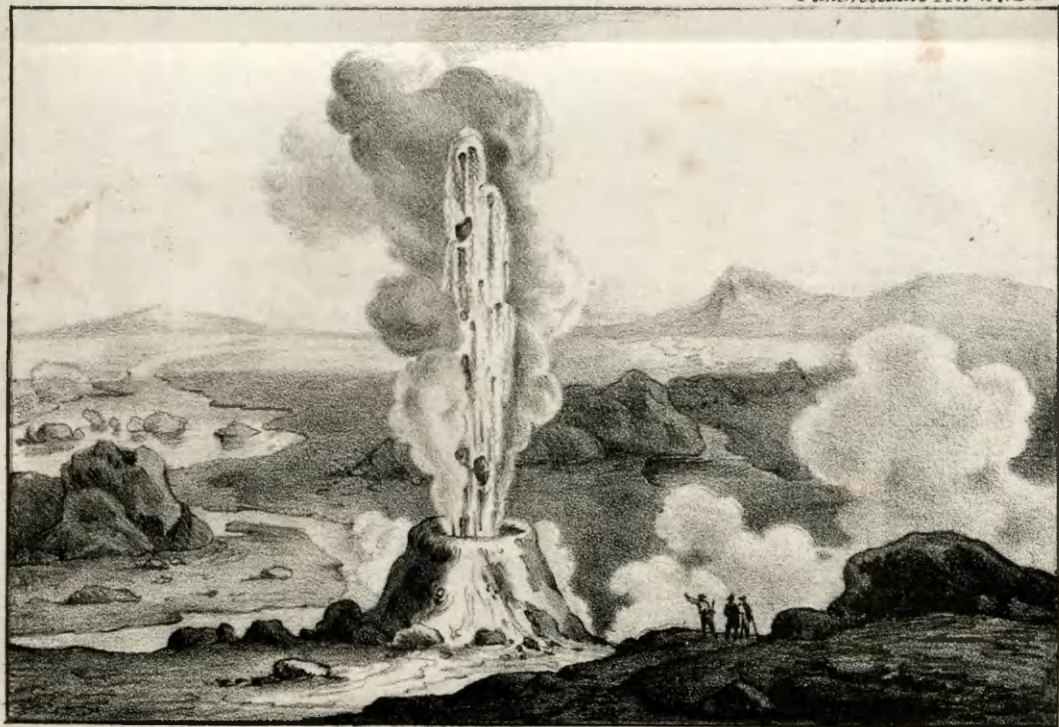


Cz 612



Geyser wulkan wodny w Islandji

w. Lito. T. V. 1788

KOLUMB

PAMIĘTNIK

Opisom podróży lądowych i morskich, najnowszych odkryć jeograficznych, wiadomościom statystycznym, oraz z temi w styczności zostającym, poświęcony.

ROK PIERWSZY.

TOM IV.

Październik, Listopad, Grudzień.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



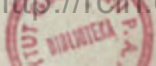
W WARSZAWIE.

Nakładem Redakcji.

W Drukarni JÓZEFA WĘCKIEGO.

1-8-28.

<http://rcin.org.pl>



Pamiętnik ten wychodzi co dni piętnaście, to jest 1 i 15 każdego miesiąca w objętości $3\frac{1}{2}$ do 4 arkuszy w 8ce, z dołączeniem w miarę potrzeby rysunków, mapp i t. p. Cena prenumeraty kwartalnie w Warszawie złp. 9 — na prowincji złp. 12. — Cena tomów I. II. i III. z kwartałów zeszłych jest w Warszawie złp. 27. na prowincji złt 36.

Główny Kantor Pamiętnika jest w handlu KUHNIK przy Ulicy Senatorskiej w domu Petiscusa, gdzie oraz przyjmują się z wdzięcznością wszelkie artykuły, zgodne z celem pismu zamierzonym, do umieszczenia nadsyłane, oraz korespondencje franco pod adresem: Do Redakcji Pamiętnika Kolumb.

Przyjmuje się prenumerata w Warszawie w Xiegarniach: GLUCKSBERGA, przy Ulicy Miodowej — BRZEZINY, tamże, — HUGUES i KERMEN, tamże. — WECKIEGO, przy Ulicy Krakowskie przedmieście w pałacu Potockich — SZTEBLERA, w domu Towarzystwa Przyjaciół nauk — CIECHANOWSKIEGO, przy Ulicy Podwał — tudzież w handlu KELICHEN, na przeciw Arsenалу. Na Prowincji składać można prenumeratę na wszystkich pocztamtach i stacjach pocztowych Król. Polskiego, oraz w Lublinie, w xiegarni Towarzystwa przyjaciół nauk Lubelskiego — w Radomiu: w handlu J. SCHWARTZA. — w Kaliszu u W. RUTKOWSKIEGO P. Pisarza S. P. P. Kal. — Za granicą na pocztamtach — oraz w Krakowie u A. GRABOWSKIEGO. — we Lwowie: u PFAFFA.



K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{ro} 19.

Z PIERWSZEJ POŁOWY PAŹDZIERNIKA 1828 ROKU.

I.

ZYCIE i PODRÓŻE KRZYSZTOFA KOLUM-
BA przez WASHINGTONA IRVING. 4 To-
my in 8 w Londynie 1828.

(*Dokończenie.*)

»Ciekawą jest rzeczą, mówi P. Irving, uważać pierwsze ślady cywilizacji w nowym świecie. Ludzie, których Kolumb tam zostawił od czasu pierwszej swej podróży, byli (według wyznania hiszpańskiego pisarza Ovieda) wyjąwszy ich naczelnika Don Diega Arana i jednego lub dwóch innych, bardzo mało usposobieni do postępowania za prawidłami rostopności i przy stojności. Byli to awanturnicy, pochodzący z najnikczemniejszej klasy ludu, lub majtkowie burzliwi, nie zdolni powściągnąć swoich rozwią-

tym sposobem przeciw drugiemu wyraźnemu rozkazowi Kolumba, aby nie wychodzić za granicę kraju przychylnego Guacanagari. Prowincja Magnana, do której się udali, położona była pośród wyspy i rządzona przez sławnego Coanobo, którego Hiszpanie mianowali *Panem domu złotego*. Ten wódz wstawiony był z rodu Karaibów, i posiadał całą nieugiętość i odwagę ludzi tego narodu. Przybywszy początkowo bez celu do wyspy, potrafił przez swoją zręczność i nieustraszonosć taką zjednać sobie powagę u prostych i nie bardzo wojowniczych Haitjanów, że stał się nareszcie najpotężniejszym z ich Kacyków. Chwalono jego czyny wojenne, i wszyscy krajowcy szanowali i lękali się go z powodu, że był z rodu Karaibów. Coanobo bohater tego dzikiego świata, używał był tym sposobem od niejakiego czasu swojej władzy, gdy okręty białych tak niespodzianie zjawiły się przy brzegach. Dziwne powieści o potędze i znakomitych dziełach cudzoziemców, wzbudziły w nim naówczas podziwienie; był on aż nadto przebiegłym, iżby nie miał uczuć zaraz, że jego znaczenie i władza, musiały upaść koniecznie obok tak strasznych zdobywców. Odjazd Kolumba uspokajał go nieco, łudził się odtąd myślą, iż ta czasowa wyprawa, nie miała na celu zawojowania tych krajów na stałe osady. Rozpuсты, zbytki wszelkiego rodzaju, a nadewszystko kłótnie Hiszpanów pomiędzy sobą, wzmacniały jego na-

dzieje. Jakoż od tego czasu, kiedy Gutierrez i Escobido oddalili się z swymi towarzyszami do swoich siedzib, mniemał on, że jest pewnym tryumfu nad obrzydłymi cudzoziemcami i że zdoła wyspę oswobodzić. Kazał pojmać tych zbiegów, którzy natychmiast śmiercią byli ukarani; zgromadzając następnie wojowników swoich potajemnie, i porozumiawszy się z Kacykiem Marjonu, którego kraj dotykał od ściany zachodniej do ściany kraju Guacanagara, postanowił zająć z nienacka fortece. Zszedłszy z gór swoich i przebywszy z jak największą ostrożnością rozległe lasy, przybył bezpiecznie z swoim wojskiem do wsi sąsiedzkiej. Hiszpanie polegając na łagodnym i spokojnym charakterze Indjan, zaniedbali wszelkich wojennych ostrożności, i sądzili się być zupełnie bezpiecznymi. Ledwie dziesięciu żołnierzy wraz z Aranem znajdowało się w fortecy, gdzie podobno żadnej straży nie było; reszta rozproszyła się swobodnie po przyległych osadach. Coanobo i jego żołnierze przybywają pośród ciemnej nocy pod słabe zapory, które z gwałtownością przełamują, wydając krzyki straszliwe. Kiedy Hiszpanie, pogrążeni w śnie głębokim, ani pomyśleć mogli o bronieniu się, już tamci zajęli twierdzą, i natychmiast podłożyli ogień pod wszystkie domostwa, gdzie spoczywali nieprzyjaciele, tak wewnątrz jak zewnątrz warowni. Ośmiu z nich rzuciło się ku rzęce, usiłując tym sposobem ocalić się, ale mocno ścigani przez dzikich, sami się

potopili. Inni Hiszpanie zostali nieclitościwie do jednego wymordowani. Guacanagari i jego poddani walczyli odważnie w obronie swoich gości, ale nie mogli opierać się długo wściekłemu Karraibowi. W czasie potyczki Guacanagari mocno był raniony z ręki Caonoba; jego majątności złupiono, a jego wieś spaloną i zburzoną do szczętu została.«

Kolumb przepędziwszy czas niejaki w Nawidad, zajął się urządzeniem stałej osady, a do tego zamiaru najwłaściwszą zdawała się mu być ziemia o 10 mil na wschód od Monte Christi leżąca. Znalazł tam port dogodny i korzystne położenie do wystawienia fortecy; dwie rzeki, z których na jednej łatwo było urządzić młyny, płynęły w sąsiedztwie; okoliczne ziemie były urodzajne, a widok kraju zachwycający. Admirał wylądował tam z ludźmi, którzy z nim razem odjechali z Hiszpanji, dla usadowienia się w odkrytych przez niego krajach, i wystawił najpierwsze miasto Europejskie, któremu dał nazwisko *Izabella*. Ale odtąd niezliczone trudności trapić go zaczęły, i wszyscy ci prawie którzy z nim przybyli, powzięli zbyt przesadzone wyobrażenia o bogactwach i szczęściu, których bezpośrednio spodziewali się kosztować. Wkrótce postrzegli, iż trzeba było wiele cierpieć przykrości i ciężkie ponieść prace dla utworzenia osady. Ale na nieszczęście, okolica ta tak płodna, tak piękna na pozór, była bardzo

niezdrowa i klimat nie sprzyjał bynajmniej organizmowi Europejczyków. Trzeba też wyznać, że i postępowanie Kolumba w pewnych względach nie było wolne od nagany, lubo historycy bardzo lekko tej okoliczności dotknęli. Pełen zapału, który w nim wzbudziło tak świetne Nowego świata odkrycie, nie mógł się wstrzymać od przesady w opisach pięknych okolic, które kolejno zwiedzał. Z najpłtonniejszych wieści wyprowadzał niezawodne wnioski, i wszystkie swoje nadzieje uważał za nieomyślne prawdy. Być może, iż on sam pierwszy się mylił, ale i to także pewna, że i innych do błędnych mniemań pociągnął. Jak tylko powtórnej wyprawy okręty wypróznione zestały, trzeba było zaraz większą liczbę statków odesłać do Hiszpanji, a kilka tylko zostawić na potrzebę osady. Chciwość Kolumba doszła do najwyższego krésu. Spodziewał się on znaleźć skarby złota, jak nie mniej kosztowne towary nagromadzone w czasie jego nieobecności, przez ludzi których zostawił, a przynajmniej że ci musieli odkryć źródła korzystnego handlu, że i zatem będzie mógł powracające okręty znacznemi bogactwami wyładować. Na pierwszą wiadomość o wymordowaniu garnizonu hiszpańskiego, nietylko własne jego nadzieje zniszczone zostały, ale nadto, wiedział on bardzo dobrze jak przesadzoną wiarę przywiązywano do nich w Hiszpanji; cóż powiedzieć mieli monar-

chowie i cały naród, widząc próżne z powrotem okręty, i jakże miał donieść o nieszczęśliwym losie tych ludzi nielitościwie pomordowanych? Trzeba więc było koniecznie coś takiego przedsięwziąć, coby utrzymać mogło mniemanie o odkrytych krajach i usprawiedliwić świetne nadzieje, których on sam w opisach swoich nie szczędził. Wszyscy Indjanie zgodnie twierdzili, że ich ozdóbki złote pochodzą z okolicy Cibao; kilka dni tylko drogi potrzeba było, żeby się do niej dostać; Kolumb więc postanowił posłać tamkogo przed odплыnieniem małej eskadry, któraby mogła zawieść przynajmniej wiadomość o jakich nowych kopalniach i górach złota. Dwie wyprawy włąb wyspy natychmiast urządzone zostały, pierwsza pod przewodnictwem Don Alonza de Ojeda odważnego i śmiałego w pomysłach Officera, druga pod dowództwem młodego kawalera, nazwiskiem Gorvolan. Znaleźli oni kraj piękny, oblany licznymi strumieniami, i wielką płodność rokujący; ale mieszkańcy jego, równie mało posunięci byli w cywilizacji, jak i reszta wyspiarzy. Jednakże z powszechnem zadowoleniem, postrzegli liczne ślady tak cheiwie szukanego kruszcu. Napotymano często proszek złoty z piaskiem pomieszany, oraz i ułamki złota, z których kilka dość znacznej wagi zebrano z łożysk rzek powysychanych. Kolumb posłał te próbki do Hiszpanji z rozmaitemi owocami i innymi płodami roślinnymi, jakiegokolwiek wartości,

które mógł zebrać na prędcie. W najszumniejszych wyrazach ułożył on rapport o świetnych wyprawach Ojeda i Gorvelana, z których ostatni powracał z eskadrą. Ponawiał znowu dawne zapewnienia, że w krótkim czasie będzie mógł wystać do stolicy znaczne ładunki złota, korzeni i kosztownych towarów, których z powodu słabości swojej i wielu swoich towarzyszków, jak najmniej z powodu wyłącznego zajęcia się pracami około wzniesienia nowej osady i budowy miasta Izabella, nie mógł tą razą zgromadzić. Skreślił następnie zachwycający obraz piękności i zyzności wyspy, jej gór olbrzymich, obszer-nych płaszczyn, licznych rzek, urodzajności gruntu i t. p.

Przeciw temu obrazowi stawia P. Irving obraz nędzy zbyt rzeczywistej, której osada wkrótce po odplynieniu okrętów stała się łupem. Po- między awanturnikami, którym czas zaciągu je- szcze nie upłynął, lub którzy zobowiązali się po- zostać na wyspie, wielu żałowało swój ojczyzny; z rozpaczą poglądali oni na oddalającą się flotę, i ulegli gwałtownej chorobie tęsknoty do kraju. Ale była to jeszcze jedna z najmniejszych klęsk, ja- kie dotykały osadników. Wilgotny klimat roz- szerzył między nimi zgubną febrę, a nieró- wnie sroższa choroba, nieznaną dotychczas, za- częła karać Hiszpanów za ich rozpustę niepomiar- kowaną. Srodki lekarskie długo były daremne- mi, zupełnie nawet lekarzy zabrakło. Wkrót-

ce przebrały się zapasy żywności przywiezione z Europy, i dla oddalenia głodu, trzeba było bardzo ograniczyć się w rozdzielaniu żywności, której część znaczna uległa zepsuciu; zapasy mąki zostały nakoniec wyczerpanę, a nie było innego sposobu tłuczenia zboża, jak siłą rąk; wszelka zaś praca, która nie miała wyłącznego celu pozyskania złota, odrażała robotników. Wielu z nich nareszcie było słabych, inni udawali, że są nimi. Kolumb był zmuszony wszystkich bez różnicy, którzy jeszcze zdrowymi byli, tak kawalerów jak szlachejnych hidalgos, równie potrzebujących pożywienia, jak najostatniejsi z robotników, przeznaczyć do prac ręcznych, które oni za poniżenie dla siebie uważali. Takie postępowanie było przyczyną licznych szemrań, rozterków, a uawet buntów, i wielu z pierwszych officerów, którzy powinni byli wspierać Kolumba we wszystkich jego czynnościach, dla dobra osady przedsiębranych, przeciwko niemu powstało.

Kolumb pragnąc ciągle pomnażać swoje odkrycia, powziął zamiar, przed oddaleniem się z Izabelli, rosproszyc po różnych miejscach swych ludzi, aby tym sposobem oszczędzić, na czas ile możności najdłuższy, szcceptych zapasów, które się jeszcze znajdowały. Ustanowił kilka poczty na wyspie, i nad wielu oddziałami dał dowództwo doświadczonym officerom, którzy przebiegać mieli wszystkie inne jej części, i zdawać mu szcze-

gółowe rapporta o kraju i jego mieszkańcach. Polecenia, jakich im udzielił, były w ogólności mądre, ludzkie i sprawiedliwe. Zostawiwszy następnie dwa największe statki w porcie, wypłynął 24 Kwietnia 1494 z trzema karawellami, które dla swój lekkości zdawały się mu być dogodniejsze do jego przedsięwzięć. Optynąwszy w pewnej odległości Hispanjolę, rozpoznał część brzegów Kuby, której jeszcze był dotąd nie zwiędził. Jego tam pobyt i poznanie się z mieszkańcami téj wyspy, też same prawie okazały rezultata, co w czasie pierwszego zjawienia się jego w San-Salvador. Kierując się następnie ku południowi, odkrył Jamajkę. »Przejęty został podziwieniem, mówi P. Irving, na widok téj wielkiej wyspy, jój gór wspaniałych, jej lasów obszernych, jój dolin urodzajnych i wielkiej liczby wsiów ożywiających w około tę nową widownię. Ale mieszkańcy nie okazali z początku tak łagodnych usposobień, jak ich sąsiedzi.

Więcej mający ducha wojowniczego niż tamci, kilka razy ucierali się z białymi, i na téjto wyspie Hiszpanie po raz pierwszy wypuścili jednego z swoich brytanów przeciw Indjanom, który to sposób wojowania na większą odtąd skalę używany, tak w skutkach swoich stał się obrzydliwym. Tą razą jednakże, wkrótce pokój i przyjacielskie stosunki przywrócone zostały. —

Nie znajdując weale złota w Jamajce, Kolumb powrócił do Kuby, i rozpoczął na nowo śledzenie brzegów. P. Irving zastanawia się nad sprzecznością zasmucającego stanu obecnego tej części wyspy, z tym, w jakim ją Hiszpanie zastali. Była ona okryta w ówczas licznymi domostwami i znaczną ludnością, która się cieszyła z przybycia cudzoziemców; wszystko jest teraz pusite i milczące; cywilizacja wzniosła kilka miast w innych częściach, ale ta część zamieniła się w rozległą pustynię. Całe pokolenie Indian zniknęło od dawna; wygasło ono pod okrutnem panowaniem tych ludzi, którzy z okrzykami radości na tych brzegach przyjęci zostali.«

Kolumb powrócił do Hiszpanjoli 4 Września 1494, gdzie miał przyjemność zastać swego brata Bartłomieja, towarzysza swojej młodości, a w późniejszym swym wieku, przyjaciela, z którym od wielu lat był rozłączony. Był to człowiek pełen odwagi i tęgiego charakteru. Zręcznemi radami i skutecznem działaniem, stał się silną bratu swemu pomocą. Kolumb korzystał z przybycia jego, a oddając mu załatwianie znacznej części spraw publicznych, mianował go *Adelantadem*, który to urząd to samo znaczył, co namiestnik Gubernatora.

Pod czas pobytu Kolumba na wyspie Kuuba, oddziały ludzi, którym polecono ciągle rozpoznawanie wewnętrznego położenia Hiszpanjoli, zamiast pełnić dane rozkazy, wybrały sobie i naj-

przyjemniejsze miejsca w najbogatszych okolicach, założyły tam stałe dla siebie siedziby, i wylały się następnie na zwykłe rozpusty, dopuszczając się najokrutniejszych zniewag przeciwko Indianom. Łagodność i cierpliwość tych nieszczęśliwych zamieniły się wkrótce w oburzenie, zaczęli czynić niejaki opór przeciw swoim ciemniczytelom; odbyło się kilka pojedynczych potyczek, po których wszyscy kacykowie Hajtjanów, wyjąwszy starego i wiernego Guacanagari (który walczył nawet w szeregach Hiszpanów), weszli z sobą w przymierze i postanowili wypędzić z swej wyspy cudzoziemców. Taki był stan rzeczy gdy Kolumb powrócił z Kuby. Zgromadził na przedce niektóre oddziały i sam na ich czele wyszedł przeciwko wojsku krajowców, które wkrótce zupełnie rozproszone zostało. Oto są wypadki tego zwycięstwa.

»Kolumb przymuszony wziąć się do broni przeciwko związkowi Kacyków, sądził, że może odąd użyć praw zwycięzcy i rozmyślał wraz z swoim bratem nad sposobami wyciągnięcia największej ile można korzyści ze swojej zdobyczy. Trapiło go niespokojnością ciągłe usiłowanie wystania bogatych ładunków do Hiszpanji, dla wynagrodzenia monarchom znacznych kosztów na utrzymanie jego wypraw łożonych, dla spełnienia tak śmiesznie wygórowanych nadziei, które cały naród łudziły, a nadewszystko dla zawstyżenia licznych swych oszczerców. Ci, którzy

powrócili byli w zamiarze szkodzenia mu, isitowali w najgorszym wystawić światło jego odkrycia, według ich zdania, bardzo mało znaczące. Postanowił zatem nałożyć wielkie ciężary na podległe prowincje. W prowincjach Vega, Cibaó i we wszystkich okolicach, gdzie były kopalnie, na każdego mieszkańca lat 14 skończonych mającego, włożono obowiązek napełnienia w ciągu trzech miesięcy worka (oznaczonej wielkości) proszkiem złotym. Kacykowie, w miejsce osobistego podatku, winni byli dostarczyć go w znaczniejszej nierównie ilości. Maniocatex, brati następcę Kaonoba, miał obowiązek dostarczania co trzy miesiące po pół tykwy złota wartości około 150 *pesas duros*. W odległych od kopalń okolicach, gdzie nie było wcale złota do zbierania, każdy człowiek winien był składać co trzy miesiące po jednym *arrobe* (25 funtów ważącym) wełny. Indjanin, który się uiscił z swego podatku, odbierał w zamian medal żelazny, który mu służył za pokwitowanie, a który nosić miał zawieszony na szyi, i wszyscy, którzyby takiego znaku nie posiadali, mieli być chwytni i karani.

»Tym to sposobem jarzmo służebności włożone zostało na całą wyspę, i każdy mieszkaniec widział się być skazanym na ciężką niewolę. Rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych krajowców, kiedy codziennie wypełniać musieli przykrą pracę, której owocu nielitościwie wymano w częstych i zbyt bliskich epokach. Słabi i niedołążni z na-

tury, nie będąc przyzwyczajeni do żadnego rodzaju pracy, prowadząc detąd życie jednostajne, bez żadnych starań i widoków, pod cieniem drzew owocami obciążonych, w miłym i tak sprzyjającym ich lenistwu klimacie, uważali śmierć za znośniejszą nad życie z pracą i udręczeniem połączone. Nie przewidywali oni końca cierpienia co na nich tak nagle spadły. Zniknęła ich spokoju i niepodległość, tak droga dzikim lasów mieszkańcom; zniknął słodki spoczynek senny nad brzegami strumieni i obok zdrojów, albo pod wzniosłymi palmami, w czasie południowego skwaru; ustały śpiewy, tańce, igraszki wesołe podczas chłodnych wieczorów odgłosem indyjskiego bębna przerywane. Zniewoleni do przewracania ziemi przez dzień cały na spieku zwrotnikowego słońca, lub do schylania się nad brzegami rzek i śledzenia niespokojnym okiem ziarenek złota, które codziennie rzadszemi się stawały, padali z utrudzenia przed nocą, z bolesną pewnością, że dzień następny przywiedzie im nowe prace i nowe uznojenie. Jeśli niekiedy zgromadzali się wieczorem dla słuchania dawnych ballad, których melodia towarzyszyła niegdyś wesołym płąsom dziewcząt, śpiewy te wyrażały już tylko ich boleść i skargi. Opiewali oni ubiegłe czasy i byt swój pomyślny przed przybyciem białych; przypominali słowa ojców swych, którzy nieraz przepowiadali im to naj-

ście, którzy im mówili, iż przybędą do wyspy ich ludzie zbrojami okryci, których miecze przecinać będą na dwoje ich wojowników, i którzy wszystkich w niewolę pojmą. Ballady te, albo *areytos* powtarzano monotonicznie i posępnie.... Nie widząc nakoniec żadnego środka do wydobywania się siłą z jarzyna niepokonalnych ciemnic swoich, Indjanie chwycili się drogi jaką im rozpacz wskazała. Wiedzieli oni że Hiszpanie w osadach swoich cierpieli niedostatek żywności, i zaczęli w wielkiej części co do utrzymania się, od krajowców, którzy im płody wyspy przynosili. Postanowili więc nie uprawiać, powyrywać owoce, jarzyny, mais, zgoła zniszczyć to wszystko co tylko mogło służyć do wyżywienia człowieka. Mniemali iż głód wytępi ich nieprzyjaciół, lub wypędzi ich nakoniec z wyspy. Ale mało znali, mówi Las Casas, charakter Hiszpanów. Im są głodniejsi, tym sroższymi się oni stają. Indjanie tym czasem wykonali plan zamierzony, opuścili mieszkania swoje zniszczony grunta i schronili się w góry, gdzie mogli jeszcze znaleźć pożywne zioła, korzonki, a nadewszystko rodzaj królików zwanych *utias*, które tam bardzo obficie się znajdowały.«

Ucierpień wiele Hiszpanie w skutku tego zniszczenia, stało się ono jednak okropniejszem jeszcze dla wyspiarzy. Europejczycy w otrzymaniu właśnie w najprzykrzejszem położeniu, zasiłki przez przybyłe okręta; ale widząc się po-

zbawieni razem wszelkiej daniny i zagrożeni prędkiej lub późniejszą utratą życia z głodu, zaczęli uporczywie ścigać krajowców, którzy chronili się w ówczas w najniebezpieczniejsze jaskinie, lub na wysokie i jałowe góry, zabierając z sobą żony niosące dzieci swe na plecach. Przyciśnieni utrudzeniem, głodem i nędzą, z miejsca na miejsce ścigani, wystawieni na ciągłą obawę, w każdym szeleście liści zdający się słyszcć kroki okrutnych swych prześladowców, nie śmiejąc więcej ani polować, ani w rybołówstwie lub w wynajdywaniu korzonków ostatniego szukać ratunku, wkrótce ulegli zaraźliwym chorobom, i tysiącami ginęli. Pozostałych schwytali Hiszpanie i do prac zaniechanych zniewolili. Wszelki opór z ich strony ustał; schylili z pokorą karki pod jarzmo Hiszpanów, a przestach jaki w nich wzbudzali zdobywcy tak był wielki, iż Hiszpan mógł bezpiecznie przechadzać się sam jeden po całej wyspie, a w razie utrudzenia kazać krajowcom przenosić się na barkach z miejsca na miejsce.

W czasie tych zaburzeń i boleści, przymuszony był Kolumb odbyć podróż do Hiszpanji, dla usprawiedliwienia się z zarzutów jakie przeciw niemu u dworu czyniono. Z łatwością przyszło mu usprawiedliwić się z nich przed tronem; nie mało zapewne miały wpływu na tę sprawę kopalnie złota na krótki czas przed odjazdem jego odkryte; przyjęty został uprzejmie przez mo-

narchów, a oskarżenia nieprzyjaciół jego z pogardą odrzucone były. Nie mógł jednakże otrzymać zasiłków do nowój wyprawy, aż w 1498.... Zanim przystąpimy do opisu dalszych wypadków, czytelnicy życzyliby sobie zapewne dowiedzieć się o losie dawnego Hiszpanów przyjaciela, kacyka Guacanagari, o którym już wzmianki nie będzie. Przez poświęcenie się swoje dla sprawy Kolumba, naczelnik ten utracił miłość współziomków, nie uwolniwszy nawet ziemi swej od daniny, którą równie on jak poddani jego nie wiedzieli jakim sposobem uiszczać. Kolumb, który umiał zasługi jego oceniać i mógłby go być zastonić opieką swoją, był nieobecny, albo zatrzymany w Europie obroną przeciw własnym nieprzyjaciółom. Hiszpanie zapomnieli wkrótce o szlachetnej gościnności jakiej im najpierwszy Guacanagari użyczył, i o znakomitych przysługach ciągle od niego otrzymywanych. Wyciskano daniny nałożone z najokrutniejszą gwałtownością. Cudzoziemcy ci których kacyk ratował w niedoli, i że tak rzec można sam na łono ojczyzny swojej sprowadził, stali się jej straszliwymi ciemiężcami. Udręczony zgryzotami, nie mogąc znosić dłużej zniewag jakie mu inni kacykowie wyrządzali, równie jak jęków poddanych i okrucieństw niewdzięcznych sprzynierzeńców swoich, nieszczęśliwy Guacanagari oddalił się między góry, gdzie uległ zgryzotom i zginął w nędzy i zapomnieniu....

Po długim odwłoczeniu, kiedy już rozkazy do przygotowania trzeciej wyprawy wydane zostały, przedsięwzięcie to zaledwie nie spełzło na niczém, dla braku ludzi. Duch publiczny tak się zmienił, we wszystkiém co się ścierało do Nowego świata, iż zamiast licznych awanturników, którzy cisnęli się około Kolumba aby należeć do drugiej jego wyprawy, w czasie przedsięwzięcia trzeciej jeden zaledwie zgłosił się w tym celu. Widział się więc zniewolonym do przedstawienia rządowi, izby zamieniono na wywiezienie do osad niektóre kary wyrzeczone przez sądy na złoczyńców którzy więzienia zalegali, i to mu dozwolone zostało. Wypróżniono zatem więzienia, i ludzie za zbrodnie ukarani przydani mu zostali za towarzyszków; opłakany sposób zaprowadzania ludności w powstającej osadzie!— Reszta życia Kolumba jest jedynie ciągiem zamieszkań, nędznych kłótni pomiędzy Hiszpanami, lub gwałtownych buntów w Nowym świecie, oraz oskarżeń w Europie, które bardzo dobrze przyjmowano na dworze, i jeden z najżałartszych nieprzyjaciół Kolumba, Bobadilla, do dworu królewskiego należący, wysłany został do San Domingo z nieograniczoną władzą do roztrząśnienia skarg na admirała zaniesionych. Dworak ten skoro tylko przybył na miejsce, korzystając z nieobecności admirała, zaczął od zagarnienia najwyższej władzy, aby mógł swobodniej działać w powierzonyj mu sprawie. Kolumb, za

przybyciem, został schwytyany i wtrącony do więzienia; a ponieważ badania odbywały się z największą stronnością, tak przeciw admirałowi, jako i dwóm braciom jego, i przyjmowano wszelkie przeciwko nim zeznania, za ledwie słuchając ich obrony, skutek badań nie trudnym był do przewidzenia. Bobadilla, obciążwszy kajdanami wszystkich trzech braci, wysłał ich w tym stanie do Hiszpanji.

»Szczęściem mówi P. Irving, wiatry były pomyślne, i podróż nie długo trwała. Stała się nawet mniej przykrą dla więźniów, przez postępowanie tych którym byli oddani. Pragnęli oni nawet ulżyć im odjęciem kajdan, ale Kolumb nie chciał na to zezwolić. »Nie, mówił on z dumą, Królestwo J. Mć rozkazali mi listem »swoim, abym się poddał wszystkiemu, coby Bobadilla w ich imieniu rozkazał; obciążył on »mnie kajdanami: te nosić będę, dopóki przez »nowe rozkazy, nie zdejmą ich ze mnie władcy; » w ówczas zachowam je jako drogą pamiątkę i »świadcstwo nagrody za tyle zasług otrzymanej.«

»Tym sposobem postępował on zawsze, mówi syn jego Fernando, widziałem ciągle te kajdany zawieszane na ścianie pokoju jego; rozkazał nawet iżby po śmierci razem z nim zagrzebane zostały.«

Ale przez zbytek potwarzy i obelg, nieprzyjaciele Kolumba minęli się z celem który sobie zamierzili. Skoro ujrzano w Hiszpanji wiedzio-

nego w kajdanach, jak najpodléjszego złoczyńcę, tego człowieka który świat nowy odkrył, powstała nagle mocna zmiana opinji w publicznej, równie jak w opinji obojga królestwa. Kolumb napisał długi list z usprawiedliwieniem do Dony Juany dela Torre, damy dworskiej, która w znakomitych łaskach u Izabelli zostawała; nie chciał albowiem tą razą wprost do tronu przesyłać pisma swego, nie wiedząc o ile z woli monarchów wyptywało to postępowanie na które się żalił. Jakkolwiek umiano uprzędzić przeciw niemu umysł Ferdynanda, nie mógł on przecieź oprzeć się nowemu przekonaniu publicznemu, i połączył zdanie swoje z szlachetną małżonką swoją, naganiając publicznie niegodne postępowanie, jakiego użyto względem admirała, i oboje monarchowie oświadczyli niezwłocznie że nie tylko uwięzienia jego nie uważali za rzecz przyzwoitą, ale nadto, że czyn ten niegodny, wbrew ich woli nastąpił. Nie czekając wcale na dowody, które Bobadilla miał przysłać, wyprawili do Kadyxu z rozkazem uwolnienia więźniów natychmiast i obchodzenia się z nimi z jak największymi względami. Napisali także do Kolumba list pełen czułych i łaskawych oświadczeń, wynurzając mu żmartwienie swoje, jakiego doznali z powodu jego cierpień, wzywając go oraz ażeby przybył do dworu. Oprócz tego rozkazali wypłacić mu 2,000 dukatów na kosztą podróży. Te publiczne wynurzenia wzniciły radość w łatwowier-

nem sercu Kolumba; ufny w swoim sumieniu, pewnym był że wkrótce wróci do swych praw i godności. Pokazał się on na dworze Grenaskim 17 Grudnia, niejako człowiek zniszczony i z łask wypadły, lecz przeciwnie w bogatych szatach i otoczony znakomitym orszakiem. Krolewstwo przyjęli go najchlubniej. Kiedy Krolowa ujrzała tego szanownego męża zbliżającego się do siebie, przyszło jej na myśl bez wątpienia to wszystko co on zrobił, na co zasłużył, ile ucierpiał, i rozczulona też wstrzymać nie mogła. Kolumb pokazał stałość pośród naprzykrzejszych kolei burzliwego życia, i pogardę odpowiadał na obelgi swych niegodnych przeciwników; ale ta łaskawość z jaką go własni przyjmowali monarchowie, te łzy, któremi oczy Izabelli zalane były, obudziły gwałtownie dług tłumione uczucia. Padł na kolana: łzy i łkania nie dozwoliły mu przez czas niejaki ani słowa przemówić, Ferdynand i Izabella podnieśli go i starali się ośmielić przez najłaskawsze wyrazy. Odzyskawszy wreszcie cóżkolwiek mocy nad sobą, zaczął z zapałem i szlachetną powagą usprawiedliwiać swoje postępowanie; o jego poświęceniu się, życzliwości i gorliwych usiłowaniach dla interesu i chwały korony hiszpańskiej, nie można było wątpić; jeżeli popełnił jakie błędy, te należało przypisać niedoświadczeniu jego w sztuce rządzenia. Wymowna obrona, którą wyrzekł za sobą, zupełny skutek sprawiła, a zre-

szta widoczna niechęć jego nieprzyjacioł, dość silnie sprawę jego poparła. Monarchowie widzieli przed sobą męża, z którym tak niegodziwie postąpiono; teraz było rzeczą usprawiedliwić się przed całym światem z zarzutu niewdzięczności przeciwko poddanemu, który się im tak dobrze zasłużył. Jakoż wynurzyli powtórnie swoje oburzenie, szczególnie przeciw Bobadilli, który działał wbrew ich rozkazom, i oznajmili że dowództwo odebranem mu zostanie. Przyrzekli niemniej Kolumbowi zadosyć uczynienie wszelkim jego zażaleniom i bezpośrednio przywrócenie go do wszystkich własności, przywilejów i godności.«

Nie pozwolono mu jednakże udawać się więcej do Nowego świata, i umarł w Hiszpanji w sędziwym wieku. — Zajmujące to dzieło P. Washingtona Irvinga (*) kończy się następującem; uwagami: »Najświecześnie nadzieje Kolumba, z całą mocą rozpalonej imaginacji marzone, przewyższyły jeszcze rzeczywistość. Umarł on nieświadomy wielkości swego odkrycia. Aż do ostatniej chwili życia, mniemał zawsze, że otworzył jedynie nową drogę dla zbytkowego handlu, i że odkrył tylko niektóre dzikie wschodu krainy. Przypuszczał, że Hispanjola jest starożytnym O-

(*) Dodatki do tego dzieła obejmują dowody usprawiedliwiające i bardzo ważne przypisy, dotyczące się Las-Gasasa, Piotra męczennika, Wespucjusza etc.

phisem zwiedzany przez okręty Salomona, że Kuba i ląd stały łączyły się z lądem Azji. Jakież uczuciami chwały poitałaby się jego dusza, gdyby wiedział był z pewnością, że to jego ścinusz odkrył istotnie ląd nowy, równający się w wielkości staremu światu, i rozłączony przez dwa niezmierne oceany od wszystkich lądów, jakie przed nim zwiedzał kiedy człowiek ucywilizowany! Jakichżebym pociech wspaniałe serce jego kosztowało, przy niedołężności nawet sęziwego wieku, mimo utraty dóbr własnych, nimo zapomnienia ludu niestałego i niesprawiedliwości niewdzięcznego króla, gdyby mógł był przeniknąć świetność i pomyślność krajów, jakie kiedyś otoczyły miały ten świat odkryty przez niego, mnóstwo ludów i języków rozmaitych, które rozstawiać miały pamięć jego w tych cudnych okolicach, błogosławić imię i rozszerzać chwałę wynalazcy swego aż do najodleglejszej potomności.»

II.

WIADOMOŚĆ O ARAUKANACH.

(z *francuzkiego P. Lesson.*)

Lud Araukanów zamieszkuje część Ameryki południowej, leżącą na południe od dawnego Chili, pomiędzy Andami i morzem. Hiszpanie obawiali się zawsze wojennego charakteru Araukanów, których nigdy ujarzmić nie zdołali z którymi aż do ostatnich czasów, zostawali w sa-

nie nieustającej prawie wojny. Wojska Chilij-
skie nieraz uległy tym ludom; i gdyby najezdnic-
cy Ameryki za czasów Pizarrów i Kortezów zna-
leźli byli w Peruwjanach i Meksykanach wycień-
czonych, małą część tylko energii Araukanów,
nigdy ludzkość nie byłaby jęczała ich krwawe-
mi znękana zwycięztwami, a krwi pragnienie i
chciwość Almagrów i tym podobnych, drogoby
opłaciły pierwsze czyny niesłuszności którychby
się dopuścić poważyli.

Araukanie zatem tworzą lud bitny, podzielony
na pokolenia koczownicze lub osiadłe, zajmują-
ce wioski, rządzone przez kacyków, i połączone
z sobą przez pewny rodzaj federacji pod prze-
wództwem najdoświadczeńszego i najdawniejsze-
go z naczelników. Pokolenia poblizsze Chili od-
dzielone są od prowincji *Conception* rzeką *Bio-
bio*, i rozprzestrzeniły się aż ku murom miasta
Valdivia, którego obwód jest tym sposobem bar-
dzo szczupły. Obyczaje tych ludów, jakkolwiek
zostających pod wpływem początków cywilizacji,
skłonne są do okrucieństwa. Nawyknięcia wo-
jownicze, zmierzające do środków uderzania na
nieprzyjaciół i ogoławania ich ze wszystkiego co
posiadają, zupełnie na podobieństwo Arabów,
nie pozwalają rozwinąć się litości i tym wyobra-
żeniom filantropijnym, które są wykształconych
instytucji owocem. Wszystko oni poświęcają sa-
molubstwu osobistemu lub rodzinnemu, a uczu-
cie to, które zdaje się być wielką sprężyną wszyst-

kich działań ludzkich, nie jest u nich osłonięta maską jakich bądź szczęśliwych przymiotów. Prawo mocniejszego jest dla nich najwyższym prawem: nie znają oni innego.

Zewnętrzne cechy Araukanów wcale nie są przerażające. Mężczyźni pokolenia tego są silni, krępi i odznaczają się składem muskularnym niezmiernie rozwiniętym; wzrost ich jest mierny, a kibić niedosyć kształtna; twarz mają koloru miedzianego, spłaszczoną i szeroką, którą wzrok ponury i niedowierzający okrucieństwem piętnuje; usta grube, broda zaokrąglona i wielka, włosy długie, gęste i bardzo czarne; brzuch zwykle wystający, gięsta śmiała, nadają ogółowi ich twarzy wyraz odrażającej dzikości. Chociaż większa część autorów uważa ludy te jako pochodzące z wspólnego źródła z Peruwjanami, podobieństwo jakie w ich pochodzeniu upatrują, zasadza się jedynie na domniemaniach, na których ani na chwilę opierać się nie może, kto widział oba te ludy. Peruwjanie różnią się od Araukanów równie fizycznością jak i wszelkimi nawykami życia.

Pewien officer chiljski, adjutant polny generała Freyre, prezydenta Rzeczypospolitej, którego wypadki wojny jako jeńca między te ludy zawiodły, udzielił nam w czasie pobytu naszego w Chili niektórych wiadomości o ich zwyczajach, i niektórych szczegółów których prawdziwość sam generał Freyre świadectwem swoim potwierdził.

Prowincja Concepcion, przedmurze Chili ze strony kraju Araukanów, była prawie zawsze teatrem ich napadów. Samo ich imie wzbudza tam największy przestach, a miasto Concepcion i Talcaguana, które oni zrabowali przed kilku laty, noszą trwałe ślady ich najścia. Ciągłe wznawiające się niespokojności, jakich doznawali rządcy Hiszpańscy, kiedy jeszcze Chili do korony hiszpańskiej należało, zniewoliły ich w 1810 roku do przedsięwzięcia czynnej i ciągle popieranej wojny przeciwko tym ludom. Po rozmaitych szczęścia przemianach, zwycięstwo przeważało się na ich stronę, i Araukanie do granic swoich odparci, zawrzeć musieli traktat, za którego dotrzymanie dali zakładników, ale który zerwali w 1815 za namową rojalistów, a mianowicie sławnego Bena-Vides. Republikanie wypędzwszy Europejczyków z Chili, połączyli wszystkie siły swoje przeciw Araukanom, których przywiedli do takiego stanu, iż na długo poprzestać musieli napadów swoich. Zbudowali również twierdzę na rzece *Biobio*, i w wąwozie będącym przystępem do ziemi tych ludów. Od tego czasu, ujęli oni sobie już to darami, już łagodnością kacyków rozmaitych pokoleń, i utworzyli korpus kawalerji złożony z Araukanów, którzy sposób waleczenia i uzbrojenie podobne mają z dawniejszemi Kozakami.

Araukanin nie zatrudnia się nigdy żadną ręczną pracą; uważałyby to za upodlenie i poniżenie

płci swojej. Jego główną i prawie jedyną czynnością jest ujeżdżanie konia. Wiadomo, że ten zwierz szacowny, zostawiony samemu sobie na obszernych Pampasu błoniach, czyli równinach Ameryki południowej, rozmnożył się tam bardzo znacznie, i że żyjąc wolno w wielkich stadach, zachował te dzielność i siłę, których nigdy w domowym chodowaniu nie posiada. Araukanie nie chcą sobie zadawać tego trudu iżby go chodować: jak Peonowie w Paraguay, ćwiczą się od dzieciństwa w rzucaniu ściągany sznurem pędząc na koniu, i w odmienianiu konia bez trudności i starań. Nie wielu znalazłoby się lepszych od nich jeźdźców; dla tego w bitwach używają oni często tej zasadki, iż spuszczają się na który bok konia, jedną tylko trzymając się go nogą, i nagle siadają prosto i z wielką siłą, kiedy napadną na nieprzyjaciela zwiedzonego, albo nawet takiego, przed którym nie uda im się ten postęp. Konie ich tak są silne i pewne w nogach, i tak zręcznie jeźdźcy umieją nimi powodować, iż z największą szybkością zbiegają na urwiste i nierówne najwyższych wzgórzów spadki.

Nawykli do picia w wioskach swoich fermentowanego napoju zwanego *cici*, który wydobywają z różnych roślin, a nadewszystko z rośliny *aristotelia maqui*, Araukanie przez niejakie stosunki z prowincją Conceptlon zasmakowali niepomiarowanie w alkoholicznych trunkach, a upicie jest u nich obrazem najdoskonalszego szczęścia.

U wszystkich ludów w dzieciństwie cywilizacji będących, stan kobiet jest przykrą niewolą; lecz los ich najopłakańszym bywa u ludów u których wojna jest rzemiosłem. Zony Araukanów są w oczach mężów swoich jedynie zwierzętami do znoszenia wszelkich ciężarów życia, bez używania najłżejszych jego przyjemności. Tak więc im zostawione są wszelkie prace wewnątrz chatki odbywające się, i trudniejsze jeszcze zbudowania jej i uprawiania gruntu, który jest dla nich głównem źródłem wyżywienia. Kobiety obowiązane są nadto udawać się za mężami swemi na wyprawy wojenne, mieć staranie o koniu, kulbaczyć go, kiełznać w chwili rozprawy, i zostawać w tyle dla zgromadzania i pilnowania zdobyczy przez mężów zebranej.

Dzieci od najmłodszego wieku ćwiczą się w pędzeniu na bystrych i na pół dzikich koniach, a mali *indios* (tak bowiem nazywają je Chilijczycy), stają się bardzo wczesnie wybornymi jeźdźcami. Widzieć można znaczną ich liczbę w Conception; są to te których ubodzy rodzice ustąpili tamtejszym mieszkańcom do usług domowych.

Araukanie żyją prawie wyłącznie mięsem, a ich zasoby w podróży składają się z pewnej ilości *starke*, czyli mięsa wysuszonego na słońcu i ztwardniałego w kształcie cienkich i włóknistych pasów. Mają również z sobą nieco placków pszennych z grubo zmielonej mąki upie-

czonych. Czyli to z nieczystego utrzymania ciała, czyli przez wpływ żywności, prawie z samych zwierzęcych części złożonej, transpiracja ich skórna nabywa niecznośnego otrętu, znanego w kraju pod imieniem *soreno*.

Ludy te, w pierwszych czasach zatargów swoich z Hiszpanami, nie zabierali wcale jeńców wojennych. Ci co dzisiaj w ich ręce wpadną, bywają wewnątrz kraju do pilnowania trzód używani.

Dzikość wrodzona Araukanom może być chwilowo ułagodzona, ale nigdy zupełnie, i z zapałem korzystają z każdej sposobności użycia swoich łupieżczych nawyknień. Przybyliśmy do Chili w pierwszych dniach Stycznia 1823, a na kilka miesięcy przed tem, nadmorskie pokolenia przyjęły okropnie cztery okręta na połów wielorybów wyprawione, które zarzuciły kotwice pod wyspą S. Marji. Osady ich zbyt mało miały nieufności i zaniedbały najzbawienniejszych środków, co im zgubę przyniosło. Napadnięci niespodzianie, ludzie tych osad wymordowani zostali tak, iż żaden nie uszedł, a okręty porozbijano w sztuki. Wypadek ten o którym nam wielu mieszkańców powiadało, potwierdzony był również przez kapitana *Choice*, dowodzącego okrętem rybackim angielskim *Sasah-Ann*, który stał w ówczas na kotwicy przy brzegach Chili.

Jedyną bronią Araukanów jest dzida, którą działają z niepospolitą zręcznością. Nie lubią broni ognistej, lubo nabyli jej przez zamianę od mieszkańców Valdivji i Conception. Dzidy któreśmy u nich w ręku widzieli, mają żelaziec szeroki na 4 cale, a długi na dwie prawie stopy, osadzony na długim, prostym i pełnym kiju bambusowym, które to drzewo rośnie obficie w tej części Ameryki. Jakkolwiek broń ta jest tak długą, używają jej przecież z taką łatwością, jak kawalerzysta europejski pałasza, i wszyscy officerowie z wojska niepodległego mówili nam o tem z podziwieniem, które nam się przesadzonem być zdawało. Araukanie, jakęśmy powiedzieli, walczą na sposób dawniejszych Kozaków, bez porządku, ale z wielką walecznością; tyle to analogja ziemi wpływana analogję moralną: pierwsi w istocie, żyjąc pośród lasów i na równinach Pampasu stóp Andów leżących, musieli nawyknać do zwyczajów które stepy czyniły właściwemi pokoleniom tatarskim. Inny sposób walczenia zależy na używaniu stryczka, którym że tak powiem w locie umieją łąpać nieprzyjaciela, albo na ciskaniu kul umocowanych na końcu długich rzemieni; zaplątują się one między nogami konia, i silnie trzymane zdolne są zrzucić jezdca.

Głównym ubiorem Araukanów jest *poncho*, czyli sztuka materji czworoboczna, przedziurawiona na środku dla wysadzenia głowy, i przeznaczona

do okrywania wyższej części ciała. Poncho ten którego użycie przyjęli i Chilijcykowie, tkany jest przez kobiety z wełny z Guanaco pochodzącej.

Upodobanie ich w tańcu dochodzi do zapamiętałości: taniec ten jest z początku wolnym i poważnym chodzeniem, wymierzonym i bez żadnego wdzięku, stopniowo jednak ożywia się i kończy się na nagłych, niepomiarowanych i do szaleństwa dochodzących poruszeniach. Śpiew tańcowi temu towarzyszący jest smutny, jednotonny, i zawsze jedną notą gardłową wykonywany. Najwięcej używany u nich taniec jest *sapatera*. Jak u wszystkich ludów jeszcze prawie w stanie nieograniczonej zostających wolności, jest on tylko ustępem dramatycznym z życia, czyli przeznaczeniem jego jest wyobrażać sceny miłości. *Sapatera*, w którym ukazuje się tylko mężczyzna i kobieta, maluje dosyć dobrze i dosyć żywo zrazu przymilania się, usiłowanie uzyskania wzajemności, następnie porozumienie się, lekkie dowody sprzyjania, dąsania które po nich następują, pojednanie, a nakoniec zwykłe rozwiązanie. Wynika ztąd, iż taniec ten z początku spokojny, ceremonjalny, ożywia się i kończy częstokroć nieprzystojnymi nawet poruszeniami. Z rokoszy jaka błyszczy w oczach tancerzy, wnosić można, jak ci przejmują się mocno swą rolą, a Hiszpanki w Chili nie omieszkały policzyć między rozrywki swoje taniec *Sapatera*,

który jest tylko zdrobnością ich narodowego *fandango*.

Mówiac o skłonności Araukanów do uczuć miłosnych, co nicmniej im jest właściwém, jak wszystkim ludom nieucywilizowanym, przytoczę tu, nie rękując za wiarogodność, zdarzenie, o którym nawet opowiadano często w salonach miasta Conception. Powiadają iż syn pewnego Kacyka miał sposobność, w stosunkach swych z władzami Chilijskimi, poznać pannę jedną w Conception, w której zapamiętałe się pokochał, i zażądał jej ręki. Mało chciwa panowania nad ludem nieokrzesanym i dzikim, u którego los kobiet jest ciężką niewolą, Chiljanka odrzuciła z wzdargą tak niepochlebne oświadczenie; ale dziki naczelnik Araukanów, nie nawykły aby odmawiano żądaniom jego, zapowiedział rodzicom młodej panny, iżby się w oznaczonym czasie namyślili, inaczéj bowiem przyjdzie na czele ludu swego, ogniem zniszczy ich własności, zrabuje miasto, i wszystko bez litości wymorduje. Niedołężność władz miejscowych była powodem, iż nakłoniono rodziców do przyzwolenia na to uciążliwe żądanie.

Na tem ograniczają się wiadomości jakie miałem sposobność zebrać o Araukanach w ich własnym kraju. Przydam do tego niektóre szczegóły czerpane w uczoneń dziele P. Balbi, pod tytułem: *Atlas etnograficzny kuli ziemskiej*.

»*Moluchowie*, których Hiszpanie Araukanami

nazywają, mówią wielu różnemi dialektami języków *Chilidugskiego* i *Chilijskiego* właściwego albo *araukańskiego*. Lud ten bardzo liczny, stanowiący główną masę ludności dawnego i nowego Chili, i którego część znaczna zachowuje dotąd jeszcze niepodległość swoją, dzieli się, podług Falknera, jak następuje: na *Pikunchów* albo *lud północny*, mieszkający w górach Coquimbo, aż powyżej Sant Jago, i rozpościerający się od wschodu aż do Mendoza w *Cuyo* czyli wschodniem Chili; mieszkańcy tego ostatniego kraju nazywają się także *Puelches*, to jest wschodni.

Pehuenchowic mieszkający w części Chili między 35 a 40 stopniem, są częstokroć nazywani *Huillichami*, to jest ludźmi południowymi, przez *Pikunchów*, z powodu południowego względem nich położenia. Ci co mieszkają między rzekami *Biobio* i *Valdivia* zowią się *Ankowie*, *Moluchowie* lub *Araukanie*, tak sławni z poematu Alfonsa Ercilla *Araucana*, i z innych czterech poematów, których są przedmiotem. Naród ten stanowi potężną rzeczpospolitę, która zwiódłszy długą walkę z Hiszpanją, skutkiem działania Don Higginsa de Vallenar, prezydenta Chili, przyjęła protekcję Hiszpanji ku końcowi ostatniego wieku. Część narodu tego grała równie straszliwą jak ważną rolę w wojnie, która wstrząsnęła Chili. Araukanowie słusznie są miani za najucywilizowańszych z pomiędzy ludów niepodległych Ameryki południowej, i zdają się być

pierwszym ludem Nowego świata, który posiadając liczne i dobre rody koni, nawykł wczesnie do jeźdzenia, i utworzył korpusy jazdy. Podług *Viagero Universal*, około r. 1568, lud ten miał już wiele szwadronów jazdy w swém wojsku. Tak jak wiele innych ludów Nowego świata, zachowuje on przypomnienie wielkiego potopu, w którym nie wielu ludzi ocalało życie. Araukanie umieją poznawać z cienia słońca, przesilenia dnia z nocą, i rok ich (*sipantu*) więcej jeszcze ma podobieństwa z rokiem egipskim, aniżeli rok Azteków. Liczba 365 dni rozdzielona jest na 12 miesięcy (*ayen*) równego wymiaru, do których przydają przy przesileniu zimowem (*huamathipantu*) 5 dni przybyszowych. Dzielią dzień naturalny, który zaczynają liczyć od północy, na 12 części, 6 dniowych a 6 nocnych, tak jak Chińczycy, Japończycy, Taitjanie i niektóre inne narody. Gwiazdy dzielają na wiele konstellacji, które przybierają nazwiska od liczby gwiazd główniejszych jakie je składają, jako to Plejady, Krzyż antarktyczny, i t. p; nazywają *rupuepeca*, albo *drogą stołową*, drogę mleczną. Rozróżniają planety od gwiazd, i uważają je za tyleż światów zamieszkałych tak jak nasza ziemia. Mniemają oni, tak jak Arystoteles, iż komety pochodzą z wyziewów niebieskich, które zapalają się w regionach wyższych nieba, i uważają je za oznajmicielki nieszczęść. Pomimo stanu niedoskonałego ich wiadomości geometrycz-

nych, mają oni w języku swoim wyrazy na oznaczenie rozmaitych rodzajów ilości, jako to punktu, linji, kąta, trójkąta sfery i sześcianu. Korzystnie pracują około poczji i medycyny, o tyle o ile bez książek i pisma można w niej postępować. Pierwsza jest tylko nagromadzeniem obrazów mocnych i żywych, figur śmiałych, czystych aluzji i patetycznych wykrzykników. Piosnki ich opiewają zwykle znakomite czyny wojowników. Lekarze ich nazywają się *anfibes* a chirurgowie *gutarves*.!—

III.

ANGLJA i SZKOCJA. — PRZYPOMNIENIA
z PODRÓŻY ROKU 1820-1824 ODBYTEJ PRZEZ
KRYSTYNA LACHA-SZYRMEŃ — z *rysunkami*
litograficznemi — Warszawa 1828 Tom II.

(Dokończenie.)

Przebiegłszy w krótkości dzieje Szkocji, i przywiodłszy przyczyny jednoczące kraj ten z Anglją ściślej szym węzłem niż Irlandję, daje autor wyobrażenie o początkowym rządzie Szkotów. Podzieleni na *klany* czyli pokolenia, mieli dziedzicznych wodzów, którym służyła nieograniczona władza życia i śmierci nad podległym pokoleniem. Wszyscy do klanu należący nosili nazwisko wodza, żenili się tylko między sobą i osobnej używali odzieży od innych klanów. Klany

te żyły z sobą w ustawicznej prawie wojnie, co siły ich niszczyło i dawało sposobność sąsiednim narodom do ich ujarzmiania. Właściwem klanów siedliskiem była Szkocja górna, gdyż lud w dolnej mieszkający uznawał władzę królewską i częściej był ofiarą zaburzeń niż burzycielem. »Wojenny charakter Szkotów, mówi autor, należy się prawie wyłącznie góralom. Oni mieszkając pokoleniami po dolinach, nad jeziorami, nad odnogami morskimi, któremi cała Szkocja jest poprzerzynana, kłócąc się między sobą i czyniąc wycieczki do dolnej Szkocji, napełniali długo kraj trwogą i zamieszaniem. Zwaśnienia ich były często dziedziczne, i przechodziły od przodków do potomstwa; zemsta prędką i okropną zależała od woli, a czasem od namiętności wodza. Wódz zamysłający zemstę, drzewo w kształcie krzyża zbite opalał w ogniu, gasił je we krwi świeżo zabitego kozłęcia, wręczał ten symbol komukolwiek ze swego pokolenia, który go oddał najbliższemu sąsiadowi, wymieniając tylko miejsce gdzie mieli wszyscy się zgromadzić. W mgwieniu oka obleciały po całym pokoleniu te wici na pospolite ruszenie. Zwano je płomieniecącym krzyżem, albo krzyżem hańby, gdyż największą było hańbą niestawić się. Formalności wypowiedzenia wojny nie znano, owszem, pocztywano by ją za nieroztropność. Napad nagły i niespodziany na siedziby nieprzyjaciela, zabór bydła, jedyne w ten czas bogactwa, by-

ły wojną zapowiednią, a pożogi i rzeź wony zakończeniem. Pokonany klan musiał się okupić, albo przechodził pod władzę zwycięzcy, co jednak rzadko się zdarzało, gdyż powszechnie przekładano śmierć chwalebną w boju nad poddanie się pod jarzmo nieprzyjaciela. — Pomniejszych klany łączyły się dobrowolnie z większymi, aby w przypadku potrzeby mieć od nich pomoc i opiekę. Najstańniej w dziejach klany były: Campbellów, Gordonów, Macleodów, MacDonaldów, Mac-Kenzie, Macfarlane, Macgregorów, Macphersonów. «

Po śmierci wodza, następcą jego obowiązany był dać dowód męstwa i zdolności wojennej w jakiej wyprawie. Wszelkim wojnom towarzyszyli zwykle dawniej *Druidowie* później *Bardowie* czyli śpiewacy, którzy zapalali w wojownikach męstwo i czyny ich waleczne opiewali. Domy wodzów służyły za główny punkt zjednoczenia się klanu, a często i za schronienie, były bowiem warowne. Przymierza ryli często na kamieniu, uważając pergamin lub papier za zbyt nietrwałe materiały.

Instrumentem muzycznym bardów była harfa, przy której nócili pienia swoje. Sława Bardów zgasła podług wszelkiego podobieństwa w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Opisując autor zwyczaje dawnych Szkotów, wspomina o wątpliwości w jakiej zostaje powaga śpiewów Ossjana, i w ogólności sława bardów celtyckich. —

Żaden naród nie posiada tak wiele zabytków pieśni gminnych i podań, i w żadnym tak starannie ich nie zbierano. Mimo tego wiele ich zaginęło, a z niektórych tylko nóty pozostały, i są niejako zasadą muzyki narodowej Szkotów. Ten ich jest wyrazem jakiegoś smutku i boleści, podobnie jak w dumach słowiańskich. W rzędzie gminnych pieśni ważne zajmują miejsce tak zwane *koronachy* czyli śpiewy pogrzebowe, które nócno przy marach umarłego, i zarzucano mu w nich, czemu porzucił świat, gdzie miał żonę, dzieci, dobytek, przyjaciół.— Wierność i poświęcenie się dla wodzów było pierwszą cnotą klanów: w dziejach znajdują się liczne tego przykłady. Moralność ówczesnych Szkotów, była w ogólności szczególnego rodzaju. Do najszlachetniejszych czynów mieszały się jakby na skazę ludzkości najniegodniejsze, jako to: najazdy, rabunki i okrucieństwa. Okropny przykład z ich dziejów przytacza Johnson: »Gdyśmy, mówi on, »siedli do stołu u Macdonalda, przyszedł gracz »i podług narodowego zwyczaju grał na kozie: »trzeba zaś wiedzieć, że najmniejsza rzecz ma »tam swoją historję. Podczas tej chrapliwej »muzyki, starzec który siedział z nami u stołu, »rozrywał nas opowiadaniem dawnych dziejów, »a między innemi opowiadał i to, że w odległych wiekach Macdonaldowie z Glengary, »będąc obrażeni od mieszkańców Cullodenu, i nie »mogąc zyskać sprawiedliwości, udali się jednę

»niedzieli, w celu pomszczenia się do Cullo-
»den, gdzie zaśtawszy mieszkańców na kazaniu,
»zamknęli drzwi i podłożyli ogień. I ta pieśń
»gracza, rzekł, którą teraz słyszycie, była wła-
»śnie graną, kiedy kościół stał w płomieniach.«

Unja Szkocji z Anglią, położyła koniec nie-
snaskom i zaburzeniom Szkotów. Pierwszego
ciosu doznał feudalizm Szkocki w 1703, a naj-
silniejszy i ostatni wymierzony nań został w 1743-
po nieszczęśliwem zjawieniu się w kraju osta-
tniego z Sztuartów. Odtąd: wyrokiem parlamen-
tu zakazane zostało Szkotom noszenie broni,
bez której żaden od wieków nie pokazywał się.
Zakazano im nawet ubioru klanów; ale dziś, o-
statni ten zakaz niema mocy, i nawet ubiór da-
wny stał się narodowym. Dzisiejszy Król w cza-
sie pobytu swego w Edynburgu dawał w nim z
tronu posłuchanie. Od unji z Anglią zaczyna
się lepszy porządek i oświata w Szkocji.

W dzisiejszym stanie możnaby mieszkańców
Szkocji podzielić na *Górali* i *Doleńców*, których
charaktery mają właściwe sobie osobne piętna.
Pierwszych cechuje dotąd większa pracowitość,
przemysł i oświata, drugich większa gościnność
i grzeczność. Ostatni z przyrodzenia żywi, łączą-
do żywości ciała burźliwość umysłu i zdolniej-
si są do służby wojskowej; miłość swobody jest
u nich skutkiem hodowania trzód, które wyłącz-
nym są ich bogactwem. Mają w ogólności wie-
le usposobienia do poczci; lubią muzykę i ta-

nice. Do dzisiaj zachowuje się u nich wiara w tak zwany *wtóry wzrok* (second sight). »Ludzie nim obdarzeni, mówi autor, przewidują przyszłe wypadki i obecne w dalekiem miejscu zdarzone. Posiadanie tego tajemniczego daru jest rzadkie i samym góralom właściwe. O możliwości istnienia jego różne są zdania, i nie podobna naturalnie go wytłumaczyć, chyba na wspólnych zasadach z magnetyzmem, którego właściwości posiadane być mogą i w niesztucznym stanie. Ale to wszystko jest zagadką.« Góry szkockie coraz się więcej wyludniają, mieszkańcy bowiem wynoszą się w miejsca rękodzielnicze Anglii i Szkocji. Przbyterjanizm dotąd nie wszędzie się rozszerzył; w północnych stronach i na niektórych wyspach jeszcze katolicyzm panuje. Lubo oświata między góralami jest mała, nie są oni jednak nieokrzesani, lud bowiem pośród ogromu utworów natury mieszkający, gdzie sam zewnętrzny świat następuje tyle przedmiotów dla uwagi i tyle pobudek do rozpamiętywania, nie może być barbarzyńskim: widok przyrodzenia rozwija już naturalnie jego władze umysłowe. Instrument muzyczny podobny do znanych u nas dud goralskich czyli kozy, sławnym był w Szkocji i dotąd się przechowuje. Chrapliwy i donośny głos jego towarzyszył zwykle walczącym, i do męstwa ich zapalał. Znajdowały się nawet na wyspach *Mull* i *Skye* dwie akademje, gdzie się w tej muzyce doskonalo. — Stan włóściań-

ski w Szkocji jest właściwie rolniczym; nie zna-
ją wcale poddaństwa ani pańszczyzny. — Urzą-
dzenia edukacyjne w Szkocji dalekich zasięgają
czasów; już bowiem w 1616 r. uznano potrze-
bę oświeccenia ludu, i uchwalono zaprowadzenie
szkołek parafjalnych w całym Królestwie, a w
r. 1696 uchwała ta nabyła nowej mocy. Dzisiaj
trudno znaleźć człowieka w najlichszej Iepian-
ce, któryby czytać nie umiał; a wielu zna ra-
chunki i dobrze pisze. Autor przytacza, iż wi-
dział pasterza na polu czytającego Popa *Kry-
tykę człowieka*. Czytanie tak się tam upowsze-
chniło, iż nawet tragarze w Edynburgu, w chwi-
lach kiedy nie są najęci, czytają gazety po rogach
ulic. Pasterze kupują gazety z trzeciej i piątej
ręki, aby im taniej przyszły; i porządkiem ob-
syłają się niemi w ten sposób, że je kładą po
granicach na umówionych miejscach pod kamie-
nie; pasterz przypędziwszy trzodę znajduje je
i przeczytawszy kładzie pod kamień na drugiej
granicy, aby się dostały innemu, dopóki kolej
wszystkich nie obejdzie. W Anglii nierównie
mniej czytają, a pomimo tego w rękodzielniach
gdzie jest ośmiu robotników, przeznaczają osme-
go do czytania gazet, a siedmiu składa się na
jego tygodniową płace. — Religja Szkotów jest
kalwińska, nie sprzyjająca ani muzyce, ani we-
sołości i tańcom; mimo tego jednak, chociaż
nie w niedzielę i święta, to przynajmniej po
skończonej całodzienniej pracy, oddaje się mto-

dziez pługom i zabawie. »Stan małżeński, mówi autor, w takim jest poszanowaniu, że lud nie wyobraża sobie szczęścia ani godności życia bez niego, i jest jakoby najwyższym szczeblem na którym młodzież postawić się pragnie. To poszanowanie zapewne sprawia, że wolność jakiej płeć piękna tam używa, nie obudza tyle obawy ile gdzieindziej, a nadużycia téj wolności nader są rzadkie.«

Na tem skreśleniu obyczajów ludu szkockiego zakończy autor opis podróży swojej po Szkocji i wraca się do Anglii. Odbywający podróż z Edynburga do Londynu lądem, jadą zwykle na *Carlsruhe* miasteczko angielskie na pograniczu Szkocji leżące: ztamtąd udają się do romantycznych gór i jezior Westmorelandji, uświetnionych mieszkaniem poetów Southeyi Wordswotha, naczelników nowoczesnej poezji szkoły, zwanej *szkołą jezior*, (*the Lake-School*), którą znamionuje największa sentymentalność, wyrażana z największą stylu prostotą. Autor udał się z Edynburga do Londynu morzem, i tak o swej żegludze mówi: »Zawsze znajdowałem wyższą jakąś przyjemność na morzu; ile razy przeto miałem odbyć podróż jaką, którą można było odbyć dyliżansem i okrętem, odbywałem ją okrętem. Jest jakaś niewymowna przyjemność w kołysaniu się morzem nad odmętami otchłani, w gubieniu się wzrokiem i umysłu nieskończoności. Kto nie był na otwartym przestworze oceanu i nie stracił wszyst-

kiego z oczu prócz nieba i wody, nie może mieć dokładnego wyobrażenia nieskończoności. Rzeczywiste w nieograniczonych jój obrębach przebywanie ma niewystawioną zachwycającą pojętę.«

Nie podobnym byłoby w szczupłym piśmie naszego zakresie przytoczyć w całości zajmujące opisy, jakie czytelnik na każdej stronnicy dziecka znaleźć może. Z żalem więc przestać musimy na słabym rysie, niekiedy tylko cieniowanym wyjęciem własnych autora wyrazów. Nadmieniwszy o sposobie podróżowania morzem na statkach parowych, we wszelkie wygody i przyjemności opatrzonych, tak opisuje zbliżenie się do ujścia Tamizy: »Wieczor był piękny i zupełne ucieszenie morza i wiatrów. Taka pora pożądana dla statków parowych, których koła głębiej i równiej chwytać mogą powierzchnię wody niż kiedy jest zaburzona. Spieszniej szedł okręt, gwiazdy iskrzyły się na nieba sklepieniu, a słońce blade jaśniał nad ciemnym tłem morza. Nasz kalecki gracz wygrywał na pokładzie, a ochocza drużyna majtków tańczyła skoczne *ryle*. Z czasem wszystko się ucieszyło, każdy poszedł do spoczynku, jeden tylko sternik z wlepionymi na kompas i na polarną gwiazdę oczyma czuwał,— i ja z nim. Postanowiłem bowiem całą noc bezsennie przepędzić, aby rano widzieć wschód słońca na morzu, — i widziałem ten wspaniały, i nie do opisania obraz.« — »Im bardziej zbliża-

liśmy się do ujścia Tamizy, tém większy był ruch na morzu. Okręty w różnych odległościach płynęły przed i za nami, inne zaś z bliska omijały; a było ich takie mnóstwo, że morze przedstawiało drugi wielki gościniec, którym ze wszystkich części ziemi, ze wszystkich stref, i od wszystkich ludów sprowadzano do Anglii bogactwa; a ona, wypłacając się za nie własnymi płodami, zdawała się łańcuchem wzajemności połączyć z sobą najodleglejsze kraje i narody. Wspaniały to był widok patrzeć na ogromne budowy snujące się po morzu w cichej spokojności i jakby bez ruchu, i prawdziwie zdolny obudzić swą majestatyczną postacią najgłębsze uczucia górności. Nic nie wyrównywa téj olbrzymiej czynności Anglików na morzu: przeciwko niej ruch lądowy na największych gościńcach jest niczem. Więcej tam za jednym rzutem oka widziałem okrętów, niż gdzieindziej na najhandlowniejszym gościńcu bryk i pojazdów. Najcudniej tę scenę ożywiały statki przewozowe z ludźmi. Mężczyźni i kobiety strojnie ubrane, stojąc na pokładach mijających się okrętów, witały się nawzajem; znajomi powiewali do siebie chustkami; niektórzy przez sztuczne szkła chwyтали wdzięczne zarysy gór Albionu; kapitanowie okrętów przez morskie tuby rozmawiali z sobą. Był to obraz raczej tęczystości jakiej i święta, niż czynnego i mozolnego życia. Nasz kaledoński Amfjon dzielił także tę radość, i jak gdyby niepomny swych

narodowych ballad, będąc wspólnem uczuciem całego narodu przejęty, zagrał z pokładu okrętu *Rule Britania!* (Panuj Brytanjo!) Kilku młodych kadetów morskich, którzy z nami płynęli, przyłączyło się do niego, i do muzyki śpiewali słowa. Gienjusz Brytanji, który nad tą sceną w całej swój wielkości zdawał się unosić, musiał się radować nad swą potęgą, i napawać się nadzieją większego jeszcze jój wzrostu. Pieśni tej, jak ktoś dobrze uważał, Anglicy większą część swjej potęgi morskiej są winni: śpiewana bywa przez marynarzy w szczęściu i niedoli.« —

Zeglugę morską do Londynu odbył autor we dwa dni, dwie nocy i cztery godziny; ale tą razą nie długo bawił w tej stolicy, udał się bowiem do Szwajcjarji; podróży tej jednak nie opisując wcale wraca do Anglji, i zaczyna znowu opis swój od nadbrzeżnego miasteczka francuzkiego *Dieppe*, gdzie zatrzymała go przez trzy dni nadzwyczajna burza na morzu. Na okręcie zabrakł znajomości z Anglikiem oryginalnego charakteru, który był wielbicielem Napoleona, i wiozł z sobą brązowy jego posążek: a gdy po wylądowaniu w Brighton różne rzeczy w kontrabandzie mu zabrano, nie żałował ich, pocieszając się Napoleonem, który uszedł bystrego oka celników. Miał on zamiar osiąść we Włoszech za przykładem wielu rodaków swoich, których do 100,000 w ówczas żyło za granicą, najwięcej dla oszczędności. Życzliwi dla kraju Anglicy suro-

wem okiem patrzą na tę wędrowki, już to ze względu na straty jakie kraj przez to ponosi, już na narodowość która wiele na tem cierpi, a która była dotąd podstawą ich politycznej i literackiej przewagi. »W dziejach ludzkich, mówi autor, niema narodu, któryby tą dwojaką sławą słynął, nie mając narodowości: te zaś narody okazały się najpotężniejszymi, które jej duchem były najsilniej przejęte. *Narodowość jest to święty ogień Westy, do jego zachowania byt narodów przywiązany.* «

Wylądował autor w *Brighthon*, miasteczku średniego rzędu, gdzie używają kąpieli morskich. Jest to pobyt ulubiony teraźniejszego Króla; ma on tam piękny pałac i obszerne stajnie. Z tego powodu miasto coraz bardziej się wznosi, i czém był dla Królów poprzedników *Windsor*, tem jest dla dzisiejszego *Brighton*. — Oprócz tego miejsca używają jeszcze morskich kąpieli w *Ramsgate*, a mineralnych i ciepłych w *Cheltenham*, *Bath*, *Clifton* i *Matlock*. Ostatnie miejsce jest wioską, wczarującej dolinie leżącą, i ma wody ciepłe. Źródło to ma tę własność iż włożone rzeczy powłóczą się skorupą kamienną, a zostawszy tam nieco dłużej w kamień się obracają. »Wody w *Bath*, *Bristol* i *Clifton* skuteczne są na suchoty, która słabość dla zmienności klimatu nigdzie tyle ofiar, osobliwie płci pięknej, nie porywa ile w Anglii: »pospolicie



(słowa są autora) najmłodsze i najmilsze osoby padają pod jej niemiłosiernym ciosem, ale nim padną, tak je ona upieknie i uwdzięcza, iż niemal z materialnego ciała wyzuwa. Tak nadpsuta wewnątrz żądłem robaka róża rozkwita rychlej, i rychlej więdnie. Smutną ma być rzeczą patrzeć tam na te młodociane i młde istoty, już na pół należące do innego świata, kiedy w cieniu rozłożystych wierzów, same jak cienie chodzą, i po zielonej murawie, która ich w krótko ma pokryć, niepewnym krokiem postępują, albo chwycją na cmentarzu po mogiłach, których liczbę w krótko mają pomnożyć.

»Bristol był dawniej sławny haniebnym handlem niewolników. Ze wszystkich tych kąpielii najznakomitsze są w Bath, jeszcze za Rzymian z skuteczności znane. Do wód tych nie tylko sami chorzy się zjeżdżają, ale i szukający rozrywki, korzyści pieniężnych, bogatego ożenienia i t. p. Panuje tam etykieta i arystokracja, które tym zgromadzeniom ujmują przyjemności. Posunięte są one do tego stopnia, iż znajduje się nawet osobny urzędnik, czyli niejako mistrz obrzędów zwany Królem Bathu. Wynosi się na tę wysoką dostojność, jak mówi autor, jaki *urodzony* awanturnik, który na fluktach wielkiego świata się rozbił, i oprócz powierzchownej układności ma jeszcze tę rzadką zaletę, że potrafi na palcach wyliczać genealogję pierwszych familji w Anglii. Do niego się goście zaraz po przybyciu

meldują. On jest wszystkich marszałkiem, a złoty medal wiszący na piersiach znamionuje jego urząd. On układa bale, koncerty i t. p.»

Cztery ostatnie rozdziały tomu drugiego Przypomnień, poświęca autor Londynowi. Opisując mieszkania cudzoziemców wyszczególnia różne ich rodzaje. Najdrożej kosztuje mieszkanie w hotelach, gdzie w prawdzie wszelkie wygody najzupełniej dogadzają mieszkającemu, ale ten musi być bogatym. Tańsze i pożyteczniejsze z wielu względów są mieszkania u prywatnych rodzin, gdzie razem i stół mieć można. Pomimo drogości życia w Londynie, tańsze jest wszelako jak w Edynburgu, autor bowiem od stołu i mieszkania płacił tam tylko 7 f. szt. na miesiąc, zamiast że w stolicy Szkocji musiał płacić 10 f. s. Oprócz tych wydatków są jeszcze inne, jako to na opłatę służby, na wety i trunki, co przy największej oszczędności do 2 f. s. na miesiąc wynosi. Można mieć i za 4 f. s. mieszkanie, ale to co się oszczędzi na pieniądzach, traci się na istotniejszych korzyściach, która to strata jest niepowetowana dla cudzoziemca. Autor dla większej korzyści ziomków którzyby w Londynie być mieli, przytacza ceny bardzo wielu przedmiotów, mianowicie co do żywności i wygod. Okazuje się z tego, iż cena żywności w traktjerniach nie jest zbyt wysoka, a nawet mniej więcej do cen u nas zwyczajnych przystępuje.

Gmach *Westminster-Hall* mianą jest najpiękniejszy w Europie: jest on 270 stóp długi, 74½ szeroki, a sufit jego wznosi się na 90 stóp, żadnym nie wsparty filarem. Ryszard II. miał w nim wyprawić ucztę, na którą 2,000 kucharzy obiad gotowało, a 10,000 gości było zaproszonych do stołu. — Z tego gmachu ciemnym korytarzem i schodami idzie się do *Izby niższej* parlamentu (*House of Commons*), której powierzchność nie odpowiada wcale ważności jej przeznaczenia. Jest to sala z dawnej kaplicy przerobiona, ciasna i brudna, mająca po obu stronach ławki zielonym saffjanem obite dla członków izby. W głębi jest siedzenie *Mówcy* (*Speaker*) czyli marszałka, przez izbę obieranego, a potwierdzanego przez Króla. Naprzeciw siedzenia mówcy jest galerja przeznaczona dla publiczności, gdzie znajdują się *skoropisarze*, którzy najmniejszą rzecz co się dzieje przez skrócenia zapisują, i natychmiast podają do gazet, tak iż często publiczność czyta o 8 godzinie z rana, to co było w izbie uchwalone do 2 lub 3 godziny w nocy. Niestychaną tam jest rzeczą, aby gazeta kiedy chybiła i nieoddana była na czas poczęcie. — Pod izbą niższą znajduje się piwnica, gdzie były podłożone prochy, w czasie tak zwanego *Spisku prochowego* w r. 1604. — *Izba Parów* (*House of Lords*) czyli *wyższa*, tak zwana dla tego iż wyżej leży od *Izby niższej*, mała jest od niej większa i ozdobniejsza. Prezy-

duje w niéy Król, a w nicobecności jego kanclerz państwa.

W części miasta *Adelphi* zwanéj znajduje się instytut sztuk, rękodzieł i handlu, zwany *Society of arts*. Posiada on mnóstwo modeli rozmaitych wynalazków, od epoki wynalezienia ich aż do wydoskonalonego stanu. Towarzystwo instytut ten od r. 1754 pielęgnujące liczy 1700 członków, a Xzc *Sussex* brat Króla jest jego prezesem. Sala posiedzeń i kilka stykających się z nią pokojów ozdobione są historycznymi i allegorycznymi obrazami Jakóba Barry członka tegoż towarzystwa. Z tych najznamienszém dziełem i ciągle z upodobaniem oglądaném jest obraz przedstawiający *Pola Elizejskie*, czyli stan ostateczny nagrody. — Anglicy w ogólności celują nad innymi w allegorjach moralnych, które u nich nie tak jak u innych ludów do czucia lecz do rozumu więcéj przemawiają. Ich poczję zwłaszcza nowszych czasów ten sam znamionuje charakter. »Jest to, mówi autor, niezawodnie skutkiem wyższego ukształcenia moralnego, i rozwinięcia wielostronnie władz rozumnych. Z tej też przyczyny i karykatury angielskie miane są za najlepsze.« Zgoła Anglicy są jednym narodem, który ma literaturę karykatur i allegorji. Autor narzeka iż przy odwiedzaniu wszelkich instytutów tamiecznych, przewodnicy zbyt mało pozwalają czasu do przypatrzenia się przedmiotom, chociaż wszędzie dobrze się za to opłaca.

Radzi więc być wszędzie kilkakrotnie, a dla zmniejszenia kosztów, w towarzystwie.

Równie ważnym jak poprzedzający jest instytut *Królewskiej Akademji* w Somerset-House, poświęcony malarstwu, snycerstwu i budownictwu. Corocznie w maju odbywa się tam publiczna wystawa sztuk pięknych, na którą wnieść kosztuje 1 szyling od osoby. Autor radzi w tym miejscu, aby i u nas mogła być pobierana mierna opłata od odwiedzających sale wystawy sztuk pięknych, i zdanie to swoje sprawiedliwymi popiera uwagami. W Somerset-House znajduje się jeszcze towarzystwo badaczy starożytności, i Królewskie Towarzystwo, mające na celu rozszerzanie nauk przyrodzonych i wynalazków. Towarzystwo *Royal Institution* ma za cel zastosowanie naukowych zasad do sztuk i rzemiosł. Towarzystwo dla wsparcia literatury trudni się wydobywaniem nieznanych pomników i ogłaszaniem takowych. Zbyt szczupłe miejsce nie dozwala nam nawet zamieścić spisu mnogich Towarzystw i instytucji naukowych lub przemysłowych, które autor wyszczególnia, a których liczba corocznie jeszcze się pomnaża. Ze wszystkich jednak najważniejszym zakładem jest Uniwersytet Londyński, w którym w roku bieżącym kursa rozpoczęte być mają. Fundusz na założenie jego zebrano ze składek; do postawienia go zaś na stopie zamierzonej pierwotnym planem potrzeba 300,000 f. s. (,12,000000 złtp.).

Guildhall jest dawny ratusz londyński, gdzie obierany bywa *Burmistrz* (Lord Mayor) i gdzie odbywa się kilka sądów od jego jurysdykcji zależących. — Autor dowiedziawszy się z gazet że Polak jakiś został tam osądzony na karę więzienia, nie obojętny na los ziomka, udał się do więzienia, ale przekonał się, że to był żyd rodem z Płocka, który już nieraz zostawał w więzieniu. Pisma publiczne jednak mocno nad nim ubolewały, i narzekały na niesprawiedliwość sędziów. Okoliczność ta zdaje się dowodzić szacunku i przywiązania Anglików do naszego narodu. — W czasie pobytu autora w Londynie odbył się wybór burmistrza. Godność tę roczną otrzymuje zwykle jeden z bogatych kupców lub fabrykantów, i gdyby jej przyjęcia odmawiał, winien jest zapłacić 500 f. s. kary; pobiera zaś 6,000 f. s. na kancelarję, ale ta summa nie wystarcza mu, i zwykle kilka tysięcy ze swego dołożyć musi. Pałac w którym mieszka zwany *Mansion House*, jest bardzo wielki, a wystawienie jego kosztowało 45,000 f. s. Burmistrz ten ma władzę nad całym Londynem oprócz *Westminsteru*, gdzie urzęduje inny burmistrz dożywotni przez kapitułę *Westminsterską* mianowany. — W ratuszu *Guidhall* znajduje się ogromna sala pomnikami znakomitych mężów i gotyckimi rzeźbami ozdobiona, w której zmieścić się może 7,000 osób. — Idąc od ratusza ku Tamizie widać *pomnik* wystawiony na pamiątkę

wielkiego pożaru, który miał być przez katolików wzniecony i pochłonął 89 kościołów, oraz 13,200 domów. Pomnik ten mający wewnątrz schody do wyjścia na wierzch ma 202 stóp wysokości, a ze szczytu jego cały Londyn widzieć się daje.

Ciekawy jest *Dom Indyjski* (*East India House*) do kompanji wschodnio-indyjskiej należący, w którym znajduje się wielki skład towarów indyjskich. Gmach ten zawiera muzeum i zbiór, złożony z dzieł oryginalnych indyjskich, oraz ze wszystkich jakie o Indjach były pisane. Muzeum starożytności indyjskich nie jest tak liczne jak bogate; ale zrozumienie ich a przynajmniej odgadnienie wymaga głębokiej znajomości spraw wschodu i panujących tam wyobrażeń. Kompanja Wschodnio-indyjska do której ten gmach należy, złożona jest z majątnych kupców, mających wyłączne prawo prowadzenia handlu w Indjach wschodnich. Początek jej odnosi się do czasów Elżbiety. W r. 1814 parlament ścieśnił nieco jej samokupstwo. Ma ona wielu nieprzyjaciół, i od kilku lat daje się postrzegać dążenie narodu do zniesienia wszystkich przywilejów kompanjom handlowym służącym. W roku 1824 upływa kontrakt kompanji Wschodnio-indyjskiej, którą dotąd stanowi *status in statu*, utrzymuje na żołdzie swoim znaczne wojsko, i mogłaby się nawet własnej ojczyźnie z tego powodu stać groźną.

Jest w Londynie kilka gmachów zwiedzanych przez cudzoziemców nie dla architektury, ani dla osobliwości w nich znajdujących się, lecz dlatego że są głównymi punktami, na około których wszystko w handlu i w pieniężnych interesach się obraca. Do tych należy naprzód *Komora* (Custom House) obszerny gmach nad Tamizą. Towary wysyłane za granicę są wolne od opłat celnych, od pozostających zaś na konsumpcję krajową ogromne cła są nałożone. I ta to jest przyczyna że u nas angielskie towary tańsze są niżeli w własnej ojczyźnie. Niemalżej wagi w interesach handlowych jest *Bank* (Bank of England), gmach ogromny nie mający atoli nic osobliwego. Bank ten wydaje papiery swoje zwane *Bank-notes*, czyli pieniądze papierowe; utrzymują, że jest ich więcej za 30,000,000 nad realny kapitał banku. Bank ten istnieje od r. 1694 zarządza nim jeden gubernator i 24 dyrektorów, wybieranych corocznie z pomiędzy akcjonistów. Oprócz tego liczy W. Brytania 5 uprzywilejowanych banków a 868 prywatnych. — Od Banku niedaleko jest *Giełda* (Royal Exchange), gdzie kupcy lub mający z nimi interesa schodzą się między 2 a 4 godziną. Pokazywano tam autorowi filar pod którym faworyt fortuny *Rot-schild* zwykle stawa, kiedy o miliony zawiera układy. Na środku dziedzińca stoi posąg Karola I. Założycielem giełdy jest *Gresham*. Znajdująca się w tymże gmachu *Kawiarnia Lloy'ds*, nie jest kawiarnią, ale raczej izbą schadzek, punktem centralnym interesów, gdzie wszystkie wiadomości obchodzić mogące przemysł i handel zbierają się i ogłaszają. Niedaleko od Giełdy leży Poczta, tak wielki z nią mająca związek. Od listów za granicę idących opłaca się *franco* załe, od listu w kraju płaci odbierający. List kopertowany uważany jest za podwójny,

równie jak ten w którym cokolwiek bądź przesyła się, choćby próbkę gazy. Członkowie parlamentu przesyłają i odbierają listy bezpłatnie; Poczta ta zasługuje na wszelką ufność, »Można w listach, mówi autor, załączać największe summy, bez zapisania ich na pocztę, bez wyrażenia na kopercie, i posyłający są pewni że dojdą. To ścisłe zachowanie wiary i akuratności w handlowym kraju, gdzie na prędkiej korespondencji tyle polega, jest niedbicie potrzebnem.« Poczta główna ma 60 kantorów w różnych częściach miasta, do przyjmowania listów. Oprócz tej poczty jest jeszcze tak zwana *Two-penny post*, którąby dwugroszową nazwać można. Ułatwia ona korespondencje w samym Londynie i jego okolicach, i co dwie godzin odchodzi. W r. 1825 poczta czyniła rządowi 2,268,619 f. szt. (90,744,760 złtłp.) a dziś, w nosząc z miary wzrastających dochodów, musi czynić około złtłp. 100,000,000.

Handel xięgarski nie jest także mało znaczącym artykułem bogactwa narodowego, oprócz wpływu moralnego jaki na byt narodów wywiera. Dzieł nowych, nie licząc pisemek, pamiętników, gazet, wychodzi w Anglii do 700. Pisma popularne są bardzo poszukiwane i cenne. Dzieła Byrona na wiersze oceniano, i płacono po 1 f. s. od wiersza. Walter - Scott z romansów swoich znaczny zebrał majątek.— We wszystkich pismach i dziełach panują dwa stronnictwa *Whigów i Torysów*. Niestłychane mnóstwo wychodzi pism perjodycznych: autor naliczył 117 pism rozmaitych naukowych, a gazet ma do 500 wychodzić.

Za umiarkowaną cenę dostać można pomniejszych towarów w tak zwanym *Bazaar*, na *Soho - Squarrę*, gdzie sprzedają na rzecz ubogich towary ręką najznakomitszych cór Albjonu wyrobione, nad któremi pracują one cała zinę,

aby je w kwietniu oddać do Bazaru. Sprzedaż ich poruczona jest ubogim starym kobietom, których tam jest do 200. Podobny widok przedstawia arkada *Burlingtona*, na *Bond-Street*, jest to galerja długa mająca po obu stronach sklepy.

Do widzenia godnych zakładów należą browary porteru. *Browar Whitbreda*, który autor oglądał, za pomocą maszyny parowej działający, ma 46 wielkich kadzi, z których największa miała 22 stóp w przecięciu a 27 wysokości. »Nicboszyk król, przytacza autor, odwiedził był ten browar z całą swoją rodziną. Na przyjęcie wysokiego gościa *Whitbread* miał dać śniadanie w jednej pipie (kadzi), które kosztowało 1,500 f. s. Gdy król zapytał się go, ile miał beczek porteru? Tyle odpowiedział, że mógłbym nie-mi zastawić całą drogę z Londynu do Windsor. (22 mil ang. odległości). Drugi sławny browar jest *Barclaya*, który od samego porteru płaci rocznie podatku 200,000 f. s. (8,000,000) złt. Podatek od siodu w trzech królestwach r. 1826 przynosił rządowi 4,500,333 f. s.

Anglja słynie nad wszystkie kraje zakładami dobroczynności. W stolicy jest 45 szkółek, w których 4,000 dzieci ubogich ma naukę i utrzymanie. Szkółek dla sierot i dzieci opuszczonych jest 17, a parafjalnych utrzymywanych z dobro-wolnych składek 234; w nich 12,000 dzieci o-bojęj płci otrzymuje naukę i wsparcie. Szpita-lów jest 22 dla rozmaitych chorych; domów jał-mużny 107, gdzie przytułek i opatrzenie znaj-duje wiek podeszły; zakładów 18 do przyjęcia w każdym czasie ubogich chorych. Wszystkie te instytuta są najwięcej przez prywatnych za-łożone. Do ciekawych zakładów należy *Magda-len asylum*, mający na celu poprawę kobiet roz-pustnych, założony przez sławnego kaznodzieję Dok: Dodd. Pięknie urządzony *Dom podrzut-ków* (*Foundlings-Hospital*) odpowiada co do ce-

la naszymu szpitalowi *Dzieciątka Jezus* w Warszawie. Z pomiędzy szpitali dla chorych najważniejsze są *Szpital Sgo Tomasza* i *Guya*, pierwszy założony przez Edwarda VI. ma 30 do 40,000 dochodu; drugi założony jest przez xięgarza londyńskiego *Guy*, który na samą jego budowę poświęciwszy 18,790 f. s. na uposażenie przeznaczył sumnę 218,499 f. s. Doktor *Scott* naczelny tego zakładu lekarz sam autorowi okazywał wszystko cobyło uwagi godnem, a między innymi sale dla obłąkanych przeznaczone. Do znacznych szpitalów dla ubogiej klasy ludności należy jeszcze szpital *Sgo Łukasza*, *Sgo Bartłomieja* i *Londyński*. Jest nadto i innych wiele zakładów, ale te wszystkie jeszcze nie są dostateczne dla Londynu. Szpitale te są szkołami dla przyszłych lekarzy. W niektórych są teatra anatomiczne, gdzie dają prelekcje anatomji i innych przedmiotów lekarskich. Uczniowie tacy zostając pod kierunkiem chirurgów lub doktorów, winni im są opłacać znaczną sumnę roczną, po czem dopiero uzyskują świadectwo z praktyki w szpitalu, pomocne dla nich do licencjatu i doktoryzacji. W ogólności Anglja ukształca wielu praktycznych lekarzy i chirurgów, lecz mało doktorów. Najlepsza dla lekarzy szkoła jest w Edynburgu. Z powodu zbyt wysokich opłat od nauk lekarskich, liczba lekarzy jest zamała i niestosowna do ludności. Pospólstwo musi przestawać na lekarstwach powszechnych i tajnych preparatach tak zwanych *nostrums*, o których pełno obwieszczeń w gazetach i po rogach ulic. — W towarzystwie Doktora *Scott* zwiedził autor szpital obłąkanych w *Bedlam*, w miesiącu listopadzie, kiedy Anglików najwięcej *Spleen* nagaba. Jest to ogromny gmach, 590 stóp długi, z kopułą we środku, z obszernym ogrodem w tyle do przechadzki dla chorych. Wystawa jego w przysionku wspiera się na trzech kolumnach

łoryneckich; na nią połączone są trzech zjednoczonych królestw herby: lęw, oset i harfa, jak gdyby cała Brytanja równe do tego miała prawo. Tam między innymi rodzajami obłąkanych, widział autor kobietę, która z fanatyzmu religijnego popełniła morderstwo na własnym dziecku, mniemając że przyjemną Bogu czyni ofiarę; drugą ważniejszą tam osobą była Małgorzata *Nicholson*, która w r. 1784 króla Jerzego III., w chwili kiedy wysiadał z pojazdu na teatr, pchnęła sztyltem i niebezpiecznie raniła. Król uważał ją tylko za obłąkaną, i słowa jego wzięte za prawdę, a to ją uwolniło od kary. Z mężczyzną zwracał uwagę student Heidelbergski, który zamierzał być za pomocą okrętu jakiegoś, i zastosowania prawa *Habeas corpus*, uwolnić Napoleona z wyspy S. Heleny, i po odkryciu tego zamiaru osadzony został w Bedlam. »Weszliśmy, mówi autor opisując tego człowieka, do osobnego pokoju, gdzieśmy zastali młodzieńca nie mającego więcej nad 30 lat. Leżały książki i papiery na stoliku, kilka foliów stało na pułec. Spojrzałem na tytuły książek: były francuzkie, niemieckie, greckie, wszystkie naukowej treści. Flotowers i nóry leżały na łóżku dość porządnie zastanem. To wszystko za mądre, pomyślałem w sobie, na mieszkanie warjata. Podziwienie moje jeszcze się powiększyło, kiedy na stoliku obaczyłem Homera i notatki do niego, a mieszkaniem celi trzema językami, niemieckim, francuzkim i angielskim dobrze się wyrażał, słowem nie był wcale tem za co go z początku miałem, bo nietylko zdawał się mieć zdrowy, ale nawet niepospolity rozsądek.« Oprócz kilku innych obłąkanych widział autor szewca, który mniemał się być prorokiem, i przepowiadał przyjście Messjasza. Rozdział ostatni zakończy autor uwagami nad domem obłąkanych, a między innymi tak mówi: »Wrażenie jakiego tam się do-

znaje jest tak wielkie, że dość być raz w domu obłąkanych, aby nie być w nim nigdy. «

ROZMAITOŚCI.

Wiadomości o wyprawie P. Dumont Durville, Kapitana fregaty, dowodzącego korwetą Astrolabe. — Odebrano bardzo pomyślnie wiadomości o tym podróży. Ostatni list do ministra marynarki przez niego pisany, nosi datę z Hobart-Town (na wyspie Van-Diemen), 4 Stycznia 1828. Wyprawa ta, tak skołatana przez burze, iż się nawet obawiono aby się niepomyślnie nie zakończyła, spotkała w drodze statek połowem wielorybów trudniący się, który jej ustąpił kotwicy, i wszystkiego czego do bezpiecznego żeglowania potrzebowała. Kapitan Durville zwiedził już połowę brzegów Nowej Gwinei. Oddalił się nieco dla zwiedzenia nieco odległej wyspy, ale w krótkce wrócił na drogę swoją. Donoszą, iż wyprawa nagromadziła już wiele bogactw naukowych. Niespokojność jaką obudzał stan niepomyślny tych żeglarzy, powinna dzisiaj zupełnie ustać. Oprócz celu naukowego wyprawy, P. Durville miał sobie polecone śledzenie śladów żeglarza La Peyrouse. Po zwiedzeniu zatok Nowej Zelandji, miał on się udać do Tukopji, Malicolo i do wysp Murray. Mniemają że w pobliżu tych wysp zatopili ci nieszczęśliwi żeglarze, co na statku ze szczątków wyprawy La Peyrousa zbudowanym, usiłowali powrócić do Europy. P. Durville zamyslał udać się do wysp Moluckich w Lipcu lub Sierpniu r. b.

(*Jorn, de Voy.*)

Pasożytne grzyby. — Uczony doktor Mitschel z Nowego Jorku, w skutku długich i licznych do-

świadczeń przekonał się o istnieniu pasożytnych grzybów na ciele niektórych żyjących owadów. Roślina ta nie jest właściwą jednej tylko familji owadów, ale na rozmaitych rodzajach postrzegać się daje. Co zaś niemniej jest dziwném, iż kilka gatunków tych grzybów rośnie razem na jednym owadzie. Niektóre zaczynają niszczyć rośnienie swoje, jak poczwariki *Ichneumona* w samem ciele owadu, i nie ustają w tém działaniu dopóki nie sprawią śmierci zwierzątka. Owady przedstawiające przykład tego szczególniejszego połączenia życia zwierzęcego z życiem roślinnem, niszczone bywają przez nagłe zepsucie; żyją wszelako dość długo aby mogły być znalezione przez naturalistów i stać się przedmiotem ich postrzeżeń. Doktor Mitschel mniema że rodzaj ten grzybów pasożytnych, przywiązujących się do owadu, ma ważne znaczenie w ekonomij przyrodzenia, kładąc granicę ogromnemu wzrostowi téj klasy zwierząt.

(*Jour. de Pet.*)

Kommunikacja spławna między Oceanem Atlantyckim i Wielkim oceanem. — Dnia 17 Czerwca 1826 podpisana została umowa zawarta między Rzeczpospolitą środkowej Ameryki i Towarzystwem zawiązanem w New-York; celem zaprowadzenia żeglugi między Oceanem Atlantyckim i Wielkim Oceanem, przez kraj Nicaragua, do téj Rzeczypospolitej należącej. Z morza Antylskiego płynąć będzie można przez Rio-San Juan do jeziora Nicaragua, z końca którego od zachodu, kanał, siedmnaście mil długi otworzy drogę na Wielki ocean. Towarzystwo to będzie miało prawo pobierania opłat i rozmaitych używać będzie przywilejów.

(*Ann. des Voy.*).

NOWE DZIEŁA.

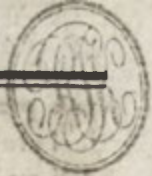
—*Précis de la Géographie universelle, ou Description de toutes les parties du monde sur un plan nouveau, d'après les grandes divisions naturelles du globe; précédée de l'histoire de la Géographie chez les peuples anciens et modernes. et d'une théorie générale de la géographie mathématique, physique et politique, accompagnée des cartes, tableaux analitiques, synoptiques et élémentaires, et d'une table alphabétique des noms de lieux; par M. Malte-Brun: tome 7me, suite de la Description de l'Europe.* — Paris 1828.

Tom 6ty tego ważnego dzieła wyszedł jeszcze za życia Malte-Bruna w końcu 1826 r. Tom 7my jest również przez niego napisany i zawiera obraz Niemiec, Szwajcarji i Włoch. Nie wiadomo kto się zajmuje wypracowaniem dalszych części dzieła, które taką chwałę autorowi samemu przyniosło.

—Ogłoszono w Paryżu prenumeratę na nowe dzieło: *Grand et nouvel Atlas universel de Géographie ancienne et moderne de toutes les parties du monde.* Składać się ma z 30 kart wielkiego formatu, i wyjdzie w 10 poszytach, z których każdy 10 fr. na miejscu ma kosztować.

—*Observations sur la Pologne et les Polonois.* — 1. Tom. 8vo. Genewa. Dzieło to ma służyć za wstęp do Pamiętników Michała Ogińskiego, o Polsce i jej mieszkańcach, od 1788 do 1815 w Paryżu wydanych.

—*Geschichte, Geographie und Statistik der Insel Sardinien.* — von Dr. F. Hörschelmann.



K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 20.

Z DRUGIEJ POŁOWY PAŹDZIERNIKA 1828 ROKU.

IV.

WIADOMOŚĆ O PODRÓŻY P. LABORDE OD- BYTEJ na WSCHODZIE.

P. Alexander Laborde, który niedawno odbywał podróż na wschodzie, czytał na ostatniem posiedzeniu czterech wydziałów akademji francuzkiej zdanie sprawy z tejże podróży. Wyjaśnił naprzód zgromadzeniu temu cel jej właściwy. Stanowiła ona część praktycznej edukacji, którą chciał dać swemu synowi. W towarzystwie kilku przyjaciół zwiedził on Włochy i poczęści wyspy Jońskie, a potem umyślił zapuścić się w głąb kraju, którego okolice tylko nadmorskie zwiedzają powiększej części podróżni, i w tym celu udał się ze Smyrny do Konstantyno-

pola przez *Sardes*. Towarzyszący mu przyjaciele i słudzy, na koniach, dobrze uzbrojeni, składali małą karawanę, obronniejszą, aniżeli większa część ludów, przez których ziemię przejeżdżali. Broń ta, mowi P. *Labordè*, wrażała poszanowanie, do którego datek kilku parasów jedną przychylność. Paktol przestał toczyć złote nurty w mieście Krezusa; same tylko zwałiska znajduje tam wędrownik; groby są jedynymi pomnikami, świadczącymi o bytności starożytnego narodu. Grobowiec ojca Krezusa, który po piramidach za najogromniejszy pomnik był uważany, dosyć jest podobny do góry; wystawiły go, jak podanie świadczy, swoim kosztem nierządnicę; co, wedle uwagi P. *Laborde*, nienajpochlebniejsze daje wyobrażenie o czystości obyczajów Sardeskich. — Wyjechawszy z Sardów, podróżny przebył rzekę *Hermus*, płaszczyznę Hirkanji, i zapuścił się w głąb pasma gór, zwanych *Soasuf-Dach*, które się rozciągają od góry Olimpu do góry Idy, rozgraniczając wody morza Marmora, od wód Archipelagu. Wszędzie po tej drodze w pewnych odległościach znajdują się cysterny, porobione kosztem dobroczynnych ludzi, których imiona zwykle są wykute na kamieniu, a często-kroć przy tém jakie zdanie z Koranu; nad jedną cysterną podróżny nasz wyczytał te wyrazy: »*Najdoskonalszy człowiek jest ten, który jest najużyteczniejszym dla swoich współbraci.*« Po zwiedzeniu Konstantynopola, gdzie wędrownik

był świadkiem trzech znakomitych wypadków, kraju tego cechą będących: rewolucji, powietrza morowego i pożarów, przebiegł Azję mniejszą. Zwiedziwszy miasta Nikomedje i Niceę, gdzie jeszcze godne uwagi znajdują się ruiny, P. Laborde, udał się na wschód, ku brzegom *Sangarius*, i zaledwie stanął nad jeziorem *Sabanja*, u starożytnych *Sophon* zwaném, alieście odkrył pomnik Rzymski ogromnych wymiarów; jest to most o sześciu arkadach, do którego prowadzi łuk tryumfalny, i kończy go niejako powtórzenie tegoż łuku, w kształcie sklepienia, przypartego do góry, a otwartego z obu stron, dla przejścia drogi rzymskiej. O dziesięć mil w stronie południowo-zachodniej względem Kutahji, znalazł miasto rzymskie, którego dotąd żaden jeszcze nie zwiedził podróżny, i o którym w starożytnych *itinerariach* nie ma nawet wzmianki. Znaczniejsze w niem gmachy są: teatr wielki, plac gonitw, wiele portyków dobrze zachowanych, i nie bardzo wyniosła, ale najwyborniejszej architektury świątynia jonicka. Kolumny na 30 stóp wysokie, z jednej sztuki marmuru, kanelowane, podpierają gzyms nader ozdobny i gustowny. Ze śladów napisu, będącego niegdyś na frontonie, okazuje się, że świątynia ta była naprawiona za czasów Adrijana, a poświęcona Apollinowi. Miejsce to po turecku nazywa się *Chapder*; ożywia je strumień, przez który rzucony jest most rzymski o pięciu arkadach, równie dobrze dochowa-

nych jak i sklepienie, do którego przytyka. Z *Chapderu* udał się P. Laborde do pomnika frygijskiego, opisanego przez pułkownika *Leels*; w tejże dolinie udało mu się odkryć drugi pomnik podobny, a o 6 mil dalej trzeci, od tamtych większy, z napisem jednakowym. Lecz więcej go interesował, i zabrał mu dwa miesiące czasu kraj zawarty między *Affroni*-*Karahissar*, *Denislu* i *Jsparta*: tam bowiem zajmował się dokładnym oznaczeniem źródeł i biegu rzek: *Menandru*, *Lyku* i *Marsyas*, posad mnóstwa miast starożytnych, nad ich brzegami położonych, a nade wszystko położenia miast *Hieropolis* i *Aphrodisias*. Pierwsze sławne od najdawniejszych czasów wodami mineralnymi, ma dotąd jeszcze grootę duszącą, o której wspomina *Strabon*, gdzie ptaki padały bez ducha; są też tu zwaliska świątyni *Apolina*, i długi szereg okazałych grobowców. Pośród miasta *Aphrodisias*, dziś zwanego *Gue-rra*, wznosi się świątynia *Wenery*, porządku jonickiego, w większej części dobrze dochowana. Po lewej stronie jest stadjum i teatr. Od jednej bramy do drugiej ciągnie się portyk jonicki, w wytwornym guście. *Aphrodisias* w istocie jest miastem *Wenery*; amorki trzymają girlandy zdobiące gzems portyku. Jest to polowanie amorków na rozmaite zwierzęta, wyobrażone na wewnętrznym frezie świątyni, której dotąd kilka tylko dobrze zachowanych szczątków pozostało. Mnóstwo napisów greckich rozrzuconych między

zwaliskami, jeszcze interessowniéjszém to miejscu czyni. Zwiedziwszy celniejsze miasta Syrji, P. Laborde opisuje w ten sposób *Palmirę* i *Balbek*. Palmira jest zbudowana według planu większej części miast starożytnych, a w ogólności osad rzymskich. Długa ulica ozdobiona portykami w kolumnach i drugą podobną przecięta, z jednej strony kończy się świątynią Neptuna, a z drugiej świątynią Jowisza. Ten natłok świątyń i grobowców, tudzież długie pasma kolumn, wspaniały czynićby powinny widok, wszakże nie tak jest jak sobie powszechnie wyobrażają: równina, rozciągająca się do koła, jak tylko oko zasięgnąć może najnniejszym nieprzerwana pagórką, sprawia to, że pomniki z dala wydają się jakby odcięte na lazurówym tle nieba, są małe, i prawie tak wyglądają jak białe kołki na piaszczystym pozatykane gruncie; gatunek marmuru, pozbawionego swej ciepłej barwy na włoskich pomnikach, jeszcze więcej im ujmuje; przypatrzenie się też z bliska nie przyczynia im zalet; wyjąwszy świątynią Jowisza, formującą ogromną masę, piękną w szczegółach, wszystkie inne mają mnóstwo uchybień, wypukłości na kolumnach, gęste załamania i framugi, obfitość raczej a nie dobór ozdób, oddala te budowy od pięknego Antoninów wieku. Wszakże, osobliwsze to miasto, dla ogółu swego, a nadewszystko położenia śród pustyni, zawsze będzie liczone do rzędu miast najciekawszych dla wędrownika.

Przez dwa dni, któreśmy w niem przepędzili, ustawicznie się nam naprzykrzali mieszkańcy, żądając podobnego okupu, jaki niedawno byli wymogli na znakomitym podróżnym Panu *Bauket*; opieraliśmy się im stale: aż nakoniec drugiego dnia wieczorem tłuszcza uzbrojona w strzelby wpadła do naszego mieszkania, zagrażając że nas uwięzi, jeżeli każdy po 1,000 piastrów nie zapłaci. Na wszystkie ich mowy Szeik nasz z najmniejszą krwią odpowiadał temi słowy: »Przyrzekłem szeikowi *Thala*, zaprowadzić tych podróżnych do *Tadınor*, i towarzyszyć im do *Homs*; jutro ztąd wyjadą; Bóg jest wielki!« W samej rzeczy, mieszkańcy nazajutrz byli wyrozumiali, i za małą opłatą dozwolili nam w dalszą udać się drogę. — Po trzech dniach niezmiernie utrudzającej podróży, przybyliśmy do pokolenia naszego szeika, które on domem swoim nazywał. Tam dwa dni z tem przepędziliśmy pokoleniem, błąkając się z niem, spoczywając pod namiotami, i rozważając obyczaje tych ludzi, zbliżonych do stanu natury, którzy wystawieni na wszelkie potrzeby, walcząc z niedostatkami, jedyną pociechę znajdują w awanturничем i swobodném życiu. — Z *Palmiry* udaliśmy się ku *Latakje*, dla zwiedzenia pobraża Syryjskiego, Libanu i pięknych dolin przerywających go w różnych kierunkach, miejsc sławnych w piśmie ś. i przyozdobionych pomnikami wszystkich wieków. Po dwudniowej drodze, przechodzi się od cedrów *Sal-*

mona do olbrzymich pomników Balbeku i cudownego pałacu Xiążęcia Druzów. *Balbek* przewyższa *Palmire* wielkością i wytwornością stylu architektonicznego: kolumny na 60 stóp wysokie, z jednej sztuki, spoczywają tam na podstawach z większych jeszcze kamieni; pałac *Emira Bechir* jest podobno najdoskonalszym wzorem architektury arabskiej. Rządca który go kazał wybudować, ma pod swojemi rozkazami 50,000 chrześcijan zbrojnych i 40,000 Druzów; i chociaż powierchownie wyznaje religję mahometańską, jest jednak chrześcijaninem, a jego życie osobliwsze, pełne przygod, przypomina czasy *Salady*na i *Malek-Adela*. — *P. Laborde* udaje się potem do Egiptu przez Palestynę. W tych krajach mocno do serca Francuza przemawiają wspomnienia. Wypytywano tam podróżnego o wielu z jego rodaków. W Egipcie oglądał fabryki żelazne i wyrobów przedzionych, jak w *Manchester*, a *Baszę* znalazł czytającego dzienniki konstytucyjne paryzkie. Wady rządów *Mehmeda Alego* nie uszły uwagi *P. Laborde*; tłumaczy je dowcipnie, przypisując po większej części pośpiechowi, który przewodniczy *Paszy* w jego usiłowaniach nad polepszeniem bytu krajowego. »Co wykonam, mawia *Mehmed*, może się w części ostoić: lecz nikt już nie zrobi tego, czego ja nie zdołam.« Uwagi zebrane przez podróżnego w przejeździe przez *Grecję*, są nader interesowne. Sądzi on o tym narodzić, jako czło-

wiek nawykły do oceniania ludzi bez uniesienia i niesłuszności. Dziejwsze Greków wady nie pozbawiają ich otuchy że kiedyś będą cnotliwymi. Widział Miaulisa admirała flot greckich, naprawiającego swój okręt własnymi rękami; widział Kanarysa pod skromną strzechą, niewymagającego żadnej nagrody, a ograniczającego swą ambicję na bohaterstwie; widział męznego Fawier, ukrywającego pod odzieniem Robinsona cnoty wojskowe i patryotyczne. Wszystko co czytał P. Laborde jest ciekawe i pełne wdzięku. Opisy tkliwej gościnności jakiej niekiedy doznawał, są obrazem wybornymi prawdziwie starożytnym, a słuchaczom zdawało się że są przeniesieni nad brzegi Nilu, albo na święte Aten zwaliska.

V.

PRZEJAZDZKA DO RANGOUN w PAŃSTWIE BIRMANÓW. *Wyjatek z listu podróżnego z d. 18 Października 1826.*

D. 20 Września 1826 opuściliśmy Madras, i przepłynąwszy odnogę Bengalską, przybyliśmy do *Rangoun* d. 28; nakoniec, płynąc pod wodę rzeki tak długo jak nas wzbieranie morza posuwało, zawinęliśmy na prost złotej pagody. Wie-

czorem, posłaliśmy depesze nasze na pokład okrętu *Champion*, stojącego na kotwicy przed miastem; osada okrętu tego na wpół prawie przez *mustyki* pożarta była. Dowiedziawszy się że tylko przez dwadzieścia cztery godzin zostać tam mamy, chciałem nieco obejrzyć Rangoun, jeśliby to podobnym było; w tym celu przyłączyłem się do orszaku officerów.

Nazajutrz z rana, ruszyliśmy w drogę z wznoszącym morzem; przybywszy do miasta, uderzony zostałem nędzną postacią mieszkańców. Nie dziwię się teraz że nasi żołnierze i majtkowie tak chorują, kiedy do téj trudnej służby są użyci, ponieważ w porze deszczów Rangoun jest zupełnie zalaniem bagniskiem. Miasto zbudowane jest na palach; chaty zaś stawiane są z bambusów; zdawało mi się, iż cztery grube bambusy, pionowo zatknięte, tworzą cztery węgły budowy; inne przymocowane o cztery stopy nad ziemią, stanowią podłogę; dachy są z mat bambusowych ułożone. Ztąd człowiek jeden nie potrzebuje więcej, nad tydzień czasu do zbudowania sobie chaty. Wzdłuż rzeki idąc postrzegłem niektóre z tych chat pośród rozlanej szeroko stojącej wody; wszystkie nieczystości zmiecione były pod podłogę domu; mieszkańcy bowiem zbyt są niedołączni, aby je dalej wynieść mieli.

Birmanie zdają mi się być wzrostu małego i krępi; chodzą prawie nagó; jest to lud wojowniczy; walczy na statkach wojennych i w okopach.

Kobięty mają zawieszane u nosów i uszów wielkie pierścienie; noszą rodzaj kamizelki otwartej w pódłuż lewego boku; mają piękne oczy; widziałem równie wiele między niemi mających ładne rumieńce.

Dotąd jeszcze dają się widzié zniszczenia wojny; mury małych pagod pełne były dziur, które powybijali nasi żołnierze spodziewając się znaleźć tam skarby. Pagody te są dziś opuszczone; złota pagoda, miejsce święte, sama tylko jest w dobrym stanie; od strony drogi przedstawia ona bardzo ładny widok: stoi na wzgórzu i jest bardzo wysoka, mocno zbudowana, i od dołu aż do szczytu pozłocona; urządzone ze czterech stron stopnie służą jej za podstawę, i utrzymują wielką kopułę. Opisanie to słabe da ci o niej wyobrażenie; ponieważ krótko tu zbyt bawiłem, abym mógł być odrysować tę świątynię lub z uwagą jej się przypatrzeć. Na tych stopniach jak sądzę Birmanie odbywają modlitwy swoje przy wschodzie i zachodzie słońca. Walczyli oni z zaciętością w obronie miejsca tego i kilkakrotnie odparli żołnierzy naszych; ale kiedy ci opanowali z jednej strony pagórek, i wyparli z niej Birmanów na stronę więcéj spadziłą, wielką między niemi rzeź sprawili. Pagoda ta otoczona jest wielkim murem ozdobionym niżami, w których znajdowały się posągi świętych, lecz wszystkie zniszczone lub zabrane zostały przez nasze wojska.

Birmanie są teraz bardzo grzeczni; spodziewają się że w krótkce zupełnie to miejsce opuszczą. Smiałyś się, widząc nas wszystkich opatrzonych w *czaltany* czyli chińskie parasole, które kupowaliśmy dla zastonienia się od słońca.

Z wysokości pagórka tego bardzo okazały ukazuje się widok; okolice miasta okryte są *djenglamami*, a rzeka, którą tu i owdzie oko odkrywa, nadaje pewny wdzięk widokowi. A obok tego, myśl ta, że wielu żołnierzy naszych, walcząc mężnie w tém miejscu gdzie się znajdowałem, śmierć tu znalazło, pomnażała to wrażenie jakie we mnie piękność okolicy sprawiła.

Opuszczając Rangoun, obróciliśmy żagle na południe i zawinęliśmy naprzód przy ujściu rzeki Tavai; nie mając sposobności wyjścia na ląd, nie mogąc ci nie prawie o tém miejscu powiedzieć, prócz tego, że po opadnięciu morza małpy i babyiny zbiegały się gromadami po 40 lub 50 na piasek, dla zbierania muszli, co nas niezmiernie zabawiło. Jest to kraj piękny, ale ponieważ zaczęła się już pora dzdzysta, nie mogłem polować nad brzegami.

Skierowaliśmy się potem ku Poulo-Pinang, albo wyspie Xiążęcia Gallji, która jest bardzo urodzajna, i bardzo znaczny prowadzi handel. Okręty zawijają pomiędzy wyspą i wybrzeżem *Queda*. Można tam dostać towarów angielskich ale bardzo drogo, ponieważ przywożą je

okręty kompanji Indyjskiej. Szczoteczka do zębów kosztowała mnie piast jeden.

Miasto jest porządne i dobrze zabudowane. We wszystkich miejscach tej części ziemi, do których tylko przybiłem, Chińczykowie trudnią się wyrobkiem; są to istotnie ludzie niezmiernie pracowici; robią zwykle siedząc. Ulice zamieszkane są przez tę lub ową klasę rzemieślników; jedna napełniona jest kowalami, inna cieślami, i t. p.; ludzie nie trudniący się powołaniem mechanicznem, mieszkają o milę lub dwie od miasta, pośród gaików kokosowych, w domach do klimatu zastosowanych. Gorąco średnie na pomoście, przy odemknięciu wszystkich otworów działowych, w miejscu najchłodniejszym, wynosiło 85° do 90° (23°53 do 25 75); w Madras gorąco dochodziło do 94° (27°-53) — znajdując się tu dwie oberze. Wsiadłszy na łódź, mogliśmy nająć koni, i tym sposobem odbyłem kilka nader przyjemnych przejażdżek po wyspie. Udałem się do kaskady; woda spada tam z wysokości 60 do 70 stóp, z tak łogrotnym łoskotem, iż towarzysz mój lubo niedaleko się znajdował, nie mógł mię wcale słyszeć.

Kokosy tak są tam pospolite, iż mało je nawet uważają; zbierają je kiedy są zielone, dla wypicia z orzechów mleka, które jest bardzo przyjemnym napojem z rana. Wyciągają także *today*, czyli wino z kokosów, ale te w ówczas nie wydają owoców; sok ścieka w naczynia zawie-

szone na uciętej gałęzi. Wydobywają z kokosów wielką ilość oleju, który daje bardzo jasne światło; krajowcy nacierają sobie nim całe ciało, aby czarna ich skóra nabrała połysku. Niebezpiecznie jest kąpać się w rzece, z powodu alligatorów których jest pełna. W czasie pobytu naszego, alligatory rozszarpały jednego z koni, które krajowice pewien do rzeki dla napojenia zaprowadził.

Z *Pinang* udaliśmy się do *Multerea*, przebywszy cieśninę *Callam*, która się stała sławną z rozbojników morskich; z resztą, grassują oni prawie przy całym wybrzeżu malaickim. Przeciwnie wiatry i stan morza zniewoliły nas do zarzucenia kotwicy w tej cieśninie. Okręty kupieckie rzadko tu stawają, z powodu statków rozbojniczych, na których bywa zwykle po 60 ludzi z pionjerem na przodzie.

Z *Sincapore*, obróciliśmy ku *Peluo* prawie pod linią leżącemu; 16 października wypłynęliśmy do *Trinquemale*, zkąd piszę do ciebie.

VI.

PODRÓŻ z SAREPTY DO ROZMAITYCH HORD
KAŁMUCKICH GUBERNJI ASTRACHAŃSKIEJ,
*przedsięwzięta w interessach Towarzystwa
biblijnego Rossyjskiego, przez PP. Henri,
Augusta Zwick, i J. G. Schilla, a przez
tego ostatniego po niemiecku napisana
(Lipsk 1827)*

Mieszkańcy mała zwiedzanych step, osiedli na północy Kaukazu i Morza czarnego po obudwóch brzegach Wołgi, a znani pod nazwiskiem Kałmuków, sąsiadują na wschód z Kirgisami, a na zachód z Kozakami Dońskimi. Religją ich jest Buddyzm. Towarzystwo biblijne zwane *Bracj połączonej*, wysłało było dwóch swoich członków, Schilla i Stübnera, w towarzystwie ich nauczyciela języka kałmuckiego, ku hordzie *Koszuda*, przebywającej o 40 mil od Sarepty, a 10 od Astrachańu, nad oboma brzegami Wołgi. Pobożne usiłowania tych dwóch ludzi nie były zupełnie bezowocne; udało im się nawrócić kilku Kałmuków na wiarę Chrześcijańską. Ale później Kałmucy chrześcijanie, a z nimi trzej missjonarze odebrali rozkaz opuszczenia hordy, i udali się w liczbie 22 osób, pod przewodnictwem Schilla nad brzeg Wołgi, gdzie im wskazano mieszkania. Ten surowy środek ostrożności wymyślony został przez naczelnika hordy Koszuda,

którego rozmaite okoliczności niechętnym dla chrześcijaństwa uczyniły. Nakoniec, następnego roku, piętnastu Kałmuków, mając na czele pasterza, przybyło napastować tę małą kolonję chrześcijańską, której jedyny w takim razie środek pozostał, przenieść się do Zaryzyna i oddać się w opiekę państwa Rossyjskiego. Tam, ukończyły się prace missji, pomiędzy hordami Kałmuków przedsięwzięte.

Ale przed tym wypadkiem i w czasie, kiedy Kałmucy chrześcijanie żyli jeszcze spokojnie w sąsiedztwie Sarepty, Towarzystwo biblijne petersburskie posłało swoim agentom znaczną liczbę exemplarzy Ewangelji S. Matcusza, przetłumaczonej na język kałmucki, niemniej innych pism religijnych dla rozszerzenia onych pomiędzy hordami.

Ta to Komisja dała powód do podróży, z której zamierzamy kilka udzielić wyjątków. Dwaj członkowie Towarzystwa biblijnego rossyjskiego, August Zwick i Jan Gottfried Schill, wyjechali opatrzeni w listy polecające od Hrabiego Nesselrode, ministra spraw zagranicznych i stosunków azjatyckich. Listy te adresowane były do naczelników głównych hord, a obadwaj missjonarze odebrali rozkaz nierozszerzania nigdzie pism, które z sobą wzięli, aż w hordach których naczelnicy w listach wymienieni byli. Zalecono im również, iżby się wstrzymywali od wszelkiego nauczania, i ograniczali się jedynie na zbieraniu

jak najdoskonalszych uwag nad stanem towarzyskim arodu kałmuckiego, niemniej na zręcznym wyśledzeniu ich usposobień w przedmiocie chrześcijaństwa, a nadewszystko, iżby starali się przekonać, czyli w obwodzie jakiej hordy nie znajduje się miejsce, gdzieby kałmucy chrześcijanie wypędzeni z Sarepty znaleźć mogli schronienie, i gdzieby później, główne siedlisko missji ustanowić można było.

Dla brata Schill przygotowano kibitkę, do przewiezienia go wraz z jego rzeczami. Zwick odbywał podróż piechotą, a na xięgi zakupiono dwa wózki tatarskie, *Arba* zwane. Zaopatrzoną się niemniej w potrzebne konie, i najęto dwóch Tatarów, mających służyć za przewodników, z których jeden ochrzczony był według obrządku kościoła katolicko-greckiego, a drugi był Mahometanem. Obadwaj wędrownicy udali się w drogę d. 26 Maja, a wyjeżdżając z Sarepty, posuwali się naprzód po nadbrzeżu Wołgi, w celu dostania się do miasteczka Czornojor, nad brzegami tej rzeki położonego. Step Sarepty, mówi Jan Schill, nie formuje właściwie mówiąc płaszczyny, lecz przedstawia kolejno oczom małe wzgórki, nieznacznie zniżające się, po których następują doliny, które choć niezbyt głębokie, zasłaniają przeciw horyzont i ukrywają przed wzrokiem znaczną przestrzeń ziemi. Życie roślinne szczególnie tam rzadko daje się postrzegać, i objawia się prawie tylko na krza-

kach, z pomiędzy któremi kilka kępek darni dojrzeć można. W głębi znajdują się tu i owdzie gęste trawy, ale najwięcej napotyka się słone rośliny, służące za pokarm wielbłądom. Jednakże niektóre części stepu jaśnieją blaskiem wiosny, i strojne są w kwieciste *Iris*, tulipany i rozliczne krzewy. Kałmucy ten step zamieszkujący, a do których zmierzali wędrownicy, podzieleni są na pięć hord: *Derboedów* najbliższych Sarepty, *Torgudów*, *Erkedów*, *Baganzoków*, i *Choszudów*. Każdą z tych hord jest podległą Xiążęciu czyli Hanowi. Pierwsza i druga przebywają pospolicie na zachód Donu, blisko Sarepty; trzecia i czwarta, między Sarpą i Wołgą; piąta z téj strony Wołgi, nad brzegami Akbutah. Na drugiej stronie tych okolic znajdują się ich obozy zimowe; gdyż w tej porze, Kałmucy opuszczają pospolicie step wraz z swemi trzodami, przenosząc się do krajów więcej w wodę obfitujących. Derbedy obozują nad brzegami Kumy; Erkedowie w lasach wiklinowych okrywających brzegi morza Kaspijskiego, równie jak część Torgudów znanych pod nazwiskiem Zandykszów, gdy tym czasem inni kałmucy z téj hordy udają się w bagna Sarpy na zamieszkanie. Opisujący tę podróż oznacza liczbę tych hord kałmuckich na dwadzieścia tysięcy namiotów, czyli rodzin, które dzieli tak: Derbedów od 10 do 14,000, Torgudów, 2,600, łącząc do nich Zandykszów w liczbę 1,000, hordę Hłana Erdoni 400, hordę Zer-

ren - Ubaszi 800, pod trzema braćmi Dszyrgal 400, pod panowaniem Xiążęcia Bagon - Zocher 1,700, Eskedów 1,000 i tyleż Koszudów. — 2 kwietnia, dwaj misjonarze rossyjscy przeszedłszy około bagna przed dwoma wzgórkami, weszli w dolinę która ich po sześciogodzinnej drodze doprowadziła do hordy Xiążęcia Erdeni, otoczonego rozległym obozem, pośród którego paśło się mnóstwo wielbłądów, koni i zwierząt wszelkiego rodzaju. W tem to miejscu przemieszkwała znaczna część Hanów Erdeni i Zerren - Ubaszi. Ich własne obozy oddalone były jeden od drugiego blisko o pół wersty. Między temi dwoma obozami, widziano wielką ilość namiotów i wózków należących do kupców rossyjskich, tatarskich i ormjańskich. Obóz Xiążęcia Erdeni, składający się ze stu namiotów, umieszczony był w zakłósnieniu ziemi, przy kilku źródłach. Namioty wznosiły się na północ tych źródeł, a między niemi odznaczały się szczególnie: namiot Hana, namiot sprawiedliwości, i Xiężniczki Mingmery. Ku południowi ustawiono szałas dla bożków czyli *churulle* i szałas najwyższego kapłana czyli *Lamy*. Te ostatnie otoczone były w pół kole szalasami innych kapłanów czyli *gellongs*, a pierwsze szalasami urzędników i służących Hana.

Wędrownicy odwiedzili Xiążąt Erdeni i Zerren - Ubaszi, którzy ich bardzo dobrze przyjęli; udali się następnie do Lamy, który im okazał

wiele grzeczności i uprzejmości. Jego szataś czyli namiot był obficie zaopatrzony w rzeczy do obrzędów religijnych potrzebne, jako to: w kosztowny ołtarz z wszelkimi ozdobami, w pułpit, piękne gradusy ozdobione charakterami sanskrytскими i obrazami złotem powłóczonemi. Według naszych missjonarzy, kapłani, których Lama jest głową, dzielą się na kapłanów w właściwem znaczeniu, czyli *gellongs*, na służących czyli *gezulls* i na *manszi* czyli uczących się. Nie żenią się oni i są uważani za istoty wyższej natury. Ich nauka ogranicza się na możliwości czytania starym zwyczajem pism sanskrytskich w języku tybetańskim; mała tylko liczba tę mowę rozumie. Wędrownicy wypełnili obowiązek swój missji przy Xięciu Erdeni, który żądał od nich dwóch exemplarzy dzieła, ja kie z sobą przywieźli, jednego dla siebie, a drugiego dla Lamy, dodając, że to ostatnie dzieło wystarczy dla całej hordy, która była ciągle zajęta swemi trzodami, i nie miała wcale czasu czytać.

Bergmann, inny niemiecki wędrownik, przytacza jeszcze więcej szczegółów o naturze stepów, obozach kałmuckich i religji.

»Sarepta, mówi on, jest położona na wzgórzu dosyć romantycznem. Ogromna płaszczyna rozciąga się między pasmem pagórków, któremi jest otoczona, i częścią Wołgi która płynie w oddaleniu. Strumienie sączące się na po-

chyłości góry, ocienione są dzikimi palmami, wiązami, dębami, i innymi drzewami. Zaledwie był początek wiosny, a już puszczała kapusta morska, nocny fiołek, eupatorja i cytyssa; zielona powłoka okolic górzystych była przyjemnie urozmaicona różowemi kwiatami dzikich migdałów. Ale w krótce zmienia się scena: i podróżny pośród niezmiernej płaszczyzny którą przebiega, nie widzi nic więcej, oprócz nieba i pól. »Można wtedy porównać, mówi on, kraj Kałmuków do wielkiego morza, gdzie przenikliwe tych Tatarów oko służy za bussolę. Wyobraźmy sobie rozległość czterystu werst, gdzie zaledwie ujrzyć można małą liczbę mieszkań nad niektórych rzek brzegami. Ta obszerna niezmiernie okolica jest całkiem z drzew ogołocoana; widzieć się tam tylko dają gdzie niegdzie strumienie, pagórki i bagna; przedmioty te jedynie Kałmukowi służyć mogą za przewodnika, gdyż ich regularność oszukuje uwagę cudzoziemca. Tymczasem Kałmuk koczowniczy, nie upatrując najmniejszego śladu drogi, i nie wiele zastanawiając się prowadzi swoje konie lub wielbłądy, przez wiele kroć werst, jak gdyby żeglarz swoim statkiem kierował. Żywności nasze dźwigał wielki wielbłąd, który zwolna za nami postępował, gdy my tymczasem pośpiezaliśmy w głąb kraju. Poranek był śliczny, lekkie chmury i wietrzyk chłodny zakrywały nam promienie słoneczne; ale powiew zefiru ucichał powoli, i w chwili, gdyśmy się

zbliżyli do wody dla odpocznienia, upał stał się niecznośnym. Trawa była wysoka i jaśniejąca zielonością, szczególnie w dołkach przez wodę uformowanych. Rój komarów latających w powietrzu, coraz bardziej się przerzedzał; ale natomiast powiększał się rój swierszczów. Podczas, kiedy nasi kałmucy i tatarzy zgromadzali gnój przeznaczony do zrobienia ognia, i wykopywali dół w ziemi, gdzie się miało w kociołku jedzenie nasze gotować, położyliśmy się na poduszkach od naszych siodeł, dla użycia cokolwiek wypoczynku; ale tak był mocny upał, iż pół godziny czasu, przez któryśmy odpoczywali, a przez ciąg którego aniśmy oka zmrużyć nie mogli, bardziej nas zmordowało niż sześć godzin konnej drogi. Po obiedzie udano się dla nas po wodę, która być miała w sadzawce lub krynicy, i pewien kałmuk zapewnił nas, że była bardzo dobra, ponieważ nie była zepsuta. Mógł on to mówić w dobrej wierze, ale napój, który nam przyniesiono, był mięszaniną czegoś żółtego i czarnego, w której mnóstwo znajdowało się owadów. Po wypiciu kilku filiżanek tego dekontu, pragnienie moje jeszcze się bardziej wzmoгло. Wszelako towarzysze moi powiedzieli mi, że powinienem się mieć za szczęśliwego, jeśli w dalszym ciągu drogi znajdę podobną wodę.

»Byliśmy w odległości dwudziestu werst od obozu, gdy moi towarzysze postanowili doświadczyć sił swoich koni, i w umngnieniu oka, znaczną-

śny ilość werst przebiegli. Mój rumak z wielką trudnością dążył za nimi, i jeśli się zdołał złączyć z dwoma z naszego orszaku kałmukami, którzy na jednym koniu we dwóch jechali, to dla tego jedynie, iż to zwierze zmordowane, ustawać już zaczęło. W obawie żeby się nie odłączyli od drugich, prosili mnie, abym popędził mego konia, który już był mocno zmęczony. Usiłowania ich nie byłyby bardzo skuteczne, gdyby mnie nie zapewnili, iż bylibyśmy przymuszeni przepędzić noc pośrodku pola, bez przykrycia i bez sposobu dostania żąd kolwiek żywności. Po tej przestrodze tak męczyłem mego konia, że w krótko zostawił za sobą towarzysów, i usiłowałem połączyć się z tymi, którzy mnie wyprzedzili. Napróżno dwaj Kałmucy krzyczeli na mnie, że niepodobna abym tamtych dogonił, i że się gdzie zabłąkam. Leciłem w cwał, kierując mego konia, ile można było, według obrotu słońca; ale oko moje tak mało było nawykłe do uważania kierunku lub linii w tej niezmierniej płaszczyźnie, iż przebiegłszy kilkanaście werst, nie wiedziałem gdzie się znajduję. Słońce będące jedynym moim przewodnikiem znikać zaczęło, a widok jego zachodu stał się w tej chwili dla mnie prawdziwym obawy przedmiotem. Wspomnienie licznych przygód nieszczęśliwych, których doświadczyły osoby, co pomimo znajomości kraju, zabłąkawszy się, grób swój tam znalazły, przecząło mój umysł obrazem podob-

bnego losu. Okropne pożerało mnie pragnienie, język przylegał do podniebienia, i jeszcze nigdy w tak przykrem nie byłem położeniu. Słońce zaszło, zmordowany koń ustawać począł; postanowiłem więc czekać powrotu jutrzeńki, a wtedy trzymając się kierunku słońca, dostać się do brzegów Donu, od którego jednakże o sto werst byłem oddalony. Ujrzałem się na jakiejś nizinie, okrytej trawą dość wysoką; przywiązałem tam mego konia, wlażłem na pagórek, i postanowiłem tak noc przepędzić. Godzina prawie upłynęła, jak się znajdowałem na wysokości, gdy zdało mi się dostrzedz w oddaleniu, jakiś ruszający się przedmiot; wnet poznałem że się dwóch mężczyzn do mnie zbliżało. Byli to Kałmucy, których porzuciłem, a którzy w odległości kilku werst poznavszy mnie, opuścili swój kierunek dla wyprowadzenia mnie z kłopotu. Zszedłem natychmiast z najżywszą radością, wsiadłem na konia, i w dalszą udałem się drogę. Jeden z moich przewodników powiedział mi, że mamy jeszcze 6 werst przejechać, nim się dostaniemy do wody, przy której szłaśasy znajdować się miały. Wkrótce dostrzegł naszego wielbłąda, który przysbywał do miejsca, gdzie obozowano. Nic nie wyrównywa bystrości wzroku Kałmuków; chociaż słońce już od godziny zaszło było, mogli oni rozeznąć wielbłąda w odległości pięciu do sześciu werst. Zwierze to służyło nam za punkt do którego kierowaliśmy naszą drogę; usiłowali-

śmy jak najspieszniej przybyć na miejsce umówione, i ucieszyliśmy się niezmiernie, znalazłszy tam świeżą wodę a przytem chaty. Ta, którą zajmował nasz gospodarz zdała mi się być dosyć nędzną. Obawa robactwa spowodowała mnie do przepędzenia nocy w czystym polu. Siodło służyło mi za poduszkę, a do okrycia się użyłem płaszcza mego z pilśni kałmuckich. Nazajutrz, odmieniliśmy konie i pędząc cwałem, ujrzelśmy w krótce obóz kałmuków, do którego przybyliśmy przed południem.»

Chata kałmucka podobna jest do wielkiego zaokrąglonego kręgla, który zdaje się wspierać na słupach z drzewa wyrobionych, od trzech do czterech stóp wysokości; obwód jęj ma sześć do ośmiu sążni. Budowę tę stanowi u spođu pewien rodzaj krat drewnianych, ku górze zaś, zbiór mnóstwa źerdzi ukośnie ustawionych i połączonych u szczytu niejaką koroną do której są przy-mocowane. Zewnątrz, chaty te osłonięne są pewnym gatunkiem pilśni, przewiązywanęj mocnemi postronkami, wyrabianemi z włosa wielbłądziego. Kiedy zapalają ogień, natenczas podnoszą tylko nakrycie pilśniowe w części wyższej, dla ułatwienia wolnego przechodu dymowi. Udaliśmy się do *Chaty sprawiedliwości*, ponieważ tam znajdował się *Xiąże*. Siedział on z założonemi na krzyż nogami, przeciw drzwi na wzniesionem miejscu okrytęm kołdrami z pilśni i kobiercami. Dwaj starsi jego synowie siedzieli przy nim z pra-

wego boku; stały przed nimi czary drewniane z mięsem. Wskazano nam po lewej stronie do siedzenia pewien rodzaj poduszek zrobionych z kołder pilśnianych. Xiążę kałmucki miał około czterdziestu lat i postać jego była szlachetną; miał na sobie ubiór jedwabny, a w rękę trzymał różaniec; przez ciąg rozmowy nie przestawał się modlić, przesuując w swych palcach z wielką szybkością ziarnka, z których złożony był różaniec. — Bergmann zwiedził następnie chaty kapłanów, które stoją w owal do koła chaty naczelnego Kapłana. W tej, ołtarz, umieszczony naprzeciw wchodu głównego, zapełniał cały głąb chaty, i składał się z pewnej liczby sztuk drewnianych odzianych jedwabnemi zasłonami rozmaitych kolorów. Wyżej, stało coś podobnego do baldachinu, podobnież z jedwabiu, pod którym widać było smoka niebieskiego, zaklinającego pioruny, i mnóstwo osobliwszych postaci.

Dwaj missjonarze Zwick i Schill, którzy z swęj strony przebiegali hordy kałmuckie, tak opisują zwijanie obozu: »Takie zdarzenie jest u kałmucków uroczystością powszechną, i dniem radości, gdzie każdy ma sposobność popisania się z swojem znaczeniem i ze swemi bogactwy: mężczyźni na koniach, przybrani w szaty obrzędowe, wyjeżdżają naprzód w kilkunastu, a kiedy się już znacznie odziałą od hordy, rozkładają się w stepach, dopóki się ona nie zbliży. Kobiety zamężne,

podobnieź postrojone, poprzedzają konno swoje trzody, trzymając postronek pierwszego wielbłąda, do którego przywiązane są w długim szeregu wszystkie inne. Na tłomokach któremi te zwierzęta są obciążone, kładą wielkie kobierce perskie lub tureckie, które z obu boków spadają i wloką się prawie po ziemi. W podróży, którą odbyli missjonarze z hordą, uderzył ich widok wtargnienia szarańczy, która przestrzeń kilku werstową zaległa. Ziemia była nią zupełnie okryta, i uważali, że wszystek ten owad miał zwróconą głowę na zachód i w tym kierunku pożerał wszystko z przerażającym pośpiechem. Skrzydła jego zdawały się być srebrne lub kryształowe przy świetle słonecznem i tysiącami ogniów błyszczały. »Gdzieśmy przejeżdżali, mówi opisujący, owad ten wznosił się chmarami, regularnie, z dziwnym szelestem pochodzącym z trzepotania skrzydłami; chmary te światłość słońca zaciemniały. Przestrzeń, którą nam tym sposobem odkrywały, była prawie o dwadzieścia kroków szerszą od téj, jaką zajmowała nasza karawana, i zapełniała się natychmiast za nami nowemi rojami szarańczy, która padała na ziemię jak tylkośny z niej ustępowali. Lot jej był zarazem tak szybki że trudno bardzo było złapać z nich którą.

Benjamin Bergmann był również obecny przy zwijaniu obozu, które to zdarzenie jest z resztą bardzo pospolite w stepach.« W dn¹u, który po-

przedził nasze pierwsze zwinięcie obozu, mówi on, oznajmiono nam, abyśmy byli gotowi do drogi na oznaczoną godzinę, jak niemniej nasze konie i wielbłądy. Wielu kałmuków otoczyło naszą chatę, i pozносиło do niej rozmaite rzeczy, aby ją napełnić. Część naszych sprzętów umieszczoną została na wózkach tatarskich. Różnią się one od zwyczajnych wózków wielkością swoich kół, które mają znaczną liczbę szprychów i ogromną piastę. Cała horda była w poruszeniu na kilka godzin przed odjazdem. Kałmucy zajęci byli zgromadzaniem trzód, zbieraniem chat i narzędzi; jak tylko wszystko było w porządku, wyruszono zaraz do nowego obozu. Lubo kraj kałmucki jest nieuprawny i niezamieszany, jednakże droga, którą horda podróż odbywa, wystawia tłumny widok, który może oko zabawić; po obu stronach tej drogi którąśmy przebywali, snuło się mnóstwo zwierząt jucznych i trzodnych. Podróżny, który wyprzedza zwykle wielbłądów, postrzega, tu trzodę bydła dającego się prowadzić kałmuczce, tam stado kłaczy dobrowolnie postępujących za stadnikiem; dalej, napotyka dziesięciu do piętnastu opastych *gellongs*, którzy wesołą odbywają podróż. Przy ich boku, widzieć często można postępujący obraz nędzy, pod postacią chłopca okrytego łachmanami, który prowadzi pieszo jednego lub dwóch wielbłądów, gdy tymczasem matka jego, siedząc na jedynym koniu którego posiada, postępuje przy

nim. Wice-Han otoczony swymi pięćdziesięciu ludźmi, z których każdy uzbrojony jest dzidą, znajduje się zawsze w pierwszym orszaku, a tym sposobem pierwszy przybywa do miejsca nowego obozu. Jak tylko pałac tego Xiążęcia jest postawiony, ten, który ma obowiązek robienia herbaty, powinien ją jak tylko można najspieszniej przyrządzić. Te koczownicze wędrówki przenoszą nas do pierwszych wieków świata, gdzie ojcowie nasi, pędząc swoje trzody, podobnież tułackie prowadzili życie«

Missjonarze rossyjscy zwiedzili kolejno rozmaite hordy kałmuckie, i nie zawsze mogli się pochwalić z przyjęcia jakiego doświadczali. Jeden z listów Hrabi Nesselrode był adressowany do trzech braci Dszyrgal, Otszyr i Setter, naczelników Torgudów; z tych ostatni obozował o kilka tylko werst od hordy Erdenjego, gdzie się znajdowali missjonarze. Udali się do niego i złożyli mu list, który on bez rozpieczęlowania odczytał. Nie tracąc odwagi, obrócili swoje kroki ku drugiemu z tych Xiążąt, Dszyrgal, lecz w tym ujrzeli jedynie krwawego rozbojnika, który z dumą odepchnął ich od siebie. Szczęśliwi że mogli unieść z sobą życie, uciekli się wtedy do Otszyra, trzeciego brata. Przeprowadzając się do tego Xiążęcia, przebyli suche łożysko Saipy, wśród niezliczonych rojów szarańczy i minawszy obozy Xięcia Zarren-Ubaszi, przybyli do namiotów, których szukali; przy tych odbywał się na-

ówczas bazar czyli targ, gdzie Ormjanie, Tatarzy i Rossjanie, handlowali potrzebnymi do życia kałmuków artykułami. Olszyr pokazał się godnym swoich braci, i dał im uczuć największą pogardę. Jednakże rozrzucili oni dość znaczną liczbę wiązek pomiędzy tę hordę. To niepomysłne powodzenie nie tylko nie osłabiło gorliwości missjonarzy, ale przeciwnie bardziej ją wzmogło. Obrócili się więc na zachód około 40 do 50 werst, gdzie się miała znajdować horda Erkedów, których istotnie napotkali w dolinie u stóp łańcucha gór Sarpy. Ta horda jest bezpośrednio własnością korony cesarsko-rossyjskiej, rządzoną przez *saissangów*, czyli szlachtę wybraną przez rząd rossyjski z grona hordy. Ponieważ w tym obozie nie było namiotu Xiążęcego, przestrzeń przeto pomiędzy chatami kapłanów była miejscem gdzie się zbierali *saissangi*. Missjonarze byli od téj hordy grzeczniej i szczerzej przyjęci. Lama tylko okazywał wielką niespokojność z powodu wiązek, które z sobą przywieźli, lękając się, mówił on, aby nakoniec nie zostali wszyscy Rossjanami; a jego przeczorność w téj mierze tak była wielka, iż wędrownicy przymuszeni zostali zabrać wszystkie więgi na powrót, nie mogąc z nich ani jednej udzielić. Obóz hordy Zandyksza i Xiężniczki Nadmid był również zwiedzony przez tych niezmordowanych missjonarzy. Rozłożony był naówczas pomiędzy dwoma pagórkami, z których na jednym wznos-

siły się dwie piękne kaplice. Na drugiej stronie tego pagórka było źródło, przy którym widziano trzy stare wierzby, pierwsze drzewa jakie nasi wędrowcy postrzegli od dwóch miesięcy, jak opuścili Czornojor. Ze względu rzadkości takich drzew w tych okolicach, trzy te wierzby uważane były przez kałmuków za święte, i żaden nie śmiał najmniéjszój ułamać z nich gałązki. W tym to obozie, poznali nakoniec missjonarze, jak małych z swej missji korzyści spodziewać się mieli. Obrócili swe kroki ku Wołdze, i wkrótce dostali się do wsi rossyjskiej *Łopanoskaja*. Horda *Barganzoch* przepędza zimę w tej okolicy, która w części należy do korony Cesarskiej, a w części do hordy Choszudów. Wędrownicy mieli sposobność widzieć tam Sered-Dszaba, Xiążęcia kałmuków Choszudów, pułkownika i kawalera rossyjskiego, który się odznacza między współziomkami przez swoje wiadomości i obyczaje, i który wiele już zrobił dla oświaty swego narodu. Zamieszkuje on na lewym brzegu Wołgi wielki zamek drewniany, który kazał wybudować cieślom rossyjskim po powrocie swoim z wyprawy francuzkiej, gdzie dowodził swoją hordą, tudzież hordą kałmuków Torgadów, których obozy widzieli Paryżanie wznoszące się pośród Pól Elizejskich. Mieszkanie Xiążęcia jest ozdobne, zamyka w sobie wiele sal, gdzie się znajdują zwierciadła kryształowe, piękne szkła, billard, fortepian i wiele zegarów bijących. Je-

dnakże, w czasie gorącej pory, udaje on się pośród step wraz z swoją hordą na obozowanie, nie mogąc żadną miarą porzucić całkiem życia wędrownego. Podróżni bardzo dobrze przyjęci zostali od Xiążęcia i razem z nim obiadowali. Dla zaostrenia apetytu, częstowano ich naprzód potrawą kałmucką, zwaną *arsa*, niemniej mięsem i suszonymi rybami. Potém służący przynieśli supę z koguta w wazie srebrnej, po której nastąpiły cielęcina i mięso antylopy pieczone, tudzież ogórki i leguminy. O winie nie zapomniano; wiele gatunków wina prostego, szampańskiego i innych francuzkich, krążyło przy stole. Desser składał się z melonów, jabłek, brzoskwiń, i innych owoców z ogrodu Xiążęcia. W czasie obiadu i po obiedzie, chór, z dziesięciu do dwunastu kałmucków złożony, pod kierunkiem starszego z orkiestry rossyjskiej, wykonywał symfonje niemieckie i wiele kawałków z nowszej muzyki, które Xiąże sprowadził był z Petersburga. Jest nawet podobieństwo, że dziś już grają kompozycje Rossyniego pośród stepów Tatarskich. Rozmowa przy obiedzie była swobodna i poufała; mówiono ciągle prawie po rossyjsku, mieszając niekiedy wyrażenia kałmuckie, tatarskie i niemieckie. Xiąże przyjął xiążki missjonarzy i dał im list wolnego wejścia do hordy, której obozy rozciągały się wzdłuż Wołgi, aż do gór Bogdo.

Podróżni, po przebyciu wielkiej liczby strumieni i rowów, przybyli tam, i odwiedzili wielu

Xiąząt i gellongów, z którymi brat Schill zabrał był znajomość w czasie ośmioletniego pobytu swego w tój hordzie. Ztąd udali się na lewy brzeg *Akbutahu*; minęli stanowisko kozaków składających część kordonu rozciągniętego wzdłuż kraju Kirgisów, i przybyli do *Selitrenoi-Gorodek*, miejsca zwanego od Tatarów *Eschigit*. Patrząc na gruzy tego starożytnego miasta tatarskiego, wnosić trzeba, że musiało być bardzo wielkie i piękne. Leżało ono na lewym brzegu *Akbutah*, która w tój stronie ma dosyć szeroką przestrzeń do przyjmowania największych okrętów, jakie z Wołgi do jego wód wpływają. We wsi rosyjskiej *Nikołajewek*, zkąd wędrownicy skierowali się ku góróm *Bogdo*, a ztąd przez wsie sekty rosyjskiej *Molukanów* czyli żyjących mlekiem dowiedzieli się, że *Sarepta* stała się pastwą płomieni. Przyśpieszyli więc drogę, aby się jak najprędzej tam dostać. Przybywszy, ujrzeli dwie trzecie części miasta obrócone w perzynę. Dom towarzystwa missji biblijnych, uległ temuż wypadkowi. Ten jest koniec ich bezowocnej podróży. Przebiegli oni 1,000 werst czyli 186 mil.

Do opisu tego dołączona jest karta, przedstawiająca stopy między pasmem gór *Sarpy*, *Wołgi*, oraz tą rzeką od *Akbutah* aż do miasta *Sariryn*, gdzie wpada do morza Kaspjskiego.

ROZMAITOŚCI.

Adrianopol. — Dawniejsze *Adrianopolis*, zwane w języku tureckim *Adranah* albo *Édrene*, jest wielkie miasto w Turcji europejskiej, przy spływie rzek *Tunji* i *Maritzy* (Ebre u dawnych) pośród pięknej doliny leżące, i otoczone mnóstwem ogrodów. Jest głównem miastem prowincji Rumilji czyli Romolji, oraz rezydencją arcybiskupa greckiego. Składa się z dwóch części: z miasta dawnego, leżącego we środku i obwarowanego murem w zwaliskach dzisiaj stojącym, oraz z przedmieść, które są opatrzone starym murem, wieżami i cytadellą. Naznaczają miastu $1\frac{1}{2}$ do 2 mil obwodu. Ulice jego są wąskie i nieczyste, a domy, powiększej części stawiane z gliny. Cenniejszym gmachem jest meczce Selima II. z czterema wzniosłemi minieratami, ozdobiony porfirowemi kolumnami, marmurowemi drzwiami, z piękną bardzo rzeźbą; po nim odznaczają się: pyszny bazar Ali-Paszy, gmach sklepiony 400 sążni długi, z 6 bramami i 365 pięknemi sklepami. Drugi bazar mniej jest piękny, ale obszerniejszy; trzeci nakoniec jest rozległym targiem, składającym się z 200 sklepów, w których sprzedają djamenty tkaniny złote i srebrne, pistolety, pałasze i wszelką broń ognistą. Znakomitym jest także pałac wielkiego wezyra, w położeniu nader przyjemnem. Miasto to posiada nadto dwa seraje, wielką liczbę meczetów i medrasschów czyli kollegjów, arsenał, ludwisarnię, karawanscraje, łaźnie publiczne, liczne

wodotryski, rękodzielnie materji jedwabnych, wełnianych, bawełnianych, kobierców, safjanów, farbierne, tkackie warsztaty, dystylarnie wody różanej, i t. p. Handel miasta składa się z wyrobów jego rękodzielni, i z win zbieranych z okolicy, które uważają za najlepsze w państwie tureckiem. Adrjanopol odbudowany został przez cesarza Adrjana, który go od imienia swego nazwał. Turcy za Amurata I. odebrali go Grekom w 1562, i mieli tam stolicę państwa, aż do epoki zdobycia Konstantynopola przez Mahomęta II. w 1453. — Ludność Adrjanopola wynosi przeszło 100,000 mieszkańców. Odległość od Konstantynopola rachują na mil 36. —

Nowe szczegóły o Pułkowniku Denham. — Wiadomo jest, iż pułkownik Denham udał się z Anglii w zimie r. 1826 do Sierra-Leone i Wybrzeża złotego (Côte - d'Or): Instrukcje jakie otrzymał miały na celu polepszenie losu tysięcy oswobodzonych Afrykanów, którzy w tym kraju wysadzeni zostali, po uwolnieniu przez statki wojenne angielskie, krążące na przyległych morzach, z powodu zniesienia handlu murzynów. Pułkownik Denham przyjął system który nader wiele korzyści tym nieszczęśliwym zapewnił.

Listy z miesiąca Lutego 1828. donoszą, iż w tej epoce Pułkownik znajdował się w Accra, na Złotem wybrzeżu. Dowódzca tej twierdzy opowiadał mu, że służący nieszczęśliwego Clappertona przybyli niedawno do *Wydah*, odbywszy utrudzającą i niebezpie-

czną podróż, która trwać miała sześć miesięcy od czasu ich odjazdu z *Sudanu*: dowódzca ten następnie widział ich na pokładzie okrętu *Est*; opowiadali mu o ni smutne szczegóły o cierpieniach i śmierci pana swego.

Pułkownik Denham znajdował się w drodze ku Fernando-Po, dla zwiedzenia nowego stanowiska angielskiego na tej wyspie, celem przeświadczenia się naocznie o korzyściach, jakieby przynieść mogła jako osada przeznaczona do przyjmowania oswobodzonych Afrykanów, ponieważ jeograficzne jej położenie czyni ją nader sposobną do wykonania planu tego; znajduje się bowiem o kilka dni tylko drogi od najdalszych rzek gdzie się handel niewolnikami odbywa.

Jeśli opatrność dozwoli pułkownikowi Denham powrócić szczęśliwie z wyprawy do tych niezdrowych krain, będzie on sam jeden przy życiu pozostały (*) z pomiędzy osób należących do trzech wypraw od r. 1821 przez rząd angielski w głąb Afryki wysłanych, ponieważ Clapperton stał się ofiarą gorliwości swojej o postęp jeografji. Wyprawy te kosztowały życie sześciu odważnych ludzi, którzy przez wzgląd na męstwo swoje, a nawet przez swój los nieszczęśliwy zasługują na szczególniejszą uwagę. Nadto, bardzo jest podobnem do prawdy, że major Laing umarł w Tombuktu, a doktor Dickson w Sudanie; ledwie bowiem słaby promyk nadziei pozostaje, iżby ten ostatni żył dotąd. Mniemają, iż klima w Accra jest nierównie zno-

(*) . Pułkownik ten podług najnowszych wiadomości już nie żyje; w numerze następującym uniescimy szczegóły o śmierci jego.

śniejsze aniżeli w Sierra-Leone; coby naprowadzało na korzystne wnioski o Fernando - Po. — Słychać iż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przybyło do Accry 34,000 uncji złota; a jeśli pokój z Ashantami się utrzyma, więcej nierównie spodziewać się będzie można.

(*Nouv. Ann. des Voy.*)

Waż morski:— Wydawcy dziennika Paryzkiego Annales des Voyages odebrali własnoręczny list kapitana okrętowego H. Holdrége, zawierający następujące doniesienie, przez wielu znajdujących się na tymże okręcie podróżnych własnoręcznymi podpisami zaświadczone: iż w dniu 17 czerwca 1826 kiedy okręt znajdował się pod 41° 3' szer. półn. a 67° 32' dług. wsch. od Grenwich, na spokojnej powierzchni oceanu woda zaczęła się nagle poruszać, i w krotce ukazał się potwór jakiś, którego głowa około 4 stóp nad poziom morza wystawała. W tém położeniu zostawał on blisko przez minutę, potem wrócił na powierzchnię wody i zbliżył się do okrętu, od którego ledwie na 150 kroków był oddalony. Kapitan Holdrege, który to pierwszy uważał, natychmiast na pokład wszystkich podróżnych z okrętu przywołał. Widzieli wszyscy przez 8 minut jak waż ten ogromny sunął się zwolna po wierzchu wody, i jak następnie przebiegał śmiało 3 miłe na godzinę, w kierunku równo - odległym od okrętu. Kolor jego był biały i ciemnawo-brudny, na skórze widać było wyrostki. Widzialna długość jego zdawała się

wynosić stóp 60, a grubość stóp 10. Szczegóły powyższe podobne są do tych które się znajdują i przed kilku laty w pismach publicznych, a którym wierzyć nie chciano. Kapitan Holdrege mniema, iż potwór ten należy do rodzaju zwanego *wężem morskim*.

Chwywanie węzów. — Tajemnica dotykania bezkarnie i ułaskawiania najjadowitszych węzów, posiadana od tak dawnego czasu przez mieszkańców zachodniego półwyspu Indji, nie jest nieznaną i w Chinach. Uważano iż ludzie chwytający węże w tym kraju, nim się dotkną tych płazów, nacierają sobie ręce przeciwtrucizną wyciągnioną z ziół rozmaitych. Moc tego soku jest taka, iż ręce obnażają, i wyzywają śmiało śmiertelnego węża kapturowego, albo *Cobra de capello*, który po grzechotniku amerykańskim jest może najniebezpieczniejszy z tworów tego rodzaju. Równie jak inne zwierzęta z tej familji, widzieć go można często w Kantonie, u ludzi pewnej klasy którzy za szczupłą opłatą przedstawiają go ciekawości publicznej.

Szczególniejszy wieloryb. — Niedawno złapano w zatoce Ayster (na wyspie *Van Diemen*) wieloryba, który zewnętrznie wcale się nie różnił od innych wielorybów, tłuściość zaś jego była czerwona jak krew. Ten sam kolor przybrał tran z niej wyrobiony, a ilość jego wynosiła 7 beczek.

Starożytności około Rjazanui Moskwy — Pszczoła północna zawiera następującą wiadomość z Moskwy: w zeszłym miesiącu (lipcu) odkryto w Rjazanie niedaleko od wału szancowego podziemną galerję, zbudowaną z starożytnych cegieł, składającą się ze sklepienia na słupach spoczywającego. Do przybożycznej galerji, nie można było dostać się z powodu znacznej ilości wody. Zdaje się iż podziemie to pochodzi z czasów Xiążąt Rjazańskich. Podobne szczątki starożytnych sklepień znajdują w Kremlinie wielu miejscach. Karamzyn powiada: „Tutaj były groby Xiążąt i Bojarów, którzy w tych miejscach mieli swoje domy.“ Z pałacu prowadziła do rzeki Moskwy ukryta galerja, na wypadek niebezpieczeństwa.

Nadzwyczajna żarłoczność węża. — Niedaleko Breytonu (w Angliji) zabito węża, który miał długości 2½ stopy w brzuchu zaś jego znaleziono trzynaście młodych kuropatw!

(Dz. Wil.)

Wzmianka o Polaku Pazowskim. — W dzienniku Wileńskim z lipca r. b. znajduje się wzmianka o rękopismach pozostałych po ś. p. Pazowskim, który w r. 1818 przedsięwziął podróż z Wilna do Włoch, gdzie zakończył zbyt wczesnie przykładne życie. Młody ten podróżopisarz będąc należycie usposobionym w naukach przyrodzonych, nie pominął w dzienniku swoim żadnego szczegółu, mogącego ob-

chodzić naturalistę, fizyka, chemika, astronoma; a nawet archeologa i miłośnika sztuk pięknych. Żałować tylko wypada, że śmierć zawczesna nie dozwoliła mu w zupełności wygotować Dziennika podróży, który się po większej części składa z samych tylko notat, na prędcie *pro memoria* spisanych. — Spodziewać się należy że w Dzienniku Wileńskim czytać będziemy więcej wiadomości o podróży roduka naszego.

Odkrycie szczątków zwierzęcych kopalnych w Anglii. — W Exeter w Anglii odkryto niedawno zwłoki szczególniejszego rodzaju płazu kopalnego. Ma on trzy cale długości, od końca pyszczka do ogona; tułów zaś w obwodzie ma $5\frac{1}{2}$ cala i składa się ze 3ch równoległych części, w jedną połączonych; nóg ma 2, dwa krótkie różki, i głowę okrągłą z czterema oczami wydatnemi. Zwierzątko to jest skurczone we dwoje, z ogonem pod brzuch zachodzącym, zbliżonym do pyszczka na pół cala. Osobliwszy ten płaz nieopisany ani pomiędzy istotami kopalnemi Argenwilskimi, ani w dziele Perkinsona pod tytułem: *Szcątki organiczne*, jest zachowany w zupełności.

Szcątki zwierzęcych kości znalezione niedaleko Lwowa. — W końcu lipca r. b. znaleziono w łomach kamiennych około Lwowa szczękę olbrzymiego zwierza, jak się zdaje z rodzaju *Elephas primordialis* albo *Anthracotarium*. Może się uda kamie-

niarżom wynaleść w ciągu dalszej roboty i resztę tego kościotrupa, coby było ze wszech miar rzeczą bardzo interesującą. I to już godnym jest uwagi, iż kości te znaleziono w tej okolicy, a co większa, w łomie kamieni piaszczystych.

Przezorność ryb — W rzece Lorenzo (w Ameryce) powyżej sławnej katarakty *Niagary*, znajdują się rozmaite rodzaje ryb, które robią zwykle przy brzegu małe tamy, aby prąd wody jaj nie porywał. Tamy te składać się mają podług podania podrzędnych z pojedynczych kup, albo wałów drobnych kamyków, które te ryby po jednym w pysku znoszą.

D. W.

Odkrycie starożytności w Rzymie i Herculanium. — D. 28 Sierpnia odkryto w Rzymie niedaleko *Amphitheatrum castrense* napis grecki, który P. Amati tak wytłumaczył: „*Ojczyznę moja jest Rzym nie-
„śmiertelny, jego cesarz i król jest moim ojcem. Na-
„zywam się Achicylla, ulubionem matki mojej na-
„zwiskiem. Od dzieciństwa przeznaczona mojemu
„mążonkowi, zostawiłam mu umierając czterech
„synów. Ich pobożne ręce zaniósły mnie jeszcze
„młodą do tego grobu.*“ —

—W Herculanium zajmują się z gorliwością odgrzebywaniem starożytności. Odkryto niedawno część okazałego i dwupiętrowego domu, a w nim mnóstwo rozmaitych przedmiotów.

Nadzwyczajnej wielkości pająki. — W kościele Sgo Eustachego w Paryżu, nie można było długi czas dojść przyczyny, dla czego jedna lampa zawsze prędzej od innych gaśła, chociaż oliwa wszystka wychodziła. Nakoniec kościelny, który koniecznie do ciec tego postanowił, postrzegł, iż pająk szczególnej wielkości spuszczał się zawsze po sznurze, i oliwę wypijał. Większego jeszcze nierównie pająka, a który się także oliwą żywił, znaleziono w kościele katedralnym w Medjolanie; ważył on 4 łóty. *Morreland* wydał opisanie jego z rysunkiem.

Wytrzymałość węża. — Wiadomo było wprawdzie, iż ziemnowodne zwierzęta (*amphibia*) powszechnie kilka miesięcy, a nawet rok cały, bez najmniejszego pokarmu wytrzymać mogą; lecz nie było sposobności przekonania się, jak się daleko rozciąga ta wytrzymałość między olbrzymami tego rodzaju. Postrzeżono nakoniec niedawno, iż wąż z rodzaju olbrzymich (*boa*), którego *P. Hill* w Niemczech pokazywał, dopiero od czasu swego wylinienia, dawną żywość odzyskał i po dwóch latach ciągłego postu, chęć do jedzenia okazał.

Nowy gatunek drzewa. — W prowincjach zabranych przez Anglików w państwie Birmanów, odkryto nowy gatunek drzewa, które doktor Wallich nazywał *Amherstia nobilis*. Jest blisko 40 stóp wysokie, ma kwiat wielki, karmazynowy, spadający na dół, i wystawia nader piękny widok. Birmanie

nazywają to drzewo *Thoka*, i kwiat jego składają na ofiarę swym bóstwom.

Trzesienie ziemi w Peru. — D. 30 marca r. b. o godzinie 7 z rana, dało się uczuć trzesienie ziemi naprzód w Lima, a w kilka chwil potem w Callao. Wstrząśnienie trwało tylko 40 sekund; ale tak było gwałtowne, że wszystkie domy w Lima zwały się lub zostały uszkodzone, tak mocno, iż musiano je rozebrać. Szkodę oceniają na 6,000,000 piastrow; liczba ofiar ma być większa niż czterdzieści ośm osób.

W Callao, postrzeżono kurzawę wznoszącą się nad Lima, przed doznaniem wstrząśnienia, coby mogło naprowadzić na wniosek, iż to komunikowało się od góry ku morzu: wiele wiosek na wybrzeżu ku północy było zniszczonych: trzesienie rozciągało się tylko o kilka mil na południe. — Callao równie prawie jak Lima jest uszkodzone.

Sposób pomnazania liczby potraw. — Droga z Sienny do *Aqua pendente* (w W. Xięztwie Toskańskim) jest najmniej zajmującą ze wszystkich jakie mi się widzieć zdarzyło: niepodobna jest o niej mniej powiedzieć złego: niegodziwe oberże, albo raczej baraki jakie się po drodze napotyka, zaledwie zdolne są zasłonić od wiatru i deszczu. Przechodząc przez kuchnię jednego z tych szałasów do mojej stancji, widziałem, jak gospodarz (*padron di casa*) ukręcał łeb indycc. Na wieczerzę danu nam

tego ptaka w tróistem przyporządzeniu, za gotowaną wołowinę, za indyka z sosem, i za ćwiartkę pieczonej baraniny.

(*Anecdotes and Observations, etc. by an Englishh Catholic.*)

Ulepszenie stanu zdrowia w Genewie. — Stan zdrowia znacznie się polepszył w Europie, a ztąd życie na długości swej zyskało. Dowodem tego jest to wyrachowanie w Genewie uskutecznione:

Od r. 1560 do 1600 średnia długość życia była 18 lat 5 mies.

1601 — 1700	—	—	—	23 — 5	—
1701 — 1760	—	—	—	32 — 8	—
1761 — 1800	—	—	—	33 — 7	—
1801 — 1814	—	—	—	38 — 6	—
1815 — 1826	—	—	—	38 — 10	—

Miejsce przeprawy Cezara przez Tamizę. — Od niejakiego czasu, zagięło podanie o miejscu w którym znajdowały się palisady Kowigskie, o których mniemano że miały istnieć w tym punkcie, gdzie Cezar przeprowiał się przez Tamizę; wiedzano jednakże iż to było między Weybridge i Walton.

W r. 1826, przy uszlawnianiu rzeki dla ulepszenia żeglugi, znaleziono o 600 stóp prawie wyżej mostu Waltonskiego, rząd starych połamanych palisad, z których wiele było o 5 stóp niżej dawnego łożyska Tamizy; były one grube jak udo człowieka wyciągniono z nich kilka, i te zostają u osób w bliskości mieszkających.

Wieczór między Otaitanami w 1825 roku. — Po-
śród obszernego morza południowego, wznosi się
jak królowa Oceanu spokojnego roszkowna Taiti.
Nieustannie okryta kwieciami murawa wieńczy jej
wulkaniczne góry; brzegi jej i skały znikają pod la-
sami kokosowymi, których niezmierzone okiem zie-
lone powłoki kołysze wiatr łagodny. Tam pod stre-
fą zawsze jednostajną i umiarkowaną żyją szczęśli-
wie wyspiarze: dni ich płyną po sobie bez wstrzą-
śnień, a prace dnia nadchodzącego są też same ja-
kie ich w ubiegłym zatrudniały. Jakiegoż wzru-
szenia doznawać musi Europejczyk, przeniesiony mię-
dzy te sceny nowe i tak przeciwne obrazom co
pierwsze jego uderzały wejrzenia! Po wdzięcznych
łakach ubarwionych rozlicznymi kwiatami, po krysz-
tałowych wód powierzchniach, nad którymi zwie-
sza się piramidalna topola, spotyka podróżny potoki
z gór spadające, w łożyskach bazaltowych i między
długim powojem przeplatany kwiatami, który za-
rzuca naturalne swe mosty nad temi parowami, he-
likonją ubarwionymi. W tych przyjemnych lasach,
złożonych z drzew najrozmaitszego liścia, strzelają
ku niebu wysmukłe pnie palmowe, kiedy tymcza-
sem gaiki składają się tylko z gardenji i róż chiń-
skich. Porozsiewane tu i owdzie rosną chlebowe
drzewa, a gałęzie ich dźwigają dzienne krajowca po-
zywienie, i ocieniają chatkę w której ten żyje z ro-
dziną swoją. Był to co wieczor roszkowny dla ser-
ca mego widok, kiedym się znajdował na obrzędach
i uroczystościach tych dobrych wyspiarzy: roszkosze

ich, szczęścia owoce, tak były proste jak cały bieg życia; starcy w okrąg zasiadłszy, poklaskiwali huczliwej wesołości młodzieży, i zdawali się doznawać najżywszego ukontentowania, że mogli być świadkami ich śpiewów i tańców. Niemy świadek tak nowej dla mnie widowni, zachwycony w krotce zostałem smętnym i żałosnym śpiewem młodej Otajtjanki, której głos łagodny i mile brzmiący te nucił wyrazy:

„Smutna, zamyślona i samotna, dąę ku brzegowi; napróżno wzrok mój upatruje na obszernem morzu obrzydłej nawy, co cię miłości mojej wydarła: urojona nadziejo! widzę tylko wznoszące się bałwany, które spotkane w górze wzajemnie się roztrącają. Ponura, z okiem w ziemi wlepionem, powracam smutnie ku chacie ojców moich, i tam jedyną pociechą moją jest myśl o tobie.“

Starzec jakiś uprzejmy objaśnił mi znaczenie tego żalosego śpiewu: chciałem się więc zbliżyć do młodej wyspiarki, której los obudzał we mnie najżywsze litości uczucie, gdy wtem przedzieliły mnie od niej odgłosne i wesołe orszaki płasających krajowców. Kształtni i pięknie zbudowani ludzie, podobni do Apolla kiedy Pytona pokonał, przybrani w lekkie około bioder fartuszki, uszykowali się w największym porządku, naśladując w poruszeniach całą wściekłość jaka niemi mięta w dniu walki. Następowały po nich kobiety: piękność ich opiewana od dawna przez poetów, i przez podróżnych uwielbiana była. Płeć ich jednakże nie jest bynajmniej

połączeniem lilji i róży; nie jest równie hebanową barwą córek skwarnej Afryki; ale jest kolorem wonnego cyndału, który rośnie na wszystkich tych wyspach. Z ich czarnych i wielkich oczu strzelały błyskawice; sploty jaskrawych kwiatów wieńczyły ciemne włosy, a ciało lekko okryte było najdelikatniejszą *auty* tkaniną (*); najstaranniejsze wykłuwanie zdobiło ich ręce i nogi, i naśladowało dość trafnie rękawiczki i przezroczyste dam naszych pończochy. Niektóre miały włosy sztucznie związane na wierzchu głowy, przeplatane gałązkami aromatycznych kwiatów; a stroju tego pozazdrościłby im może nie jeden z najślawniejszych fryzjerów naszych. Chrapliwy odgłos tamtamu i trytonu towarzyszył płasaniu kobiet: tańce ich nie mogą zapewne iść w porównanie z tchnącemi roskoszą napowietrznemi naszych bajaderek baletowych skokami, nie są wszelako bez wdzięku i powabu. Wystawmy sobie tylko ten brzask jaki tworzy niepewny promień słońca, przenikający przez rzadkie i strzępiaste liście mimozy, oraz światło licznych pochodni z włókien kokosowych, pośród kłębow dymu, na widowni bananami i palmami osłonionej, na której występuje cała młodzież tej sławnej wyspy, a pojmiemy cały urok widowiska tak nowego dla oczu francuza.

(*Journ. des Voy.*)

(*) Tak nazywają *morwę papierową* z której kory wspiarcze wyrabiają materje, albo raczej bardzo delikatny papier, służący do odzieży.

Zgon młodego Mungo Parra syna sławnego wędrownika tegoż nazwiska. — Śmierć nie przestaje zabierać kolejno wszystkich nieustraszonych wędrowników, którzy się do środkowej Afryki udają. Jużemy mieli nadzieję otrzymania nakoniec pewnych wiadomości o tajemniczem mieście Tombuktu, o innych nieznanach jeszcze krainach, o źródłach lub biegu rzek rozmaitych, straconych dla nas między stepami. Nadzieje nasze okrutnie zawiedzione zostały w tej samej chwili, kiedyśmy już ziszczenia ich oczekiwali. Obawa, jaką umiano wzbudzić w naczelnikach murzynów środkowej Afryki, którzy w każdym podróżującym Europejczyku upatrują szpiega, wysłanego przez białych do zebrania wiadomości ułatwić mogących podbicie Afryki, obawa ta, której nie dzielą kupcy arabscy i Maurowie nadbrzeżni, ale którą starają się dla swego dobra utrzymywać, długo jeszcze będzie dla naszych uczonych przeszkodą do przebycia tych obszernych pustyń. Może być, iż w ten czas dopiero otrzymamy te wiadomości których nam nie dostaje, kiedy filantropijny projekt P. *Drovetti* (*) uskuteczniiony zostanie, albo kiedy młodzi murzyni wychowani i ukształceni w Europie, będą mogli być wysłani do Afryki środkowej, i wypłacą nam tym sposobem nakłady na nich poniesione, przez ważne barczą wiadomości jakich nam udziela. Dziś do tak opłakanej straty Lainga, Clappertona i tylu innych podróżnych, przydać

(*) O projekcie tym udzielony później wiadomość.

jeszcze należy i zgon Mungo-Parka. Zajmujący ten młodzieniec przedsięwziął podróż swoją po krajach niegdyś przez ojca swego zwiedzonych, celem zebrania pewnych o jego śmierci wiadomości, i dokonania tego co tamten rozpoczął. Przybył on już szczęśliwie do wybrzeża *Akimbo*, na północ ku wschodowi od *Acera*, i miał dostać się do części południowo zachodniej środkowego kraju. W czasie pobytu jego w *Akimbo*, gdzie przez czas niejaki pozostał, celem nabycia doskonałej znajomości języków krajowych, zdarzyła się uroczystość doroczna miejscowa zwana *Yam*. Czarni zebrani byli podług zwyczaju na obszernej równinie, gdzie znajdowało się drzewo *fetysz*, do którego sami kapłani tylko zbliżać się mogli. Młody Mungo-Park wlaźł na to drzewo, uważane za święte, (czyli podług innych powieści na przyległe drzewo) dla odrysowania widoku zgromadzonego orszaku. Skoro król postrzegł ten zamiar jego, starał się go skłonić do zaniechania kroku, któryby go o śmierć mógł przyprawić. Młodzieniec wytrwał w przedsięwzięciu, ale życiem przypłacił. Kapłani *fetysza*, obawiając się osłabienia przez to powagi swojej, gdyby ta bezbożność bezkarnie mu ujsć miała, otruli nieszczęśliwego.

Przebył on już go mil w tym kraju, i bardzo był zadowolony z ostatniego planu swego; ubrał się jak murzyni, z przepaską około bioder; codziennie nacierał skórę olejem palmowym, i nie nosił ani pończoch ani trzewików. — Większą część tych szczegółów o Mungo-Parku zawiera list datowany

z przyłądka *Court - Castle*, 4 grudnia 1827 przez Podpułkownika Lamelly do Sekretarza Hay pisany.

Smierć Chorisa Rossjanina. — Na posiedzeniu Tow. Jeogr. paryz. d. 3 lipca r. b. P. Eyriés doniósł o zgonie jednego z członków tegoż Towarzystwa P. *Choris* malarza. Wyjechał on z Francji w zamiarze zwiedzenia większej części Ameryki, zaczawszy od Meksyku. Przybijał do wielu wysp Archipelagu Antylskiego, potem do Kuby i Nowego Orleanu, a nareszcie zawinął do Meksyku, gdzie podług listu d. 5 kwietnia r. b. z Vera-Cruz do PP. Eyriés pisanego, napadnięty został wraz z swoim towarzyszem P. Henderson Anglikiem przez czterech zbójców. Choris legł pod ich ciosami, Henderson odniósł tylko znaczne rany i w dalszą udał się drogę. Zdarzenie to miało miejsce między *Puente National* a *Plan del Rio*. P. Choris urodził się w Ekaterynosławiu w Nowej-Rossji, 22 marca 1795. Rodzice jego pochodzili z Niemiec. Z wrodzonym talentem i zapalem do malarstwa, łatwo zwrócił uwagę Barona *Marschal Biberstein*, któremu towarzyszył w podróży r. 1813 między góry Kaukazkie odbytej. W r. 1814 wszedł do Petersburskiej akademji sztuk, i tegoż roku wybrany został do wyprawy na okręcie Ruryk, przez zmarłego Kanclerza państwa Rumiancowa w podróż na oko-

ło świata pod dowództwem Kapitał Kotzebue wysłanej. Z podróży tej cztery lata trwającej przybył do Francji w 1819 r. i został tam rader uprzejmie przyjęty. Wydał tam kilka dzieł rysunkowych, do których opisy dołączyli niektórzy utzeni francuzcy. Wszelkie rysunki Chorisa zalecają się prawdą, naturalnością i oryginalnością; nie są również bez zalet i opisy podróży jego.

Niektóre szczegóły o krajach zjednoczonych Ameryki północnej. — (Z dzieła: *Lettres sur les moeurs et les institutions des Etat-unis de l'Amérique septentrionale*, par M. James Fenimore Cooper, traduites de l'anglais par Mlle H. Preble 4 Tomy w Paryżu 1828.)

P. Cooper wypłynął w miesiącu sierpniu 1824 r. z jednego angielskich portów do Nowego Jorku. Miasto to w r. 1756 zawierało tylko 15,000 mieszkańców; w 1790 zawierało ich 33,000; w 1800 — 60,000 a w 1810 — 96,000; w 1820 — 120,000; a w 1825 — 166,000.

W Nowym Jorku muszą często zwalać budowle tymczasowe, ponieważ miejscowość (miasto leży na wyspie) w jednym tylko kierunku miastu się rozszerzać dozwala. Tak jak w Londynie, domy nają

zwykle jedno piętro na pół podziemne, oświetlone niskimi oknami, oraz dwa pietra nad niem leżące. Domy te zawierają w ogólności sześć pokojów, nie licząc kuchni i pokojów dla służących.

„Wszystkie części świata, mówi P. Cooper, przyczyniają się do świetności miasta tego. Widać tam zegary wahadłowe pochodzące z Francji, kobierce bruxelskie i angielskie, jedwabne firanki z Ljonu i Indji wschodnich; alabastry z Włoch sprowadzane; co do marmurów te mają w własnej ziemi. Rzemieślnicy w Ameryce nie mają tego dobrego smaku jaki zdaje się być wrodzony francuzkim; są jednakże dobrymi naśladowcami.“

P. Cooper przydaje, iż większa część domów w Nowym Jorku jest wspanialsza od tych jakie opisywał.

„Zresztą, mówi on, wszędzie sala jadalna jest najpiękniejszą częścią mieszkania. Zwyczaj ten pochodzi ztąd, iż pospolicie po obiedzie zostają wszyscy przez jedną lub dwie godziny, pijąc, jedząc orzechy i rozmawiając.“ Cooper mniema, iż z zachowaniem stosunku, tyle jest osób posiadających pojazdy w Nowym Jorku co i w Paryżu. Z Nowego Jorku udał się P. Cooper częścią wodą częścią lądem do Filadelfji: odległość tych dwóch miast wynosi około mil 90. Amerykanie winni są licznym rzekom swoim, zatokom i kanałom tę korzyść, iż

mogą bardzo znaczne przestrzenie {kraju przebywać wygodniiej i z mniejszym kosztem anizeli w jakimkolwiek bądź kraju inny m.“— Nadmieniwszy jak mało wynoszą koszta przewozu na statku parowym, P. Cooper mówi o żywności w oberżach. „Obfitość, mówi on, aż do zbytku dochodzi, ale płaci się tylko za to co kto spotrzebuje; stawiają przed tobą ryby, mięso, zwierzynę, z których można wybierać co się podoba, a oberżysta bynajmniej nie zdaje się troszczyć o potrawy, które przenosisz nad inne.“

Miasto Filadelfja odznacza się regularnością zabudowań swoich i czystością. „W wielkiej liczbie domów, mówi P. Cooper, schody przed głównymi drzwiami są z marmuru białego, równie jak futra od okien... Gmachy publiczne, oprócz kościołów są większe i lepiej zbudowane anizeli w Nowym Jorku... Dom Banku Krajów zjednoczonych mieszczą zaraz po Giełdzie paryzkiej. Gmach ten wystawiony jest z marmuru białego w porządku Dorryckim; kolumnada nie przedłuża się po bokach, a rozmiary jej, lubo nie bardzo ogromne, wielkie wszelako robią wrażenie... Może być iż gmach ten winien część piękności swojej odosobnieniu, ale okoliczność ta nowiej przydaje zalety budowniczemu, ponieważ sam jego talent przewodniczył mu w wyborze proporcji.“

Pobył w Baltimore był nader przyjemny dla P. Cooper. Nigdzie nie widział on piękniejszych ko-

biet. Między Baltimore i Washingtonem, postrzegł pierwsze pola uprawne tytuniem, które nie były wcale ogrodzone płotami, ponieważ żadne zwierze nie lubi tytuniu.

Podług planu miasta Washington, wszystkie ulice przecinać się będą pod kątem prostym. Gmach zwany Kapitołem składa się z korpusu i dwóch skrzydeł.... Sala kongressu jest wielka, okrągła i nader piękną nakryta kopułą. Sala ciała prawodawczego jest półokrągła. Każdy członek ma krzesło i pulpit przed sobą. W pierwszym rzędzie, krzesła te ustawione są po dwa obok siebie, z zostawieniem otworu dla przejścia. W drugim rzędzie znajdują się krzesła po trzy ustawione, i ta liczba pomnaża się o jedno krzesło w każdym rzędzie, tak iż w ostatnich sześciu lub siedmiu reprezentantów zasiada obok siebie, jak na jednej ławce, chociaż każdy ma inne krzesło. Ci co najpierwsi przybywają wybierają sobie miejsce, i wybór ten jest zawsze szanowany. Nie znają tu rozdzielenia na prawą i lewą stronę. Członkowie jednychże mniemań politycznych, starają się prawda zbliżyć do siebie, a niekiedy wszyscy reprezentanci jednego kraju zgromadzają się w jednoż miejsce, żadnego jednak w tym względzie niema prawidła.

Obyczaje patryarchalne we Włoszech. — P. Simond w dziele swoim pod tytułem *Podróż do Włoch i Sycylji* przytacza przykład patryarchalnych obyczajów w jednym zakątku Lombardji. „Niedaleko *Mont-Rose* w obwodzie *Varallo*, mówi on, znajduje się miasteczko 1,200 ludności mające, którego mieszkańcy od czterech wieków nie mieli ani jednego procesu, i ani jednego aktu przed notariuszem sporządzonego. W rzadkich przypadkach złego postępowania lub wykroczenia ważnego, winny bywa zniewolony do oddalenia się ztamtąd. Przez rok prawie cały jak byli pozbawieni pastersza, jeden ze starszych odbywał w kościele zwyczajne modlitwy w przepisanych godzinach. Władza ojcowska jest tam sanowładna, trwa przez całe życie, a ojcowie rozrządzają majątkiem swoim podług upodobania, bez pismiennego testamentu; słownie objawiona ostatnia ich wola jest święcie szanowaną. Jeden z mieszkańców w Alagna umarł zostawiwszy znaczny jak na ten kraj majątek 180,000 złtp. wynoszący komu innemu z pominięciem naturalnego dziedzica. Ten spotkawszy w krotce potem znajomego adwokata, dowiedział się od niego, że prawa nie uznają zwyczaju panującego w Alagna, i że on może jeśliby chciał odzyskać swój majątek w krótkim czasie. Ofiarował mu nawet usługi swoje, które ten z razu odrzucił; ale po chwili prosił usłużnego obrońcy o czas do namysłu. Przez trzy dni widziano go niespokojnym, zamysłonym, i był, jak mówił do

przyjacioł swoich, zajęty ważną sprawą. W końcu poszedł do adwokata i rzekł mu z prostotą: „To co „chcesz abym uczynił, nie wydarzyło się u nas, a „ja nie myślę dać pierwszego przykładu.“ Niewierność w małżeństwie jest nieznaną, chociaż przed małżeństwem postęпки kobiet często bardzo nie są od nagany wolne; zdarza się jednak dosyć pospolicie iż mąż przysposabia dziecię pierwszej miłości swej żony. Pomimo wszystkich wstrząśnień politycznych i rozmaitych zaburzeń, jakie niszczyły Włochy przez lat dwadzieścia, mieszkańcy zachowali obyczaje i zwyczaje swoje. Kiedy ich dotknęła konskrypcja, nie chcąc służyć w wojsku, zrobili składkę ogólną dla najęcia za siebie zastępców, i tylko w ostatniej potrzebie służbę wojskową przyjmowali. Wszyscy których śmierć ocaliła, powrócili później do siedlisk swoich, a nawet widziano znakomitego lekarza, który długo przebywał za granicą, wracającego do rodzinnego domu. W domu wspólnym zachowują dwa bardzo starożytne ubiory, jeden męzki drugi kobiecy, w które przybierają w czasie ślubu, czyto bogatych czy ubogich. W pięknych owalnych twarzach mieszkańców Alagna, postrzegać się daje podobieństwo rodu do ludu wyższego Bernu, pochodzącego od Duńczyków, a ich mowa potwierdza to postrzeżenie.”

Wiadomości najświeższe o nowéj osadzie angielskiej przy brzegu Afryki, Fernando-Po. — Wice-Gubernator, pułkownik Lumley, przekonał się o przyjaznych stosunkach pojedynczych naczelników

wewnątrz kraju, a mianowicie Ashantów. Na końcu pewnego kawału ziemi zupełnie z drzewa oczyszczonego, założono szpital; pomimo tego co o zdrowości klimatu miejscowego mówią, panuje tu równie febra brzegom morskim właściwa. Krajowcy są bardzo ludzcy, i pozwalają Europejczykom, oglądać wewnątrz kraju swoje chaty. Nauczyli się już handel prowadzić i przynoszą zwierzynę, owce, kozy, przyswojony drób, i bażanty z rodzaju złotych, na wymianę za europejskie towary. Jedyne owoc który uprawiają, jest Yam, gatunek owocu chlebowego; udaje się już bardzo dobrze. Po obu stronach przylądka, na którym nowa osada *Clarence-town* (tak nazwana na cześć byłego wielkiego admirała Wielkiej Brytanji J. K. M. Xięcia Klarencji) założoną została, znajdują się miejsca do zarzucania kotwic, które jednak bardzo są na wiatry wystawione. Blockhaus czyli dom szanćowy i kilka innych chat już ukończono. Materiał drzewny na wybudowanie takich, jako też do innych wystawić się mających publicznych budowli, już obrobiony z Anglii przywieziono. — Drzewa cedrowe i mahoniowe, rosnące na wyspie, bardzo są zdatne do budowli; chcą ich używać również do budowli okrętów. Farbierskie drzewo, jako też tak nazwane Kamowe drzewo (Afrykańskie drzewo czerwone) mają szczególniejsze własności. Kupiec pewien który osiadł pomiędzy krajowcami, zebrał znaczną ilość oliwy palmowej. — Oprócz wyżej wspomnianej febrы nadmorskiej, panowała w osadzie na początku tego roku bardzo zaraźliwa wrzodowa choroba, która sprawia ukąszenie owadu pewnego, znajdującego się na brzegu morza.



K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 21.

Z PIERWSZEJ. POŁOWY LISTOPADA 1828 ROKU.

VII.

WIADOMOŚĆ O RZĄDZIE, OBYCZAJACH I PRZESĄDACH MIESZKAŃCÓW KRAJU WALO (*), przez *Barona Roger*, byłego wielko-rządcę osady francuzkiej *Senegal*:

(z *Dzien. Journal des Voyages.*)

Kraj Walo leży na lewym brzegu Senegalu, niedaleko ujścia tej rzeki. Mało dotychczas znany, obudzać powinien teraz mianowicie uwagę, kiedy Francuzi zakładają tam osady rolnicze wolne, których rozszerzenie i niewyrachowane rezultaty tak wielki wpływ na tę część Afryki wywierać mogą.

(*) Wiadomość ta, jest częścią dzieła pod prassą będącego w Paryżu, pod tytułem: *Pamiętniki opisowe, filozoficzne i polityczne o Senegambji.*

Ludność składająca się z murzynów *Ghiolofs*, jest nieliczna; już wytępioną już też rozproszoną została przez wojny domowe, a mianowicie przez dawniejsze napady Maurów, których wspierała fałszywa polityka Anglików, panów ówczesnych Senegalu.

Szczegóły topograficzne o tej krainie gdzieindziej miejsce znajdują; tutaj, zamierzam tylko zawrzeć niektóre postrzeżenia dotyczące rządu i urzędzenia Kraju, oraz zwyczajów, obyczajów i przesądów jego mieszkańców.

Kraj Walo rządony jest przez króla który nosi tytuł *Braka*. Ojciec Labat twierdził iż wyraz ten znaczył *cesarzą królów*. Wszyscy pisarze po nim powtarzali w dobrej wierze to mylne zdanie, razem z wielu innemi. Walojczykowie bynajmniej nie wiedzą o tym znakomitym tytule, jaki w Europie ich naczelnikowi przyznano. Podług nich, *Brak* było nazwisko najpierwszego z ich królów, którego następcy przybierają je jako zaszczytne dla nich miano. Tym również sposobem cesarze rzymscy nazywali się Cezarami i Augustami.

Powtarzano i to również, iż korona zamiast należeć do dzieci królewskich, przechodziła zawsze na dzieci siostry króla; który to środek uważano za bardzo skuteczny, dla posiadania Xiążąt z tejże samej krwi zrodzonych. Nie zaprzeczam skuteczności jego; ale nie przekonują mnie, iżby Walojczykowie tak daleko posuwali przywiązanie do rodu i ostrożność w zachowaniu jego

czystości. Przez tę przezorność, która zasługuje na uwagę naszych publicystów, zdawali się oni chcieć tylko uniknąć nieszczęść jakie za sobą małżeńność następców i regencje pociągają, i dla tego ustanowili następujący porządek: po śmierci króla, następują po nim bracia jego porządkiem starszeństwa; po wygaśnięciu tej pierwszej linji, wraca się korona do starszego syna z pierwszego brata, dalej do starszego syna drugiego brata, i tak następnie. Tym sposobem, który również nie jest bez złej strony, pewni są przynajmniej rządców wyszłych z lat dziecinnych. Nadmienić tu należy, że tylko Xiążęta z kobiet krwi królewskiej zrodzeni mają prawo do tronu; dzieci z innych kobiet i nałożnic pochodzące są pozabawione następstwa. W ostatnich czasach dwie rodziny do tronu roszczące prawa, zgodziły się po długich wojnach domowych, iż mężczyźni z jednej zaślubią będą kobiety z drugiej rodziny, i nawzajem; iż mężowie siostr ubiegać się będą mogli zarówno z braćmi; że nakoniec dzieci z tych małżonków zrodzone same jedynie będą miały prawo do tronu. Kobiety nie mogą panować osobiście; ale jednakże wpływają nieraz bardzo stanowczo na czynności, jako małżonki, a szczególnie jako matki królów. Główniejsi naczelnicy obowiązani są sprawdzać, czy prawy następca zdolny jest do rządzenia państwem; jeśli jest ślepy, słabowity, dziecinny? jeśli nie może konia dosiadać, strzelać z broni ręcznej, prawa

jego naówczas przechodzą na innego. Ztąd wypływa, iż *pretendent* obowiązany jest rozdawać wyborcom swoim podarunki; ale odzyskuje on je z korzyścią; bo skoro zostanie ogłoszony, stara się jak najwięcej ściągnąć opłat za odnowienie lub utrzymanie największej liczby dygnitarzy.

Koronacja Braka, odbywa się z wielu obrzędami, które zdają się z razu śmiesznymi, ale są one allegoryczne, i muszą mieć ciekawe pochodzenia. Nowy król obowiązany jest przechodzić niejako przez rozmaite stany towarzystwa, dla poznania wszystkich i opiekowania się nimi. I tak np. lubo rybacy stanowią w tym kraju niejako kastę w pogardzie zostającą, Brak wszelako musi wraz z nimi włączyć do wody, pośród małej rzeki na ten cel przeznaczonej, i nie może z niej wyjść inaczej jak z rybą w ręku, którą niby złapał, a którą starają się tajemnie mu podać. Wszystkie te obrzędy odbywają się w obecności licznie zgromadzonego ludu. Walojczykowie zachowują dla swojego Braka uszanowanie nawykniem i przesądem uświęcone, tem godniejsze uwagi, iż rządcą ten, ubiera się i mieszka równie skromnie jak jego poddani, i nie odznacza się od nich okazałością i blaskiem. Każdy może się do niego swobodnie zbliżyć; zwyczaj jest jednak zdejmować w ówczas sandały, przyklękać najedno kolano, i schyliwszy z uszanowaniem głowę, rękę przy niej trzymać. Zaufanie ludu w rodzinie panującego dochodzi do tego stopnia, iż jej

moc uzdrawiania przypisuje. Widziałem matki przynoszące chore swe dzieci przed królowę, która dotykała uroczyście palcami od nogi ich boków, żołądka, głowy i nóg, a biedne murzynki odchodziły z zaufaniem, że dzieci ich są uratowane.

Jakby na przekorę naszym *wielkim obiadom dworskim*, Brak i rodzina jego nigdy nie jadają publicznie; i owszem, wyraźnie jest zakazano widzieć ich jedzących. Kryją się w ówczas, jak gdyby się wstydzili iż mają wspólną z ludźmi potrzebę materjalną i funkcję zupełnie zwierzęcą.

Orszak Braka składa się zwykle z dwudziestu murzynów którzy się uważają za szlachtę, i są wojownikami z powołania; ludzic ci utrzymywani są kosztem publicznym, i uważają wszelki rodzaj pracy za upodlający. W podróżach swoich, Brak i ludzic jego utrzymują się kosztem wiosek przez które przechodzą, a w tenczas kiedy łupią biednych mieszkańców, *griotowie* którzy są muzykantami i trefnisiarni razem, uderzają nieustannie w wrzaskliwe bębny, śpiewając pochwały swych panów. »Oto, mówią oni, dobra rodzina! nie ma szlachetniejszej na świecie! Oto są potomkowie »władców naszych! Zbiegajcie się, patrzcie i radujcie!« Tymczasem zabierają do koła kury, barany, kozy, mleko i żywność biednych mieszkańców. — Podołnież postępowano i w naszej Europie, zanim ustanowione zostały regularne podatki w pieniądzech opłacane.

Rząd kraju Walo ma również i z innych względów wiele podobieństwa do rządu, jaki miała Francja w ten czas kiedy prowincje i wielkie posiadłości zaczęły się stawać dziedzicznymi. Jednym z przedniejszych jest tak zwany urząd *bukanka*, czyli służącego zaufanie monarchy posiadającego, który jest naczelnikiem jego domu, a tem samém i pierwszym ministrem. Jest to toż samo co była godność tak zwanych *maires du palais* we Francji. Wysokie to dostojęństwo zostaje wyłącznie w jednej rodzinie, pierwiastkowo niewolników Braka, która jeszcze za niewolników sama się uważa.

Wielkie godności nie są zupełnie dziedzicznymi, podług stałych prawideł, ale rzadko wychodzą z rodziny, która je posiada. Każdy naczelnik tak jak niegdyś u nas (we Francji) nosi nazwisko prowincji którą zarządza. Naczelnicy ustępują część prowincji swojej wazalom, którzy im roczne należności opłacają; ci wybierają składkę od naczelników wiosek, którzy częstokroć, pobierają takową znowu od mieszkańców. Feudalny i fiskalny łańcuch ciągnie się tym sposobem z ogniwa do ogniwa, od Braka aż do ostatniego niewolnika.

Wszystkie podzielićby można na dwa rodzaje, jedne, i to najniższe, podlegają panom, u których prawo dziedzictwa jest urządzone na wzór dziedziczności korony. Inne, w mniejszej liczbie, ale ludniejsze, stanowią prawdziwe *gminy*, ma-

jące swych urzędników cywilnych, do których należy pomiar gruntów, pobór podatków, policja i rozsądzanie spraw rozmaitych. W niektórych takich wsiach albo miasteczkach, znajduje się na czele takiego municypalnego urzędu *marabut*, przybierający tytuł *Serigna* albo *Kapłana*, do którego przydaje nazwisko wioski swojej. Tam, zwykle mieszkańcy obowiązani są składać dziesięcinę ze swych zbiorów, która to danina wszędzie obok feudalności istniejąca, rozdziela się między *kapłana* i naczelnika przez Braka mianowanego; naczelnik taki obowiązany jest przewodniczyć podwładnym swym do boju i ułatwiać polityczne czynności.

Ogólna zasada rządu krainy Walo, jest ta, iż wszyscy ludzie i wszystkie ziemie należą do Braka, i że ten niemi dowolnie rozrządzać ma prawo. Nie może on jednak go używać, tak jak niegdyś królowie francuzcy, którym w bardzo odległych czasach podobne dosyć prawo przyznawano. Nie dozwoliliby tego *magnaci*, również jak i *gminy*, które jakieśmy wyżej widzieli, tworzyć się zaczynają. Drugą maxyma jest nasze dawne zwyczajowe prawo: *Nie ma ziemi bez Pana* (*Pas de terre sans seigneur*), które jest ściślej zachowane, jako obchodzące wszystkie możniejsze rodziny. Z posiadaniem ziemi łączy się władza wymierzania sprawiedliwości, co zupełnie wyobraża nasze *sądy panów* (*jurisdictions seigneuriales*). Prawo pobierania opłat drogo-

wych i t. p. należy do właściciela ziemi, równie jak wszelkie kary pieniężne i konfiskaty.

Znaleść w tej części Afryki rząd feudalny, jaki długo władał Francją i całą Europą, ten sam rząd który znaleziono również w wielu krajach ładu stałego i wysp Indyjskich, jakież przedmiot do rozmyślenia! Czyliż ludy mają wszędzie podobnymże sposobem robić pierwsze do cywilizacji kroki.

Filozofowie niektórzy mniemali, iż z roztrąśnienia kryminalnego prawodawstwa ludu jakiego, można dobre powziąć wyobrażenie o naturze charakteru i stopniu zepsucia jego. Zdanie to korzystnem byłoby dla Walojczyków, u nich bowiem kary są lekkie i nie częste. Złodziej odnosi karę jedynie przez zwrócenie rzeczy skradzionej właścicielowi, niekiedy bywa pieniężnie, a zawsze z mocnem napomnieniem ukarany. Godną uwagi jest, iż w ogólności tylko cudzoziemców spotyka okradzenie. Morderca może być skazany na niewolę; ale jak w dawnych prawach naszych, może on wykupić się przez *kompozytę*, czyli układ stosowny do godności osoby zamordowanej. Zresztą, morderstwo rzadko bardzo się wydarza, chociaż mieszkańcy mają zawsze puginął za pasem, i nie wychodzą inaczej jak uzbrojeni dziedą lub strzelbą ognistą. Najgorszego postępowania ludzie, po dokonaniu powtórnego występku, zmuszeni bywają do ustąpienia z kraju. Przez przeciąg lat ośmiu, słyshałem ledwie o jednym zło-

czyńcy na śmierć skazanym; został on rozstrzelany.

Pod względem obyczajów, podzielić można Walojczyków na dwie klasy; na marabutów czyli *uczonych* (jeśli wolno jest tak ich nazywać), i na tych którzy nie są nimi. Z tymi ostatnimi Europejczycy jedyne prawie mają stosunki; nie mówię żeby te zepsuć ich miały, ale nie są bynajmniej tej natury aby ich mogły lepszymi uczynić. Jakkolwiek bądź, murzyni tej klasy nie mogą obudzić w tych co z nimi obcują wielkiego szacunku. Są oni w ogólności popędliwi, oddani pijaństwu, opryskliwi i bardzo naprzykrzający się; nie można im jednakże odmówić wesołości, dobrego serca i uprzedzającej powierchowności. Marabuci są poważniejsi, moralniejsi i więcej interesujący; przywiązują się oni do ziemi, do wspomnień rodzinnych i pierwszej młodości; najwięcej u nich znaczy to miejsce gdzie się znajduje ich rodzinna chatka i pola które ich przodkowie uprawiali. Otoczony żonami swemi, dziećmi, posiadający konia i małą trzodę, Marabut, odznacza się jako naczelnik rodziny charakterem stałym, niepodległym i mającym w sobie wiele godności. Mało zbliżony do stanu naszego uobyczajenia, dalszym jest wszelako od stanu dzikości, niżby rozumieć można: lubi on rozprawiać i chciałby się oświecać; a dla okazania iż już znajduje się na drodze cywilizacji, dosyć będzie przytoczyć tę uwagę, iż są nie-

które wioski gdzie więcej jest murzynów, umiejących czytać i pisać po arabsku, który to język jest dla nich umarłym i uczonym, niżby dziś jeszcze znaleźć można po wielu wioskach we Francji wieśniaków umiejących czytać i pisać po francuzku. Wypada tu zrobić uwagę, iż Brak i inni naczelnicy nie przyczyniają się bynajmniej do rozwinięcia władz umysłowych i moralnych części jednej ludności. Oddają się oni pijaństwu, którem się Marabuci brzydzą, tudzież chlubią się z tego, że pisać nie umieją. Kraj ten jest w tym względzie na takim stopniu, na jakim była Francja w epoce kiedy gminy oswobadzały się przez opłatę, kiedy średnia klasa obywateli odznaczała się dobrem postępowaniem, gorliwością w nabywaniu nauk, a szlachta popisywała się z niecoświecciem i nierządem obyczajów.

Murzyni ci, których nie jeden we Francji za dzikich jeszcze uważa, mają wszelako swój rodzaj grzeczności, która nawet połączona jest z większą liczbą zwyczajów i formalności aniżeli długa cywilizacja u nas zaprowadziła. I tak, kiedy się spotykają, lub przystępują do siebie, oprócz *salam-aleikoum* które przyjęli od Maurów, nie omieszkują zapytać się po trzykroć czyli są w stanie spokojności, *czy im się dobrze powodzi*; co zaś jest bardzo ciekawem, że dopiero za trzecim razem, kiedy się już dostatecznie o moralnym stanie osoby przekonają, zapytują się o stan fizyczny zdrowia. Widać z tego że poró-

wnanie nie jest dla nas zaszczytnem, i że ci czar-
ni nie mogą nam zazdrościć, ani naszego *jak się
nosisz?* ani angielskiego *jak robisz?*

Mają oni wyrażenia odpowiadające naszym,
dzień dobry, dobry wieczór, dobra noc; posuwa-
ją jednakże dalej niż Francuzi wyszukaną cywi-
lizację, gdyż mają pośrednie niejako formuły, któ-
reby można wyrazić przez *dobre południe*, *do-
bry środek dnia*. Zdaje się iż ludzie ci dosyć
są uobyczajeni, jak na dzikich, których tylko na
niewolników zdolnymi być sądzono.

Walojczykowie są z natury weseli, rozprawia-
jący, i wielomówni. Lubią oni długie rozmowy;
z przyjemnością przywodzą podania o kraju swo-
im, opisując podróże i bitwy, opowiadają powie-
ści częstokroć zajmujące; układają mianowicie
bajki, które zamierzam zebrać w pewną całość.
Cwiczą się również, w czasie zgromadzania się
przy świetle xiężyca, w zadawaniu sobie dow-
cipnych pytań, podobnych nieco do naszych za-
gadek, ale więcej do rozrywek umysłowych w
jakich zdają się mieć upodobanie Chińczycy.
Gościnność jest cnotą lud ten odznaczającą. Po-
spolicie jadają przed chatami na otwartem po-
wietrzu; a skoro zastawiają jedzenie, każdy kto
chce zasiąść i posilić się może. Cudzoziemiec,
podróżny sięga do miski w raz z innymi; nie py-
tają go kto jest, i może odejść słowa nawet nie
przemówiwszy. Wrodzone Walojczyków skłon-
ności w tym względzie, wzmocnione jeszcze zo-

stały przepisami religii Mahometa, którą powszechnie przyjęli. Ci co ją wyznają ściśle, a których niewielka znajduje się liczba, modlą się pięć razy na dzień, a nawet częściej niekiedy. Przywiązują oni wielką ważność do zewnętrznych oznak nabożeństwa, do giestów, przyklękiwań, i t. p.; z resztą, modlitwy w języku arabskim odmawiane są dla większej części zupełnie niezrozumiałe; nie mają oni żadnej znajomości dogmatów, a mniej jeszcze historji Islamizmu.

Jak wszystkie nicoświeczone ludy, więcej zaborbonni niż prawdziwie religijni, murzyni ci wielką mają ufność w *amuletach* zwanych w ich języku *gry-gry*; są to kawałki papieru na których napisane są głoski arabskie, które oni mają za święte wiersze Koranu. Przypisują im tak wiele mocy, iż niektórzy dla okazania ich skuteczności na rany, nie lękają uderzać samych siebie pugiuałem. Widząc płynącą krew własną, ledwie jeszcze błąd swój uznają. Najdziwniejszą jednak jest rzeczą, że Marabuci, którzy robią i sprzedają owe *gry-gry*, ci których surowa powierzchowność, ustawiczne odmawianie modlitw i naznaczone ziemią czoło, zdawałyby się okazywać obłudę, sami częstokroć wierzą najmocniej w zalety i skuteczność dzieł swoich. Przytoczyć tu mogę osobliwszy tego rodzaju przykład. — Lew krążący około pewnej wioski pożarł już był kilka sztuk bydła; mieszkańcy uciekli się do marabuta, który im sprzedał *gry-gry*,

mające przeciwko lwu skutkować, i dał bydłu napój dla oddalenia od niego dzikich zwierząt. Marabut ten był tak szczęśliwy, iż lew szczególnym zdarzeniem w samą porę opuścił tę okolice. Dla tego sława jego i duma codziennie wzrastały. Zdarzyło się jednak raz pewnego, iż popełniono kradzież i radzono go się względem odkrycia jej sprawcy. Sądził on że najlepszym w tym względzie środkiem będzie próba przez wodę wrzącą, której się wszyscy murzyni poddać mieli. Przy pomocy boskiej, jak on mniemał, sam tylko złodziej miał zostać oparzony. Chcąc dać przykład, zanurzył śmiało rękę; wielu innych uczyniło toż samo z pośpiechu, zanim się przekonano, że woda parzyła równie niewinnych zarówno z winnymi. Biedny marabut, którego w krótko potem widziałem, mniej czuł dolegliwości z oparzenia pochodzącej, aniżeli uszczerbku jaki sława jego poniosła. — Oprócz tej próby przez wodę wrzącą, używają jeszcze w kraju *prób przez ogień przez truciznę*. Lud więc ten dość jest zamożny w nasze dawne szaleństwa; lecz, jeśli prawda, że przeznaczeniem szaleństw tych jest okrażyć świat cały, ileż ich jeszcze biednym Afrykanom ustąpić mamy!

Wszelako, pod względem przesądów i zabobonów, można powiedzieć że czarni nie ustępują już wcale białym. — Jeśli Walojezycy znajdą na brzegu morskim lub rzeczonym rybę, każdy stara się dostać z niej jednej łuski, dla przyklepienia so-

bie na czole. To im ma, jak mówią, *szczęście sprowadzać*. Nie mamyż my nic podobnego?

Walojczykowie mają w wielkiem poszanowaniu rodzaj pewny rośliny pasożytnej, którą nazywają *Tob*. Wychodząc na wojnę, noszą jej liście przy sobie, jako ochronę od ran i jako prawdziwe *gry-gry*. Podobną roślinę czcili także starożytni Gaulowie. Przesąd ten wspólny dwóm ludom, jedno mieć może pochodzenie; czarni i biali uważali bezwątpienia coś nadnaturalnego w roślinie, która rośnie i kwitnie nie zapuszczając korzeni w ziemię. Nie mogliż mniemać istotnie, że roślina ta z nieba spadła.

Murzyni w Walo mają swoje dni pomyślne i niepomyślne, znaki rozmaite dobrej albo złej wróżby; wierzą w upiory i czarowników, zupełnie tak jak gdyby się w Europie urodzili. Czarownicy atoli nie są cierpiani i karzą ich surowo w tym kraju, tak jak niegdyśi u nas było. Afrykanie jednakże nadto są łagodni i już nadto uobyczajeni, iżby ich mieli palić na stosach; sprzedają ich tylko jak niewolników; co dla *handlu murzynów* i dla skarbu panujących Xiążąt było bardzo obfitem źródłem dochodu. W tenczas to najwięcej kręcili się czarownicy; od czasu zaś jak handel niewolników został zniesiony, nierównie są rzadsi.

Muszę tu również wspomnieć, iż Walojczykowie obawiają się djabła; co im jest wspólne ze

wszystkiemi ludami świata: należy jednak uważać, że podług mniemania Afrykanów, djabeł ma być koloru białego. *Par pari refertur.*

Zakończając tę krótką wiadomość o narodzie mało znanym, żadnych w niej nie przytoczywszy szczegółów o kobietach kraju tego, czuję ile opis mój stracił na tem musiał; one bowiem jedynie obrazowi obyczajów, równie jak towarzystwu samemu przyjemną barwę, wabność i życie nadać są zdolne. Nie będzie wszakże zbyt cennem to krótkie porównanie negrów, którym z bliska i długo się przypatrywałem, z wieśniakami niejednej francuzkiej prowincji, oraz zebranie w kilku wierszach tego, co jedni i drudzy zdają mi się mieć z sobą wspólnego. Nieraz uderzały mnie liczne rysy podobieństwa jakie między nimi postrzegałem. Duch interesu czyni jednych i drugich ciekawymi, chciwymi, chytrymi, łatwo na dobrodziejstwa niepomnymi, a nawet gotowymi do szukania gwałtownych korzyści z tych których za bogatych uważają. Sprzeczą się oni i kłóćą często, lecz raczej przez wrodzoną żywość, jak ze złości. Jeśli obmawiają niekiedy, obecnych za to z szczerością dobrze przyjmują. Z natury weseli, lubią muzykę, tańce, a nade wszystko rozmowę; żywo czujący rozkosz, znoszą z łatwością przykrości; stół pociesza ich i wynagradza za wszystkie trudy i umartwienia. Nadskakujący i przyjemni dla kobiet, są zwykle bardzo dobrymi ojcami. Ulegają władzy zwierz-

chniej bez rozwagi, więcéj z nawyknięcia jak z hojaźni. Mniej religijni jak przesądni, modlący się w języku dla siebie niezrozumiałym, przywiązujący się do zewnętrznych obrządków, wierzący w amulety i *gry-gry*, z łatwością przyjmujący najniedorzeczniejsze wyobrażenia, przekazują oni sobie, z pokolenia do pokolenia, bynajmniej nie tracąc, wszelkie przesady, wszelkie szaleństwa jakimi ich umysł w dzieciństwie kołysano.

VIII.

PODRÓŻE PP. WARD i BEAUFOY do MEXYKU.

Dwa dzieła zarówno zajmujące, ale które przez odmiennosc kształtu, stylu i postrzeżeń w ogólnosci, dosyc wyraźnie okazują, jak małe zachodza stosunki w towarzyskiem położeniu obu dwóch autorów, w jednymże prawie wyszły czasie, i zawierają wiele bardzo ciekawych o Meksyku szczegółów, które nowymi będą dla ogółu czytelników, a które spekulacje kopalniane zaprowadziły od lat kilku pomiędzy Anglią a tym krajem. P. Ward, znakomity dyplomata, agent rządu, w dwóch grubych tomach, w których do tekstu dołączone są dowody i objaśniające przypisy, nie spuszcza się nigdy z uwagi odpowiedzialności niejako, jaką położenie jego koniecznie nań wkłada. Postrzedz można, że te obowiązki zbli-

żyły go do pewnych klass, o których przyzwoitość, a nawet wdzięczność kazały mu mówić z wszelkimi względami, jakich sam doznawał. Co się tyczy P. Beaufoy, który pisał w tymże przedmiocie, rzecz się ma inaczej. Były kapitan w gwardji, i zapewne nie rad że nim być przestał, wyraża się z wszelką otwartością zwyczajną wojskowym. Jakkolwiek bądź, czytanie obudwóch tych dzieł jest przyjemnem i pożytecznem. Jeżeli pierwsze wymaga, aby je czytać z uwagą w zamkniętym gabinecie, drugie może w każdym czasie przyjemną sprawić rozrywkę; i zdaje się, że dany dość wierne wyobrażenie o ich istotnych zaletach, kiedy powiemy, że dziełko P. Beaufoy jest najlepszym wstępem, jakim poprzedzić można poważniejsze i bardziej szczegółowe pismo P. Warda. Nie rozszerzając się dłużej nad tym przedmiotem, ani nad wyliczaniem zalet i uchybień, w których obadwa autorowie mają swój udział, ograniczymy się jedynie na przytoczeniu kolejno niektórych wyjątków z jednego i z drugiego. Obaczmy naprzód, jakie okoliczności sprowadziły naszego oficera gwardji do zjednoczonych prowincji Meksyku, a jakim winni jesteśmy dowcipne opisy, w których mówi porządkiem o zwyczajach, obyczajach, śmiesznościach i nędzy krajowców Krecolów.

W roku to 1815, jak wiadomo, opanował Anglję szal spekulacji, której Ameryka południowa była przedmiotem. Speculanci angielscy

nabili sobie głowę, iż złoto i srebro zbiera się garściami po ulicach Meksyku i Lima, i że mieszkańcy tych krajów nie mieli tyle poznania, aby się tylko po nie schylić i zbierać. Rozumiano, że przez odkrycie jakiegoś czarodziejskiego i wcale nowego sposobu, dosyć było złożyć trzy lub cztery funty szterlingi u jakiego Londyńskiego bankiera, aby stać się właścicielem kopalni, i uczestnikiem wszelkich korzyści przywiązanych do przedsięwzięć, których ogromny i pewny zysk miał być owocem. Co do natury samego przedsięwzięcia, jego organizacji, i sposobu w jaki miało być administrowane, o to nie dowiadzano się i prawie nikt nie miał w tym względzie żadnej wiadomości. W tej to nieszczęśliwej epoce, P. Beaufoy odebrał polecenie od jednej z kompanji, które groziły wydobywaniem kruszców Meksykańskich, udać się na miejsce, czuwać nad ich interesami, i o nowe starać się zdobycze. Wyjechał tedy i przybył szczęśliwie do przystani Tempico, pełen nadziei i wiary w to wszystko, cokolwiek powiedzieli o nowój Hiszpanji Robertson i Humboldt.

Przytoczymy własne wyrazy P. Beaufoy, opowiadającego niektóre szczegóły o podróży swojej z wybrzeża do Meksyku.

»Droga gruntownie urządzona, mająca 260 mil długości, prowadziła, niegdyś z Vera-Cruz do stolicy: pomimo małego około niej starania, i opuszczonego przez to stanu, można ją jeszcze w

ośmiu dniach odbyć pojazdem o jedenastu mułach, z których siedem ciągnie, a cztery idą z tyłu do przemiany. Używają także wozu pocztowego nieco lżejszego, ale któremu, przez ironję zapewne dano *Wolanta* nazwanie. Trzy muły które do niego zaprzęgają odbywają też samą drogę w półsiódma dnia, oprócz dwóch dni na odpoczynek liczyć się mogących.

»W kraju zawartym między wybrzeżem a Xalapa, używają często pokrytej sofya zwanej *litera*: spoczywa ona z obu końców na dźwigni, niesionej przez dwa muły, pomiędzy któremi machina jest zawieszona. Ale najzwyczajniejszy sposób odbywania podróży, i bez zaprzeczenia najwygodniejszy, jest koń siodłowy. Trzeba ich mieć przynajmniej dwa dla przesiadania się, oraz wysyłać przed sobą pięć lub sześć jucznych zwierząt z bagażami i żywnością. Jeśli, w podróży o której mówię, woli kto okrążyć i kilka *lieues* nadłożyć, przebywa wiele 1 pasem wzgorzów, gdzie do pojazdu zaprzęgać trzeba po dziewięć mułów, które przewodnicy popędzają jedynie przez krzyki, kije i szturchania nogami po brzuchu. Z resztą, nie potrzeba tu przytaczać, iż w Meksyku, równie jak w starcej Hiszpanji, ci co chcą mieć w podróży łóżka, znośny posiłek, i najpośledniejsze chociaż wygody życia towarzyskiego, muszą wszystko z sobą przewozić. Pierwsza oberża, gdzie dla odpoczuienia stanęliśmy,

przekonałaby mnie była o tem, gdybym już nie był uprzedzony.«

P. Ward opisuje bardzo szczegółowo stolicę Meksyku; przytoczymy tu dosłownie część jego opisu.

»Meksyk jest niezawodnie miastem najregularnijszém i najpięknijszém jakie w życiu mojem widziałem; ale położony pośród wielkiej równiny, najsmutniejszą ma postać. Z jednej jego strony znajduje się błotniste bagno; z drugiej, ziemia płonna i okryta gnijącemi roślinami. Ulice tak mało mają spadku, iż po najmniejszym wód zalewie, nie można przez kilka godzin przystąpić do nich.

»Kiedy, podobna do Wenecji, stolica ta wznosiła się z łona niezmiernego jeziora oblewającego posady gór przyległych, widok jego musiał przedstawiać szczególniejszy charakter wielkości i szlachetności; lecz, po trzech latach uporczywej pracy, zdołali Hiszpanie oddalić wody o trzy lub cztery mile, nie mogąc nieszczęściem osuszyć niezdrowych bagien, które przez to potworzyli.

»Ulice tego pysznego miasta, wszystkie w prostej linii wyciągane, przecinają się prostopadle, i mają po większej części milę lub półtóry mili długości. Nie tam nie ogranicza wejrzenia, ani go nieprzyjemnie wstrzymuje: jednostajność fasad, dachów płaskich, przedstawia przeciwnie perspektywę, od której oko oderwać się nie zdo-

ła. Okolice jednak Meksyku, tak jak miast hiszpańskich, napełnione są zameczyskami, stosami gruzów i śmieci. Często nawet da ci się widzieć nędza i najodrażliwsza nieczystość w środku najpiękniejszego gmachu.

»Domy z kamienia ciosowego, lepiej nierównie zbudowane od wszystkich gmachów angielskich, mają po dwa lub trzy piętra, których okna wychodzą na balkony okryte naczyniami pełnymi kwiatów i krzaków rozmaitych. Znajdują się one niekiedy i na tarasach, które w ówczas najprzyjemniejsze tworzą przechadzki; ale często dosyć tarasy te są siedliskiem wielkiego psa broniącego złodziejom wstępu przez balkony do mieszkań.

»Środkiem główniejszych ulic, bardzo trwale wybrukowanych małymi okrągłymi i gładzonymi kamieniami, porobione są podziemne rynny, a po obu stronach idą wielkie i piękne chodniki. Ulice wszystkie oświetlone są licznymi rewerberami opalanymi olejem.«

Tenże sam podróżny oddając {największe pochwały teatrowi, jako pomnikowi sztuki budowniczej, powiada, iż nie widział w nim ani jednego znośnego aktora; żali się zaś najwięcej na chmury dymu tytoniowego, które w ciągu widowiska napełniają nieustannie salę teatralną. Jednakże, w czasie ostatniego widowiska na którym się znajdował, damy w łożach będące wcale tytoniu nie kurzyły. Rozwodzi się w na-

der przyjemny sposób nad opisaniem przechadzki *Alameda*, publicznego placu w Meksyku.

»Pomiedzy nowemi dla mnie przedmiotami, i rozmaitością scen jakie w tej epoce miasto przedstawiało, nie bardziej mię nie uderzyło nad przechadzkę *Alameda*. Nie widać tam było wprawdzie tych orszaków ładnych kobiet, które stanowią najpiękniejszą ozdobę *Prado* w Madrycie, gdyż damy Meksykańskie rzadko się ukazują na przechadzkach pieszo; ale ogół cały przechadzki tworzył widok, któremu dotąd nie równego postrzedz mi się nie zdarzyło. Aleje do placu wiodące napełnione były ogromnemi pojazdami, po większej części na drągach bez resorów zbudowanemi; wszystkie jednak były starannie malowane, i przedstawiały zamiast herbów jak u nas wyobrażenia rozmaitych przedmiotów, stosownie do gustu lub urojenia robotnika albo właściciela. W każdym pojeździe znajdowały się damy w ubiorach wieczornych, a w oczekiwaniu na zbliżenie znajomych sobie modnisiów, smakowały rokosznie w cygarach, których dym ulatywał białawemi obłokami przez oba okienka pojazdu. Mężczyzni konno przybywający, mieli na sobie ubiór zupełny, przez młodzież krajową przyjęty, który jest bardzo bogaty, w tenczas kiedy tylko w podobnych zdarzeniach jako strój paradny ma być użytym. Tył konia okryty bywa tak zwanym *anquera*, czyli obszernym dywanem, często wyłęczanym i starannie haftowanym, zakoń-

czonym zawsze franzlą z małych blaszek żelaznych lub srebrnych, których chrzęst oznajmia zbliżanie się jezdca. Dywan ten jest przymocowany do siodła okrytego podobnemiż ozdobami, którego kula jest bardzo wyniesiona. Rzemienie musztuka okryte są blaszkami srebrnemi ozdobnie wyrabianemi, i zakończają się przy pysku konia arabskiem wędzidłem: niekiedy *anquera* jest bogato podszyty, co wraz z haftami i ozdobami siodła podnosi wartość ubioru końskiego do 500 lub 600 piasstrów. Koń użyty w podobnym razie powinien być tusty i połykający, oraz bardzo łagodny, a nadewszystko mieć ubiór przedni bardzo wzniesiony; co podług kreolów meksykańskich pomnaża składowość w jeździe. Widok całego ubioru jest malowniczy, a przechadzki meksykańskie utracą bardzo wiele okazałości, skoro mody francuzkie lub angielskie zastąpią ten strój smutny i oryginalny, co bez wątpienia prędzej lub później nastąpi.«

Obok tak niepomiarkowanego przepychu, daje się wszelako postrześć z przykrością okropną i odrażającą nędza klas niższych. »Ta ludność *Lazzaronów* nowego świata, mówi P. Ward, tak okropnemi czyniła w r. 1823 przedmieścia stolicy, iż cudzoziemcy zaledwie śmieli zbliżać się do nich. Dwadzieścia tysięcy tych nieszczęśliwych zalegało w ówczas ulice, gdzie przedstawiali obraz nędzy do odmalowania niepodobnej.

»Przez dziwne jakieś wyobrażenie natury, isto-

ty te tak srogo przez nią i przez los upośledzone, posiadają niektóre zdolności, które klas wyższych tylko udziałem byćby powinny. Mają między innymi szczególniejszą pojętność do rzeźbiarstwa, a w ogólności do wszelkich sztuk rysunkowych. W Indjanach okazują się niektóre przyrodzone talenta, które starannie uprawione, mogłyby bez wątpienia stan ich polepszyć.

»Figury woskowe które wystawione były publicznie w Londynie, w gabinecie Bullocka, są dziełem tych amerykańskich parjasów, a każdy uważał w nich wykończenie, subtelność rysów, mianowicie dziewięć, którym kilka obrazów Murilla musiało służyć za model; bo niepodobna uwierzyć, aby ludzie tak brzydey mogli wydobyć sami z siebie wzory tak przyjemnych rysów. P. Humboldt uważał, że zdolności pokoleń miedzianego koloru ograniczają się wyłącznie na naśladownictwie. Zaden lud bez wątpienia nie wyróżnia im w tym względzie; a w akademji *San Carlos*, gdzie rząd własnym kosztem dostarczył wzorów i wszelkich do doskonalenia się środków, zawsze najpojętniejsi i najzręczniejsi pochodzą z rodu Indjan. »Rysowali oni, że tak rzec można, instynktowo, i kopjowali z równą łatwością jak poprawnością wszystko co im przedstawiano. Nie-szczęściem, mało wytrwali w zamiarze, najmniejszym zrażali się przymusem, i po kilku lekcjach już więcej nie powracali.«

IX.

WIADOMOŚĆ O LUDACH AUSTRALJĘ ZA-
MIESZKUJĄCYCH, JAKO TO: PAPUACH,
TASMANJANACH, ALFURUACH i AUSTRALJA-
NACH, przez PP. *Lesson i Garnot.*

Podczas pobytu korwety *la Coquille* pośród archipelagów Nowej Gwinei i Australji, PP. Lesson i Garnot należący do wyprawy jako naturaliści, zebrali ciekawe i ważne wiadomości o ludach archipelagi te zamieszkujących. Przejdziemy tu ile nam miejsce pozwoili przytoczone przez tych autorów szczegóły o narodach oznaczonych nazwiskami Papuów, Tasmanjanów, Alfuruów i Australjanów; pierwszych mieszkających na brzegach Nowej - Gwinei, drugich, w kraju Van-Diemen, trzecich, w środkowych okolicach Nowej Gwinei, a ostatnich w Nowej - Holandji.

Papuowie są koloru czarnego, mieniącego się, w odcieniach; włosy ich nie są połyskujące z natury, ale też i nie są wełniaste. Ludzie ci zamieszkujący szczególnie całą część północną Nowej - Gwinei, stanowią w pewnym względzie lud mieszany, albo *metysów*. Zawsze prawie władza najwyższa, mało z resztą mająca wpływu, spoczywa w ręku Malajczyków, którzy nadto prowadzą handel zamienny, a mianowicie trudnią się sprzedażą jeńców na wojnie zabranych. W ogólności między tymi mieszczanami ludami widać skład ciała szczupły i niesilny;

kolor ich skóry jest bardzo jasny, ale najczęściej okryta bywa trądem, który tak dotkliwie grasuje między ludami morza południowego. Ich rysy okazują pewną subtelność, wzrost mają zwykle mały a brzuch wystający; charakter ich jest bojaźliwy.

Mieszkańcy Nowej Gwinei, podług PP. *Lesson* i *Garnot*, sami się nazywają *Papuami*, zostawiając nazwisko Endamenów murzynom z krajów środkowych, mającym włosy proste i twarde.

Środkowa część Nowej Gwincii, jakśmy to powiedzieli, i jak niżej jeszcze powtórzymy, zamieszkała jest przez murzynów *Alfuruów* którzy są pierwotnymi jej mieszkańcami, a których Papuowie zowią *Endamenami*. Ludy te zawsze są w wojnie pomiędzy sobą i nie mają nawzajem innych stosunków, nad te jakie nieustanne kroki nieprzyjacielskie za sobą prowadzą. Murzyni przeciwnie zamieszkali nad brzegami, różnią się między sobą nazwiskiem *alfakis* albo *górali*, i *papuów* czyli nadbrzeżnych. Ci ostatni żyją w rozproszonych i odosobnionych pokoleniach, w stanie ciągłej nieufności i niespokojności. Wioski ich zbudowane na wodzie i na pałach, składają się z małej liczby chat, zostających pod zarządem najstarszych wiekiem naczelników. Wzrost ich bywa średni, i często widzieć między nimi można bardzo pięknych ludzi. Członki mają pospolicie bardzo regularnie zbudowane, a postać ich niekiedy bywamu-

szkulista i atletyczna. Kolor skóry jest czarny, przez który cokolwiek żółtość przebija, co nadaje im płeć jasna, plamista. Włosy mają czarne, bardzo gęste i nieco wełniaste. Mają oni zwyczaj nosić je rozczochrane w uderzający sposób, albo opadnięte na szyję w długich i bardzo pomiętych promieniach. Twarz ich jest dosyć regularna w całym ogóle rysów, chociaż nos mają nieco spłaszczony i nozdrza poprzecznie rozszerzone. Brodę mają małą i kształtną; policzki dosyć wypukłe; czoło wyniosłe; brwi zaś gęste i długie, a włosy na brodzie rzadkie; niektórzy krajowcy zachowują je równie jak wąsy, na wzór wielu ludów Afrykańskich. Fizjognomja *Papuów* z łatwością oddaje uczucia jakie ich ożywiają i które powstają z nieufności i ze wszystkich najbardziej nienawistnych namiętności. Również wyższość zdolności instynktowych nad umysłowemi nie jest bynajmniej wątpliwą co do wielu ludów téj gałęzi. Kobiety, które wszędzie pierwsze trzymają miejsce przez subtelność organizacji, są tutaj zwykle brzydkie. Wszelako podróźni nasi uważali w nowej Gwinei, dziewczęta niezamężne bardzo przyjemnej postawy, i odznaczające się regularnemi i przyjemnemi rysami twarzy. Wychowana do niewoli i postuszeństwa płeć ta u *Papuów*, równie jak u niektórych murzynów w *Afryce*, obowiązana jest odbywać roboty najcięższe, których wystrzega się niezmiernie ich nieugięty i despotyczny małżonek i właściciel.

Papuowic, jak utrzymują PP. Lesson i Garnot, rozmnożyli się na wyspach Buka i Bougainville, Nowej Brytanji i Nowej Irlandji. Wnosząc z opisów godnych wiary podróżnych, osiedli oni również i na wyspach Sgo Krzyża oraz Arzacydów, na Hebrydach i Nowej Kaledonji, wysłali osady na wyspy Zeglarskie i Fidjis, i dali początek znanemu tam rodowi mieszanemu czyli Negro-oceanjanów.

Krajowcy z Buka, z którymi mieli stosunki PP. Lesson i Garnot, byli średniego wzrostu: widać w nich było też same zupełnie cechy zewnętrzne i też zwyczaje jakie Papuom są właściwe; włosy zaś również jak i ci ostatni mieli na pół wełniaste, długie i zwykle rozczochrane. Mieszkańcy *Port-Praslinu* w Nowej Irlandji, oraz wyspy York, w kanale Sgo Jerzego, nie różnili się od nich w niczem, była tylko między nimi znaczniejsza liczba mężczyzn roślących i mocno zbudowanych. Wielu jednakże widać było w tej liczbie odznaczających się nie barzo ciemną barwą ciała, co ich zbliżało do koloru żółto w brązowy wpadającego, jaki jest Oceanjanom właściwy.

Twarz starców tych rozmaitych ludów była pospolicie spokojna, łagodna i jednostajnego wyrazu. Wszelako podróżni nasi dostrzegli dosyć prędkich zmian w rysach ich twarzy; a kiedy na niektórych widać było fałszywość, zdradliwe spojrzenia, na innych ukazywała się podejrzliwość

i niedowierzanie, na małej zaś liczbie dobroć albo ufność.

Papuowie chodzą nago; »nigdy, mówią podróżni, nie widzieliśmy mieszkańców wysp Buka, Nowej Brytanji i Port-Praslinu, okrytych jakąkolwiek bądź zastoną. Krajowcy z Dorery, równie jak Papuowie mieszani, jedni tylko stanowią wyjątek od tego zwyczaju; a lubo nie umieją wyrabiać tkaniny, ani zamieniać kory drzewnej na materje, używają jednak za przepaski pewnego rodzaju naturalnego i grubego płótna, które zbierają z pokrycia kwiatowego kokosu, albo błonowatych ziarn liści bananowych. Pokolenia żyjące nad brzegami morskimi północnej części Nowej Gwinei, mając codzienne stosunki z Malajczykami, a mianowicie z Gwebeenami, otrzymują od nich w zamian ptaki rajskie, skorupy żółwiowe, lub za sprzedaż niewolników, płótna bawełniane malowane niebiesko lub czerwono, przeznaczone zwykle dla kobiet: przyjęli oni również użycie szerokich i spiczastych kapeluszków, na wzór chińskich, z liści *pandusowych*, zszytych i ułożonych bardzo zgrabnie. Lecz gust, wspólny wszystkim ludom czarnego koloru, okrywania sobie barków i piersi nacięciami wzniesionemi i brodawkowatemi, idącemi w liniach krzywych lub prostych, zawsze regularnych, i służącemi do rozróżniania rozmaitych pokoleń murzyńskich w Afryce środkowej, gust ten właściwy jest również i wszystkim prawie mieszkań-

com Madagaskaru, oraz wszystkim ludom czarnym rozproszonym na zachód morza południowego, równie na wyspie Diemen jak w Australji.

Ludy te mają włosy na głowie niezmiernie kędzierzawe, cienkie, suche i bardzo gęste. Niektóre rodziny w Nowej Gwincei, Waigiu, Buka, noszą je rozczochrane i w szczególniejszym kształcie, który uważano jak będący jedną z cech narodowych Papuów; inne wszelako pokolenia, jako to: pokolenie Rony w Nowej Gwincei, Nowej Brytanji i Nowej Irlandji, noszą włosy spadające na barki w sznurkowatych i unoszących się kosmykach. Papuowie lubią okrywać głowę roztartą ochrą z tłustością, i czerwienić tym sposobem włosy i twarz całą, oraz malować sobie na twarzy i na piersiach rozmaite pasma wapnem koralowem. Szczególniejszy ten zwyczaj daje się postrzegać mianowicie w Port-Praslin, w Luizjadzie, i panuje między mieszkańcami Nowej Gallji południowej.

Ludy te mało używają wykluwania na cielei które nazywają w Nowej Gwincei *panaya*, i przeciwne w tym względzie Oceanjanom, ograniczają się na wykluciu kilku oddalonych od siebie linii na ramieniu lub na kątach ust, jak u kobiet, uważając to za znak szczególny. Lubią wszyscy ozdoby, jakiegokolwiek bądź te są rodzaju. Wszędzie uważali PP. Garnot i Lesson, iż ludy te nosiły bransoletki nadzwyczajnej białości, bardzo sztucznie robione i bardzo gładkie, które zap-

wne wyrabiać muszą z stożkowych muszli, w jakie obfitują przyległe morza.

Papuowic żują *betel* z arekiem i wapnem; noszą amulety wyrabiane w kształcie bożyszczy, i przymocowane na szyi za pomocą łańcucha z zębów zwierzęcych zrobionego. Umieszczają również bożyszcza te na grobach i w kącie jednym chat swoich. Kobiety trudnią się wyrabianiem garnków glinianych i mat do zasłonicia się od deszczu. Wszyscy wyspiarze mają rozmaite ozdoby poprzewłócone przez nozdrza, na podobieństwo mieszkańców Nowej Gallji południowej. Papuowic żyją zwykle pokarmami pieczonemi na żarze węgla lub nad płomieniem na rószcie. Karwiąc się z resztą równikowemi owocami, korzonkami pożywnymi, które ziemia obficie wydaje, Papuowic Nowej Gwinei uprawiają prócz tego niektóre jarzyny: rodzaj grochu który nazywają *aberu*, stanowi główną zasadę ich pożywienia, obok ryb lub muszli które zbierają na skałach, a nawet płazów, które po lasach chwytają.

Rząd wewnętrzny Papuów jest mało znany. Zdają się oni podlegać starcom; religją ich jest czysty *fetytyzm*; wielkie zachowują uszanowanie dla zmarłych. Mieszkając w środku kraju zakładają siedliska swoje na jakim wyniosłym wzgórzu, do którego przystęp zasłoniiony jest palisadami; a nie przestając na bezpieczeństwie jakie im zapewniają przeszkody drogę tamującą, wznoszą jeszcze mieszkania swe na pniach drzew,

obdartych z kory i śliskich, dwanaście do piętnastu stóp wysokości mających; do włożenia zaś używają ogromnie długiego bambusa nabitego szczeblami. Co wieczor drabinę taką wciągają na górę, a rodzina zasypia spokojnie na kupie strzał przyrządzonych do odparcia wszelkiego napadu w gnieździe które na wzór ptaków w powietrzu urządziła. Te to napowietrzne chaty dały powód do mniemania niektórym autorom, cudowności zwolennikom, iż Papuowie mieszkają na drzewach.

Główną bronią mieszkańców Waigiu i Dorery są łuki, strzały i długie oszczepy zakończone płaskim kawałkiem bambusa, wyrobionego i zaostrzonego żelazem nakształt halabardy. W Bu-ka widzieć można strzały i łuki wybornie z drzewa pięknego czerwonego wyrobione, równie jak w Nowej Irlandji i Brytanji; ale pokolenia te niespokojne i wojownicze, używają mianowicie maczug z twardego drzewa, długich włóczni, osadzonych nieraz kośćciami ludzkimi, coby mogło zaświadczać zwyczaj pożerania ludzi, nakoniec proc do rzucania kamieni, a przedewszystkiēm puklerzy. Papuowie mają także *tamtam*.

Przejdźmy teraz do *Tasmanjanów*. Jest to ród ludzi koloru nie zbyt mocno czarnego, którzy mają czaszkę spłaszczoną, włosy krótkie, wełniste, bardzo kędzierzawe; nos płaski i kąt twarzy miernie ostry. Zdają się oni z tegoż samego pochodzić źródła co Papuowie, wnosząc

z podobieństwa ich obyczajów. Mają zwyczaj okrywania sobie włosów gliną ochrowatą bardzo czerwoną, robienia na ciele swém sztucznych brodawek albo blizn wystających; pieczenia pokarmu na gorących węglach; sypiania na ziemi, przy wielkich ogniskach; wyrabiania ładnych i ozdobnych koszyków z gałązek krzewów; przysposabiania rozmaitych ozdób, a mianowicie używania małej poduszki drewnianej zwanej *roere*; stawiania chat stożkowych na grobach zmarłych rodziców, a nakoniec posiadania kilku żon razem. Nie daje się wszelako między nimi postrzegać sztuka budowania domów, której potrzebę ubóstwo ziemi i niełagodne klima wskazać by im powinny; ograniczają się oni na wystawianiu tymczasowych schronień od wiatrów, czyli bud z kory, które nie zdolne są zasłonić ich od przykrości zachodniego klimatu. Mowa ich jest bardzo odmienna od barbarzyńskich i licznych dialektów ludów Nowej Holandji.

Po Tasmanjanach wypada nam dać opis *Alfuruów Endamenów*, ludów czarnych z twardemi połyskującemi się włosami, żyjących w środkowej Gwinei. Byt ich jest nędzny i dziki. Nicustannie w wojnie z sąsiadami swymi, zajęci są jedynie środkami zasłoniczenia się od zasadzek i uniknienia sideł jakie im tamci ciągle zastawiają. Panujący między nabrzeżnymi Papuami zwyczaj zabijania ich i wystawiania zwłok jako oznaki tryumfu, wyjaśnia dostatecznie trudność pozna-

wania ich, nawet w Nowój Gwincii. Papuowic wystawiają ich jako ludzi charakteru okrutnego, dzikiego i ponurego, nieznających żadnych sztuk, i których życie upływa na szukaniu pożywienia w lasach. Ale odrażający ten koloryt, w jakim każde pokolenie, maluje pokolenia sąsiedzkie, nie może być uważany za rzetelny. Endamenowic których widzieliśmy, mówią PP. Lesson i Garnot, mieli fizognonję odrażającą, nos spłaszczony, policzki wypukłe, zęby krzywe, nogi i ręce długie i cienkie, włosy bardzo czarne, gęste, twarde i połyskujące, chociaż niedługie. Brodę mają bardzo twardą i gęstą; najzupętniejsza głupowatość wyryta jest na ich twarzy; przypisać ją należy bez wątpienia niewoli w jakiej zostają. Murzyni ci, których skóra jest brudno czarno brunatna, chodzą nago; robią sobie nacięcia na ramionach i na piersiach; a w ścianie nos przedzielającej noszą kijek sześć cali prawie długości mający. Charakter ich jest milczący, a fizognomja dzika; rnych wszystkie mają niepewne i powolne.

Przechodzimy nakoniec do ludów rodu czarnego, zamieszkujących właściwą Australję czyli Nową Holandję. Różnią się oni od Tasmanjanów albo mieszkanców wyspy Diemen, chociaż ich od ostatnich tylko cieśnina morska przedziela. Australjanie są rozsiani rodzinami na brzegach rzek lub licznych zatok, które dzielą na części brzegi wschodnie Nowej Holandji. Pojętność ich, jak

uważają opisujący, musiała naturalnie poznać się na nieczyźności ziemi i nędzy w której zostają; dla tego bardzo rozwinięty instykt w nabywaniu żywności, zawsze trudnej do otrzymania, zdaje się zastępować u nich wiele zdolności moralnych człowieka.

Lud żyjący pośród zarośli i skał w okolicach Sydney-Cove, gdzie panuje naczelnik Boongarce, jest, jak uważają PP. Lesson i Garnot, pogrążony w stanie takiej dzikości, iż nadaremnie usiłowano stan ten polepszyć, budując dla nich domy i niejako wsie nawet, lub dostarczając im środków przyjemniejszych do utrzymania życia. Nie przyjęli oni tych pierwiastków uobyczajenia i wszystkich nawyknień towarzyskich, iakich przykłady codziennie widzą między Europejczykami. Pośród ludnych i dość okazałych miast Nowej - Galji południowej, lud ten przejął tylko ich odrażające wady i niepomiarowaną skłonność do mocnych napojów.

Ludy te nie uczuły potrzeby przyjęcia odzieży wełnianej, chyba tylko dla ochrony piersi od złego powietrza. Żadne wyobrażenie wstydlivosti nie skłoniło ich nigdy do okrywania się, a wrodzona nieskromność tego rodu tym większą przedstawia sprzeczność, iż codziennie, pośród europejskiej nawet osady, która tam niezmiernie uczyniła postępy, krajowcy obrażają prawa publicznej przystojności. Wolność zdaje się być dla tych czarnych najpierwszą potrzebą; dla tego

zachowują troskliwie swoją niepodległość, pośród skalistych okolic, gdzie zamieszkują na otwartém powietrzu, dokoła wielkich ogniów, zasłonięni od dęszczów kupą gałęzi niedbale zarzuconych od strony z której wiatr wieje; albo wszystkie usiłowania ich umysłu ograniczają się na obdzieraniu szerokiej kory rośliny *eucalyptus*, z której robią naturalny dach i pokrycie zastaniające ich od ostrości klimatu.

Wzrost Australjanów jest mierny, a częstokroć mniej niż mierny. Niektóre pokolenia mają członki szczupłe i na pozór niestosownej długości. Kiedy tymczasem niektórzy pomiędzy nimi mają przeciwnie te same części ciała mocno zbudowane i bardzo proporcjonalne, a mianowicie: muszkuły goleniowe i inne wydatne u nogi; włosy ich nie są wełniste, ale twarde, bardzo czarne i gęste. Noszą je rozpuszczone i w nieładzie, a najczęściej krótko lub w bardzo kręcących się kosmykach. Broda ich tejże jest natury co i włosy na głowie; bywa pospolicie twarda i gęsta, szczególnie z obu stron twarzy. Twarz mają spłaszczoną, nos bardzo szeroki i nozdrza prawie poprzeczne; usta grube a otwór ich nadzwyczajnie obszerny; zęby nieco krzywe ale z najpiękniejszą emalją; uszy obszerne, oczy na wpół zasłonięte przez obwisłość powiek, co nadaje ich dzikiej fizynomji odrażającą postać. Trudny do oznaczenia kolor ich skóry, który jest zwykle czarno-łojowy, bywa słabszy lub mocniejszy, ale nigdy bardzo ciemny. Brzydsze

jeszcze od mężczyzn Australjanki mają ciało zwiędnięte i odrażające, a przestrzeń, jaka ich oddziela od pięknego ideału Wenery Medycejskiej jest dla nas niepomierną.

Małżeństwa u Australjanów odbywają się przez porwanie, a zwyczaj uświęcił wyrywanie jednego z przednich zębów mężczyznom, w pewnej epoce życia, i ucinanie kobietom jednego stawu u palca. Lubią okrywać sobie głowę i piersi materjami koloru czerwonego; a ozdoba ta jest konieczna w czasie wielkich obrzędów zwanych *Coroboris*. Wszyscy zwykle malują sobie nos i policzki grubemi farbami czerwonymi, przydając do tego pręжки białe na czole i na skroniach; na ramionach tudzież po obu bokach wklęstości piersiowej robią sobie brodawki kształtu stożkowego, które zdają się być ozdobą właściwą całej gałęzi negrów. Nakoniec ród ten, który zdaje się, jakśmy to już widzieli, nie znać użycia żadnej odzieży, pod względem wstydlivosti, przestaje na pokryciu się niekiedy skórą kanguro lub opossum, i otoczeniu czoła tkaniną z włókien w kształcie siatki. Znaczna liczba rodzin przewłóczy przez przegrodę nosową kijki zaokrąglone i długie na cztery do pięciu cali, co nadaje ich fizynomji wyraz okropny; zwyczaj ten widzieć się daje u wszystkich Papuów.

Do zbytku przesadne, ludy te zachowały jednak zwyczaj karania świętokradztwa i utrzymywania między sobą kuglarzy. Zajścia pomię-

dzy krajowcami rozstrzygają się przez pewny rodzaj pojedynku, w równej z obu stron liczbie, z użyciem równej broni, a sędziowie boju ustanawiają prawa takiej potyczki. Kształt broni której używają jest bardzo rozmaity. W Nowej Galii używają *Sagai* czyli długiego dzirytu, który za pomocą przysposobionego na ten cel kijka, z wielką siłą i zręcznością rzucają. Uderzają na siebie najczęściej pewnym rodzajem szabli z drzewa zakrzywionego, którą krajowcy w Sydney nazywają *bumerang* albo *tatanamang*. Charakterystyczna ta broń używana jest również w porcie *Dowen* i na wyspie *Gulburn*, a sposób jej użycia jest godny uwagi, ponieważ uderzają nią zwykle w cel o czterdzieści czasem kroków odległy, nadawszy jej wprzody w powietrzu ruch wirowy. Ostatniem ich narzędziem wojenném, a razem i do użytku domowego zdatném jest maczuga, albo *wudah*, którą w pojedynkach wymierza każdy z przeciwników cios silny w głowę nieprzyjaciela swego, nie tak wszelako niebezpieczny, jak byśmy sądzić mogli, z powodu niezmiernéj twardości czaszki. U wszystkich tych ludów daje się postrzegać używanie puklerza. Przemysł ich kończy się na wyrabianiu siatek do polowania i rybołostwa, których owoce pożywają zaraz na miejscu po upieczeniu nad węglami. Krajowcy ci noszą zawsze z sobą ogień; pogardzają żonami swemi, i zostawiają im najtrudniejsze prace, jako to: przysposabianie żywności, z której one i

reszta rodziny dostają tylko ostatki schodzące od posiłku ich mężów; noszenie na plecach sprzętów domowych i dzieci, kiedy tymczasem mężczywie odbywają podróż z lekkim tylko dzirytem w ręku. One obowiązane są zbierać i przyrządzać korzeń jarzyny zwanej *dengua*, który im służy za codzienne pożywienie, a który mężczyźni jedzą tylko w czasach głodu, lub kiedy polowanie jest bezowocne.

Postrzeżono między ludami tymi wyobrażenia rysunku, które jakkolwiek są niedokładne i słabe, wskazują przecież pewną rozwagę, i rozpoznać nawet można między temi rysunkami przedmioty które mają wystawiać, jak np: kazara, skwale albo psy morskie, rozmaite ryby, i t. p.

Co do ich śpiewu: jest to jedynie niekształtna mowa ich modyfikacja; a taniec ogranicza się u nich na poruszeniach ciężkich i śmiesznych które naśladują skoki zwierzęcia czworonożnego kanguru. Mowa nakoniec Australjanów różni się w każdym pokoleniu, a krajowcy z jednej okolicy do innej przeniesieni nie zdołają się zrozumieć.

ROZMAITOŚCI.

Radjah Bidini. — Bidini, stolica Xięztwa tegoż nazwiska, leży o 25 mil na wschód od Golpary w Bengalu, pod 26° 29' szer. półn. i 89° 47' dług. wsch. Twierdza czyli zamek Bidini opasany jest murem ceglany, i ma 320 sążni długości na 160 szerokości, zbudowany zaś jest w kształcie parallelogramu; broni go również i wysoki płot z kolczastego bambusu; z każdego boku znajduje się otwór na bramę; ale w 1809 r. brakowało wrot do zamknięcia. Zamek dzieli się na appartamenta zewnętrzne i wewnętrzne; kobiety radjaha zostają w ostatnich. W obwodzie otoczonym murem ceglany, znajduje się również ceglany domek, zbudowany przez pewnego człowieka z *Dacca*, w służbie Radjaha zostającego; ale monarcha ten, aż do epoki wzmiankowanej nie zajrzał do niego ani razu, z obawy aby mu się na głowę nie zawalił i nie zabił go. Znajduje się również kilka małych świątyń ceglanych dla bogów dawnych, i ze sto chatek słomą pokrytych.

Miasto Bidini, w którym przesiaduje Radjah, i od którego tytuł swój przybiera, jest pewnym rodzajem neutralnego kraju. Radjah oświadcza Anglikom że należy do Butanu, a w Butji znowu mówi, że jego ziemia jest własnością Anglików; tak więc, chociaż ma straż złożoną z Butjanów i kilku Cipajów, których zapewne chce uważać za Anglików, zaden urzędnik obu tych rządów nie miesza się do

tęgo co się dzieje w Bidini. Roku 1809 miejsce to było schronieniem ludzi podejrzanych, a mianowicie pewnego djemadara Mahometanina, którego żołnierze znani pod nazwiskiem *berkendazi* (rzucający błyskawice), pustoszyli Assam, i wielkie popełniali gwałty i rabunki w tym nieszczęśliwym i przerażonym kraju.

Radjah który panował w 1809 miał pojazd na czterech kołach, zbudowany podług wzoru europejskiego, pyszny palankin i kryształ. Żywił on dwa słonie samce na usługę swego bóstwa, i cztery samice, na których przejeżdżał się niekiedy, ale częściej używał ich do chwytania dzikich słoniów, które sprzedawał. Jego muzyka składała się z dwóch doboszy i oboisty, na sposób krajowy umundurowanych. Oprócz innych służących miał on 50 niewolników i 70 niewolnic. Następujące szczegóły o jego sposobie życia, dadzą wyobrażenie zwyczajów i nawyków Xiążąt tamtejszych; których obyczaje nie doznały jeszcze zmiany przez stosunki z Europejczykami.

Radjah w 1809 miał lat trzydzieści; nauczył on się czytać i pisać djalektem polerowniejszym Bengal-skim. Miał tylko dwie żony i dwie nałożnice; wstawał koło południa i przepędzał godzinę całą na myciu się i kurzeniu lulki. O pierwszej godzinie, officerowie jego zebrani w chacie przy drzwiach zewnętrznych appartamentów leżące, siedząc na gołej ziemi, otrzymywali posłuchanie; radjah siedział na niskim krześle; następnie modlił się przez kilka go-

dzin, udawał się potem do apartamentów wewnętrznych i posilał się tem co mu przygotowała ciotka jego, nader do niego przywiązana. Biesiada ta trwała godzinę; po niej następowało lekkie przedrzymanie się, tyleż prawie czasu trwające.

Po tem wszystkiem moczcz Bidini udawał się do obszerniejszej chaty, gdzie jeden z urzędników opowiadał nowiny i plotki dniowe, albo czytał mu poezje w języku gminnym. Przy zachodzie słońca radjah modlił się znowu, a potem który z officerów, lub ktokolwiek czuł się na siłach aby mógł żartami go zabawić, śmieszne rozpowiadał powiastki, aż do samej północy. O tej prawie porze radjah oddalał się do apartamentów kobiet, gdzie jadł i pił z niemi aż do świtu, ponieważ los wuja jego, po którym nastąpił, tak go zawsze niespokojnym czynił, iż przez całą noc oka zamrużyć nie mógł.

Raz w miesiąc, przejeżdżał się w karecie swojej, na słoniu, lub konno, niekiedy zaś w palankinie był noszony; nigdy jednak nie zapuszczał się dalej jak do granicy państwa swego; nie miał on nigdy żadnych odwiedzin od osoby któraby godnością do niego się zbliżała.

Naga-pantchami. — W większej części Indji wschodnich dzień 28 lipca jest znany pod nazwiskiem *Naga-pantchami*: jest to dzień w którym oddają cześć główniejszym *nagasom* czyli Wężo bogom. Nie należy uważać je za jedno z wężami zwyczajnymi, lubo są niejako ich naczelnikami, i mogą przy-

bierać dowolne kształty. Córki ich, tak jak wróżki i nimfy *Tysiaca i jednej nocy* odznaczać się mają wdziękami, które pozwalają oglądać ulubionym od siebie Królom lub bohaterom. Całe to pokolenie mieszkać ma pod ziemią, gdzie znajdują się niewyczerpalne skarby, i gdzie blask nieocennych kamieni wynagradza niedostatek światła słonecznego. Nazwiska główniejszych nagasów wyszczególnione są w rozmaitych pismach; jest ich około dwunastu, których w potrzebie wzywać i zjednywać należy przez ofiary z mleka i owoców. Liście *nimlu* powinny być również zachowywane w domach i jedzone w małych lościach. W Bengalu ofiary składają zwykle na gałęzi rośliny *sauhî* lub *euforbji*; ale zwyczaj ten mało jest zachowywany, i to jedynie w wioskach, a nawet nie z wielką uroczystością. W zachodnich i południowych Indjach, Naga-pantchami jest wielką uroczystością: obchodowi jej towarzyszą igrzyska szermierskie, zapasy, ćwiczenia zręczności i t. p.

Khasi-Khand daje następujące przepisy do obchodzenia tej uroczystości:

„Piąty dzień miesiąca *Sava* poświęcony jest nagasowi; w dzień ten powinny się odbywać oczyszczenia w sadzawce zwanej *Vaseki*, poświęconej *Vasektowi*, naczelnikowi nagasów. Zachowanie obrzędu tego podoba się nagasom, i wierni mogą być wolni od obawy wężów. Lud powinien się zgromadzać na zabawy i modlitwy; odrzwi w domach powinny być powleczone zółcią wołową; należy narysować postaci wężów których jad jest śmiertelny, i należy zło-

żyć węzom ofiary z ziela *ghi*, *duroa*, *kesi* i z kwiatów, równie jak z wonności, girland i innych podobnych rzeczy. Rysunki węzów powinny je wystawiać uzbrojone mieczami i puklerzami. Cześć wyższa ciała, od pępka, powinna mieć postać człowieka, niższa zaś węża. Głowa ma być przykryta kapturem, na nieparzystej liczbie węzłów; kolor ich powinien być czarny; rysunki te mają być pomalowane zewnątrz domów od ulicy lub wewnątrz.

Piąty dzień *savana* jest dniem uroczystym dla nagasów; wyobrażenia ich powinny być kapane w mleku.”

W Indjach południowych dzień ten zwany jest *Garura-pantchami*, ponieważ ptak *garura* jest nieprześlągalnym nieprzyjacielem węzów. Jego opieka uwalnia nawet od obowiązku zjednywania ich sobie. Oddają równie cześć bóstwu *Secha*, węzowi wielogłowemu, na którym ma sypiać *Visznu*, i którego kaptur rozciągający się służy mu za nakrycie.

Zdaje się, iż cześć węzów stanowiła dawniej część znaczną religji Indjów; postrzedz wniej można wiele ciekawych podobieństw do podań i obrzędów wszystkich narodów starożytności.

Skała miedziana niedaleko rzeki Ontonagon. — Skończywszy czynności które miał sobie powierzone w *Fond du Lac*, P. Cass, korzystał z pokoju jaki zawarł z Indjanami, i zatrudnił część eskorty swojej wyprawą do tej sławnej skały, celem rozpoznania jej i przekonania się czyby nie mogła być w

całości do Washingtonu przewiezioną. Żałują że officer któremu wysledzenie tego poruczone było, pamiętał jedynie o wyraźnym przedmiocie misji swojej, i że nie opisał tej masy kruszczowej, której wielkość i kształt nadały nazwanie skały. Zdaje się że musi ona być bardzo znaczna, ponieważ w skutku rozpoznania, zaniechano zupełnie zamiaru poruszenia tak ciężkiej masy. Przewóz ładem byłby nad siły ludzkie, mówi officer w raporcie swoim, co zaś do przewozu wodą, trzebaby głębiej kopać łożysko rzeki, a może nawet umyślny na ten cel przetrząść kanał. Napróżno wyprawa usiłowała oderwać sztukę chociaż tej masy: rozpalono do koła niej wielki ogień, aby ją zmiękczyć i łatwiej naciąć można było; wszystkie jednak te usiłowania żadnego nie miały skutku, a masa istnieje dotąd taka jaką ją natura utworzyła, zawsze i równie godna badania geologów, którzy zapewne zajmują się postrzeżeniami nad nią, zanim spekulacje górnicze na swą korzyść ją obrócą. —

(*Jour. de Pet.*)

Almanack Cesarski w Chinach. — Cztery razy do roku, to jest: na wiosnę, w lecie, w jesieni i w zimie, wychodzą w Pekinie dwa kalendarze cesarskie, jeden dla administracji cywilnej, drugi dla wojskowej. Zawierają one nazwiska wszystkich urzędników publicznych stolicy, kraju Manszurów, i ośmnastu prowincji Chin właściwych. Nazwiska te poprzedzone są rozmaitemi wiadomościami.

Kalendarz administracji cywilnej ma tytuł: *Tai-thsing tsin-chin-thsinan-chou*, (spis kompletny wszystkich urzędników cywilnych, w czynnej służbie domu Tai-thsing albo dynastji Manszurów będących). Składa się on z czterech małych tomików, razem 393 kart stanowiących, i drukowanych w formacie wielkim i małym *in Octavo*, tym jednak sposobem, iż w obu edycjach stronnice sobie odpowiadają. Okładka tej książki jest koloru żywo-czerwonego, i dla tego Anglicy w Kantonie nazywają ją zwykle *The red book* (czerwona książka), równie jak ich Kalendarz dworski (*court calendar*), podonież czerwono oprawny. Po przedmowie i spisie przedmiotów, znajduje się rodzaj wstępu podzielonego na cztery rozdziały: 1^o wyliczenie dziewięciu klass urzędników chińskich, z których każda dzieli się na dwa oddziały, oraz wskazanie znaków godności, stopnia i tytułów do każdej klasy należących; 2^o Ceremonjał, czyli wyszczególnienie dokładne wszelkich oznaków grzeczności, jaką członkowie dziewięciu klass wzajemnie sobie okazywać powinni; a nakoniec kilka podobnych artykułów; 3^o Urządzenie oznaczające awanse pieniężne, jakie rząd nowo mianowanym urzędnikom zalicza, żeby mogli się udać niezwłocznie na miejsce przeznaczenia swego po prowincjach; 4^o urządzenie oznaczające drogę jaką ci udawać się mają, równie jak dzień w którym przybyć powinni na miejsce.

Nowa osada na wyspach Kiling. — Południowa grupa wysp Kilingskich, złożona z okrągłego pasma niskich wysp okrytych kokosami, zwiedzona została przez kapitana okrętu *Borneo* J. C. Ross, jako tworząca port bardzo bezpieczny dla statków wszelkiej wielkości; nazwał on go *Port-Albion*, i osiadł tam z całą rodziną i kilku innymi osobami; osadzie tej dał nazwisko *New-Selma*:

Okręty do Europy płynące, po przejściu cieśniny Sondzkiej, wystawione są częstokroć na skołatanie; z powodu oporu jaki im stawia mocny wiatr południowo-zachodni, kiedy płyną z wiatrem stałym południowo-wschodnim. *Port-Albion* znajduje się na prostej drodze tych statków, oraz okrętów zeglujących ku zachodnim wybrzeżom Sumatry, lub do Bengalu przy końcu jesieni; stanie się więc bardzo użyteczny dla żeglarzy, dając im schronienie do naprawiania skołatanych statków, i do zasilenia kokosami i świeżą wodą ludzi okrętowych, gdyby ci byli słabi: w krótko będą tam mogli mieć drób i świnie, które z łatwością hodować można.

Pasma to wysp Kilingskich albo Koralowych rozciąga się od $12^{\circ} 4'$ do $12^{\circ} 14'$ szer. pół. i ma długości 10, a szerokości 3 mile; długość najbardziej na zachód leżącej wyspy jest około 97° wschod. (Greenwich); wejście do portu jest między dwiema wyspami ku północy leżącymi.

Klima jest tam zdrowe. Pora dżdżysta trwa od stycznia do lipca: lekkie deszcze padają w każdym czasie; wiatr stały panuje ciągle z mniejszą lub wiek-

szą mocą, zmniejszając się między połud. i wsch. półn. wsch. Termometr trzyma się między 72° i 84° (18°-20 i 23°-9). Prąd morski idzie zwykle ku półn. zach.; moc jego jest niekiedy do 1 1/2 mili na godzinę.

Smierć Pułkownika Denham. — Odebrano niedawno smutną wiadomość o śmierci Pułkownika Denham: umarł on w czerwcu r. b. w pałacu rządowym w Sierra-Leone, po bardzo krótkiej chorobie. Ostatnie jego listy były z d. 27 i 29 maja. Okazuje się z nich, iż był pełen męstwa i zapału, i obiecywał sobie najpiękniejsze nadzieje z uskutecznienia planów, które ku pomyślności osady zamierzył.

Liczne przykłady okropnych skutków klimatu Sierra-Leone przyzwyczały już wszystkich do przyjmowania bez podziwienia tego rodzaju wiadomości; lecz kiedy wiedziano jak szczęśliwie Pułkownik Denham, w podróży swojej do Bornu blisko trzy lata trwającej, zniósł wszelkie niebezpieczeństwa zagrażające Europejczykom w Afryce, że ta próba udzieliła mu szlachetnego w samym sobie zaufania, a nadewszystko, iż podczas ośmiestu miesięcy które przepędził w Sierra-Leone, zatrudniony przykreimi obowiązkami powołania swego, zaledwie lekkiej doświadczył słabości, pochlebiano sobie, że dosyć długo żył dla spełnienia chęci rządu i ojczyzny swojej, przez zaprowadzenie ulepszeń w tem miejscu okropnem; co go tak szczerze zajmowało i do spełnienia czego był zapewne przeznaczony.

Mianowanie go wielkorządcą powszechnie sprawiło zadowolenie, i obiecywano sobie że wraz z nim nowa dla osady zajaśnieje epoka. Lubo tak krótko pełnił obowiązki swoje, między innymi rozsądnymi środkami, jakie przedsięwziął, wezwał także naczelników prowincji aby się udali do niego, celem zachęcenia do codziennych przysług i pomocy między nimi i mieszkańcami; zamyślał on również o założeniu banku oszczędności pomiędzy mieszkańcami Free-Town.

Pałkownik Denham urodził się w Londynie; dożył on czterdziestu trzech lat wieku. Jeśli sprzyjanie ukształceniu umysłu ludzkiego, rozpościeranie dobrodziejstw cywilizacji, wydobywanie bliźnich z niewoli i powracanie ich wolności, chwalebnijszym jest niżeli zawód podbojów, osiągnięcie lub wywracanie potęgi, śmierć Denhama okryje pamięć jego świetniejszym blaskiem, niż gdyby był poległ walcząc mężnie w zastępach zwyciężkiego wojska. —

(*N. Ann. des Voy.*)

Postępy komunikacji w krajach zjednoczonych północnej Ameryki. — W r. 1790. było we wszystkich prowincjach zjednoczonych Ameryki północnej tylko 75 biur pocztowych, 2000 (angielskich) mil bitej drogi (chaussée), a dochody pocztowe wynosiły około 88,000 dollarów; w roku 1826 liczyła już Rzeczpospolita 6,500 biur pocztowych, 90,000 mil drogi bitej, a dochody z poczty wynosiły około 1,200,000 dollarów.

Liberja.— Połnocno - Amerykańska osada *Liberja* na brzegu Afryki, liczy teraz 1200 mieszkańców; wszyscy urzędnicy są *Czarni*, nawet agent Kolonji i Komendant; osadnicy są wyznania protestanckiego. Kraina ta jest bardzo urodzajna, handel jej jest zyskowny i wielu z mieszkańców w przeciągu 3 lat dorobiło się majątków. Szczególna opieka rozciągnięta jest nad szkołami elementarnymi. Kolonja ta rozszerzyła swe panowanie do 120 (angielskich) mil w głąb kraju, i na tej linji 8 stacji założyła. W tej części Afryki, handel niewolnikami jest zupełnie zniesiony.

Z podróży Majora Denham. — W czasie podróży naszej przez puszcę, padły w jednym dniu z osłabienia cztery wielbłądy. Przy takim zdarzeniu, Arabowie w tyle karawany znajdujący się, oczekują z okrutną niecierpliwością uzbrojeni nożami na znak właściciela, aby takowemi uderzyć w piersi biednego zwierza, gdyż część mięsiwa wolno im na wieczerzę oderznąć. Dwóch z powalonych wielbłądów zaraz musiano zabić; byłem obecny, gdy to się stało. Głowę zwierzęcia obrócono ku wschodowi, a nóż utopiono w miejscu gdzie serce leży, tak iż natychmiast śmierć nastąpiła; lecz zaledwo ta chwila przeszła, a zaraz kilkunastu chciwych oprawców z nożami rzuciło się na zwierza, wrywając sobie najlepsze sztuki. Serce, które poczytują za najdelikatniejszy przysmak, wydarto i włożono wraz z po-

wyższemi sztukami do worka; resztę ścierwa pozostawiono na pastwę wronom, sępom i hyenom.

Męczennicy Indyjscy. — Obchód uroczystości Churuk-Projah w Indjach, która oczom widzów najokropniejsze obrazy przedstawia, dotąd tak mało ze zwyczaju wyszedł, iż policja widziała się zmuszoną surowe kroki przedsięwziąć, dla zmniejszenia niejako zaróżności. Indyjscy publicyści robią okropne opisy niektórych w przeszłym roku przy tem wydarzonych wypadków. Zabobonni tłumami zbiegają się szczególnie do miasta *Sibpur*, dla poddania się mękom. Pewien człowiek z zachodniej części kraju przybył do Kaligat dla uczczenia bóstwa Kali, urządził sobie język, i jako ofiarę złożył bogini. Czyn ten, dodaje pismo, które o tem donosi, mało w porównaniu przynosi zaszczytu tym, którzy tylko część palca małego sobie ucinają, dla przypodobania się bogom.

O Angielskiej osadzie na wyspie Ascension (wniebowstąpienia). — Wyspa Ascension (na oceanie spokojnym) przeszło od trzech wieków, w którym to czasie Trytan z Alkunhi ją odkrył, była niezamieszkałą. Rzeczywiście musiano ją z powodu gruntu suchego, wulkanicznego, spiekałego, a szczególnie dla braku dobrej wody za nie mogącą być zamieszkiwaną uważać. Jakkolwiek przez naturę na drodze do Indji położona, i wygodną, jak równie bezpieczną przystań posiadająca, była rzadko przez okręta

handel między Europą i Azją prowadzące odwiedza-
ną. Przybijano do niej czasami jedynie, dla zaopa-
trzenia się w wyborne zółwie, które tam w nieró-
wnie większej ilości jak gdziekolwiek indziej w zna-
jomych strefach ziemi, znajdują się. W obecnym
czasie, wyspa Ascension nie jest już pustą i nieupra-
wną. Istnieje w Europie rząd i naród, który za-
dnej przeszkody nie zna, kiedy idzie o interes jego po-
lityki i handlu. Anglja w końcu przedsięwzięła i do-
prowadziła do skutku, to co przez lat 300 przeszło
za niepodobne do wykonania miano. Gdy Napoleon
został osadzony na wyspie Stej Heleny, uznał rząd
angielski za rzecz potrzebną, na wyspie *Ascension*
mieć stację dozorującą. Początkowo, zamiarem jego
było ograniczyć się na tem, aby tamże mógł utrzy-
mywać mały oddział floty, której część w przystani
tej wyspy na kotwicy zostawać miała, gdy tymcza-
sem druga część w okolicy by krążyła; lecz postanowi-
wszy przełamać wszelkie przeszkody, zamierzył na
wyspie samej założyć stację wojskową, słowem u-
trzymywać w niej gatunek załogi, która dość czę-
sto miała być odmieniana. Rozmaite oddziały woj-
ska, które tym sposobem jedne po drugich następo-
wały na wyspie Ascension, przydawały do tych wy-
gód, jakich poprzednicy ich używali, nowe, tak że
osada do tego stanu doszła, iż uznano za rzecz do-
godną utrzymać ją, chociaż powody, które były po-
czątkiem jej powstania już ustały.

Nie wiemy z pewnością o sile wojskowej Anglików
na wyspie Ascension, lecz musi się tam znajdować

znaczny oddział, kiedy nim dowodzi jeden pułkownik z kilkoma pod nim zostającymi officerami. Jakkolwiek bądź się rzecz ma z ilością mieszkańców, to pewna jest, że oprócz zasiłków, które im okręta dostarczyć mogą, teraz wiele innych posiadają. Już większą część gruntów uprawiono, a obfitość owoców i warzywa, które rozmnażają, corocznie w sposób zadziwiający powiększa się. Trzody małej owej osady już są liczne i wkrótce posiadać będzie podostatkiem paszy dla wszelkiego rodzaju bydła. Czemu dawniej nie wierzono, pobyt na Ascension wcale nie jest zdrowiu szkodliwym. Może bydz, mówi officer, którego korespondencji szczegóły te winniśmy, iż miejsce to jest jedno z najzdrowszych miejsc na świecie; chorób nie znają tam wcale, a gdy mieszkanię tej wyspy skromnie żyje, może się wtenczas prawie nieśmiertelnym nazwać.

Jakkolwiek znaczne postępy owa angielska osada na wyspie Ascension czynić będzie, wiele lat upłynąć musi, nim się stanie siedliskiem przyjemnem. Główna rozrywka której się oddać można, jest polowanie dwa razy na tydzień; do tego nadarza się sposobność, albowiem we środę i sobotę są dni odpoczynku, w których prace osady, zawieszają się. Polowanie jest różne i pięć rodzajów zwierzyny służy do wyboru; to jest kozy, dzikie koty, kury indyjskie, zółwie i jaskułki morskie. Kozy znajdują się w wielkiej ilości na wyspie; lecz trudno jest bardzo dostąpić do nich i schwytać, a tym trudniej ułaskawić je. Znaleść je można częstokroć w stadach

od 5 do 600 razem, szczują je psami, które uczają aby im powrót odcinały. Cała zręczność na tem zależy, aby zmusić kozy, iżby się na jakąś odosobnioną skałę schroniły, tak iżby można je otoczyć; wtedy za pomocą strażów z fuzji ile tylko chcieć zabić ich można. Najmłodniejszą i najcięższą rzeczą jest przy tem przynoszenie zdobyczy z polowania. Niektóre z tych koz ważą blisko 80 funtów.

Polowanie na koty równie za pomocą psów odbywa się, i podobne jest do polowania na lisy. Zwierzęta te, które zwykle w bliskości tych miejsc się trzymają gdzie ptaki morskie gnieźdzą się i jaja składają, uciekają i kryją się gdy są ścigane, w norry o rozmaitych wychodach, między skałami znajdujące się, i często trzeba kilka godzin strawić, goniąc za nimi od jednej kryjówki do drugiej.

Indyjskie kury często po tysiącu na raz dają się widzieć; lecz trudno je podejść, zawsze bowiem przed stadem kilka leci, które przestrzegają swoim krzykiem, skoro człowieka zobaczą.

Zołwie są nadzwyczajnej wielkości i mięso ich jest wyborne, lecz na nieszczęście przybywają na ląd tylko w czasie składania jaj, to jest w końcu grudnia, a żółw złapany w czasie wielkonocnym jest osobliwością. Polowanie odbywa się nocą, pięciu do sześciu ludzi udaje się wieczorem około szóstej godziny nad brzeg morza i kryje się, dla czatowania na te zwierzątka. Dozwalają im spokojnie składać jaja w piasku, a potem rzucają się na biedne stworzenia, obracają je na grzbiet, zostawiają je w tem

położeniu, oczekując na drugie i trzecie. Żołwie bronią się zresztą mocno za pomocą swoich płaskich łap, a nowicjusze wtem polowaniu częstokroć ranieni bywają. Nazajutrz przybywają łodzie, na które ładują wszystkie poprzewracane żolwie. Wpuszczają je potem żywcem w gatunek stawu czyli jeziora, należącego do osady.

Na jaskułki morskie polują szczególniej dla ich jaj. Ptaki te skupiają się w pewnych miejscach wyspy w tak wielkiej ilości, iż za spłoszeniem ich przez przybliżenie się tam człowieka, powietrze przez to zaciemnione zostaje, a krzyk ich o godzinę o podał słyszeć się daje. Można z tego wnosić, jaką mnogość jaj znajdują w tych miejscach, gdzie takowe składają i wysiadują; pojedynczy człowiek zebrał w jednym dniu 150 tuiznów. Jaja te są bardzo smaczne łatwe do strawienia.

Posiadanie tej wyspy jakoteż wyspy Anabon i S. Heleny czyni Anglję panią całej południowej części morza Atlantyckiego, i gdyby ułatwiono komunikację między temi trzema wyspami, co łatwo nastąpićby mogło, natenczas jedna drugiej mogłaby produktami swemi dopomagać. Anabon wydaje zboże, które podobno nigdy nie da się uprawić na wyspie Ascension, a wyspa S. Heleny mogłaby świeżej i zdrowej wody dostarczać, czego trudno jest mieć na wyspie Ascension. Kilka parowych statków, pomimo perjodycznych gwałtownych wiatrów, które okrętowi z żaglami bardzo podróż utrudniają, mogłoby tę komunikację ułatwiać.

NOWE DZIEŁA.

- *Chronik der freien Hansestadt Bremen* von Carsten Misegaes Ister Theil, w Bremie 1828.
- *Danzig und seine Umgebungen*, von Dr. G. Léschin.
- *Bérggrehn's Reise nach dem Morgenlande*, przekład Dra Ungewitter— w Darmstadt. Tom 1szy
- *Considerations sur l'ancien empire Grec et sur les progres de la Russie, de la Grande Bretagne et des Pays-Bas, dans la domination de tout l'orient de l'ancien monde*, par M. Marchal-w Bruxelli 1828.
- *Nouveaux tableaux de Paris* czyli uwagi nad zwyczajami i obyczajami Paryżanów na początku XIX. wieku. 2 Tomy 8^{vo} w Paryżu 1828.
- *Promenades descriptives, historiques et statistiques dans Rouen, le Havre, Dieppe, leurs environs et le pays intermédiaire* 1. T. w Paryżu 1828.
- *Les loisirs de M. de Villeneuve*, albo podróż Paryżanina do Francji zachodniej, Sabaudji i Szwajcarji. 1. T. 8^{vo} w Paryżu 1828.
- *Tableau des Pyrénées françaises*, czyli dokładne opisanie tego gór pasma i znamienitszych dolin jego, wraz z uwagami nad charakterem, obyczajami i zwyczajami mieszkańców, o początku i zwyczajach Basków, o szczególnych własnościach tamtejszych źródeł mineralnych, i t p. P. *Arbanere*. 2 Tomy 8 1828 w Paryżu.

K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 22.

Z DRUGIEJ POŁOWY LISTOPADA 1828 ROKU.

X.

WYPIS z DZIENNIKA PODRÓŻY ODBYTEJ
w ROKU 1828, w celu zwiedzenia celniejszych
w Europie zakładów dobroczynnych i więzień,
przez Eustachego Marylskiego Mag.
Uniw. Warszawskiego.

Instytut Hrabiego Recke w Düssüthal.— Podróż statkiem parowym do Nimegi.— Krótki opis miasta tego.— Droga przez Utrecht do Amsterdamu.— Pobyt w tém mieście.— Zwiedzenie miast: Harlem, Hagi, Lejdy.— Wzmianka o więzieniu tam będącém dla żołnierzy.— Powrót do Amsterdamu — O znajdujących się tamże instytutach dobroczynnych.— Wyjazd do osady ubogich w Frederiks - Oord.

Przed opuszczeniem miasta *Düsseldorf* udaliśmy się z rana do Instytutu Hrabiego *Recke*, za-

łożonego przez niego w *Düssuthal*.— Celem zakładu tego podobnie jak w Berlinie P. Kopfa (*) jest zajęcie się moralną poprawą złych dzieci. Szczęśli-

(*) Baron Recke podał myśl założenia tego Instytutu w Berlinie.— Istnieje on od roku 1825 i wydał już bardzo pomyślne skutki.— Przełożonym nad nim jest P. Kopf, rodem Sas. Z uprzedzającą grzecznością okazywał on nam tę szkołę; liczy ona dziś 50 uczniów, oddanych częścią przez własnych rodziców, częścią przez policję. Widok P. Kopfa, który z prawdziwym poświęceniem się przewodniczy temu pięknemu zakładowi, obudza wysoki szacunek dla tego przyjaciela ludzkości. Zaprowadził nas on do składu wyrobów swoich uczniów, któremi zajmują się w wolnych od nauki chwilach. Zwiedziliśmy sale ich naukowe, jadalne, sypialne, kuchnię, i t. p.; nie można było dosyć podziwić nadzwyczajnej czystości i porządku jakie w tych miejscach panują. Równie zadowolenie sprawił nam widok młodzieży: była w ten czas godzina wolna od nauki. Jedni zajęci byli naprawą sukien, drudzy robieniem mat słomianych; panowała wielka cichość, wszyscy słuchali z zajęciem się czytającego im stosowne powieści. W ogrodzie założonym przez P. Kopfa znaleźliśmy uczniów zatrudnionych czyszczeniem ulic i pieleniem, a jeden z nich pełnił służbę odźwiernego. Piaszczysty grunt zasadzony był winogronami i kwiatami. P. Kopf stara się tych małych zbrodniarzy ciągle zajmować. Innym prócz tego przez niego przyjętym środkiem jest postępowanie drogą łagodności, przez co z łatwością doprowadza on swe zamiary do skutku. Miał oddanych młodzieńców, którzy po kilka razy już byli w więzieniu: dziś są oni najlepszymi. — Potrawy ich są zdrowe; a czerstwość twarzy zaświadcza dobre ich utrzymywanie.

Opuściłem tę szkołę, z życzeniem ażeby ziemia nasza

wa myśl, godna przyjaciół ludzkości! — Aby znniejszyć liczbę zbrodniarzy, tułaczów, zabezpieczyć towarzystwo od tych nieszczęść które mu własni jego członkowie gotują, a tēm samēm nie na więzieniach zakładać całą moralną poprawę ludzi, trzeba czuwać nad tēm usilnie, iżby zbaczającym w młodości z drogi cnoty, nie mającym nawet częstokroć o niej wyobrażenia, a więc bez własnej winy zbrodniarzom, dać poznać zbawienne skutki pracy, oszczędności, zamiłowania porządku. — Oto jest właśnie cel główny tej szkoły.

Udaliśmy się naprzód do kaplicy, w której pod ówczas znajdowały się wszystkie dzieci zgromadzone, a kapłan z gorliwością wykładał im religijne nauki; po nabożeństwie powitał nas P. Recke, i oprowadził po Instytucie. — Szanowny ten człowiek poświęcił cały swój majątek na założenie tego Instytutu, i sam mu czynnie przewodniczy. — Całą szkołę podzielił on na

mogła, podobnym cieszyć się zakładem. — Zapewne uczony mąż z którym miałem przyjemność zwiedzać Instytut, poda w tym względzie swój projekt. — Oby rząd wspierał jego szlachetne zamiary!

Znam, że cała trudność zaprowadzenia podobnej Instytucji zależy na osobie jej przewodniczącej; przecież byłoby smutną rzeczą, ażebyśmy żadnego nie znaleźli z rodaków, coby chciał z całym zamiłowaniem poświęcić się temu szlachetnemu celowi

Przyp. Autora.

dwie klasy, a jedynym jego zamiarem jest u-
zdatnienie tych dzieci, na dobrych służących w
rolnictwie, nie zaś na rzemieślników, jak w Ber-
linie. Usprawiedliwia on to postępowanie bar-
dzo przekonywającą przyczyną, iż sposobienie do
rękodzieł nie może wydawać tak zbawiennych
skutków; rzemieślnicy albowiem odbywając zwy-
czajne wędrówki, mają większą sposobność ze-
psucia się, i wrócenia do dawnych nałogów.
Dziewczęta przysposabia P. Recke na dobre
niańki, zdolne dawać pierwsze początki nauki
dzieciom; pomysł godny pochwały! Sam on je
oddaje z Instytutów do domów prywatnych. O-
prócz tego co dotąd było wymienione, oglądali-
śmy jeszcze zakłady jego gospodarskie, w bardzo
pomyślnym będące stanie.

Być może iż na pierwszy rzut oka, zwiedzają-
cy ten użyteczny zakład, nie znajdzie w nim te-
go co nieraz powierzchowną swoją świetnością
w złudzenie wprowadzić może; ale bliżej pozna-
wszy naczelnika, uzna w nim męża szanownego,
dalekiego od próżności, który nie robi dla
pozoru, ale majątek i pracę swoją poświęca naj-
piękniejszemu filantropji celowi, poprawieniu
nadpsutych serc młodocianych, i powróceniu
społeczności członków poprawionych, któreby
bez wątpienia ciężarem dla niego były. Wyprowa-
dzając nas pokazał małe ich ogródki, które sami
uprawiają; zrobił on nader ważne postrzeżenie,
iż odtąd jak im takowe wydzielił, mniej było

uciekających, i więcej przywiązywali się do miejsca poprawy swojej. Podobnie jak w Berlinie wychodzi opis życia każdego z uczniów tej szkoły, przy zdawaniu sprawy z całorocznych jej czynności.

Pożegnawszy się z Baronem *Recke*, pośpieszyliśmy na brzegi Renu, gdzie już zastaliśmy statek parowy mający nas przewieść z *Dusseldorf* do *Nimegi*, miasta w Holandji, w prowincji *Geldrji* (*Gueldre*) leżącego. Zadzwoniono, i zewsząd oczekujący w krótkce napełnili statek. Trudno sobie wystawić przyjemniejszą podróż: szybkość z jaką unosi woda jest nadzwyczajna: w jednej chwili tylkrotnie zmieniają się widoki. Zaledwem ujrzał poziomą chatę, w której rybak ubogi z rodziną przemieszkuje, wnet postrzegłem wieże i opustoszałe mury zamku *Keiserswerke*. Chciałem się im przypatrzeć, gdy znowu widzieliśmy się dały, najprzyjemniejsze doliny, licznymi i pięknymi okryte trzodami; lecz ten miły widok szybko tak jak inne przeminął.

Ta wielka i ciągła sprzeczność, z powodu zmienności obrazów wydatnie się ukazująca, nie tylko przyjemnie bawi, ale i zachwyca zdziwiony umysł patrzącego. Na przebieżenie osiemnastu mil potrzeba było kilku ledwie godzin, i jeszcze słońce daleko do zachodu miało, gdyśmy wysiedli na brzegi miasta *Nimegi*, którego położenie w romantycznym rozwija się obrazie. Dostyc mieliśmy czasu aby obejrzyć ciekawości miejsc-

we, a dzień ten, w którym doznaliśmy tak wiele przyjemnych wrażeń, zakończyliśmy pełni zadowolenia w Nimegde. Starożytne to miasto znane było jeszcze Rzymianom pod nazwiskiem *Noviomagum*. Jest ono zbudowane na 5 pagórkach, a w ciągu istnienia swego wielu doznało zniszczeń. Znakomitsze budowle jakie je zdobią, są: ratusz okazały, przyozdobiony zewnątrz posągami Cesarzów rzymskich, wewnątrz zbiorem wielu narzędzi rozmaitych, które Rzymianie obozując pod Nimegą mieli z sobą, — arsenał i kościół katedralny w stylu gotyckim.

Nimega jest obwarowanym miastem, mającym 1,900 domów i 13,300 mieszkańców. Posiada liczne zakłady przemysłowe, a mianowicie papiernie, i prowadzi znaczny handel.

Z zamku tu będącego, *Belwederem* nazwanego, ukazuje się ciekawy i zajmujący widok biegu czterech rzek, to jest: *Mozelli, Waalu, Renu* i *Isseli*, przeryniających malownicze i żyzne okolice. Niedaleko stąd są ruiny świątyni wzniesionej przez Juljusza Cezara.

D. 4 Lipca....

Wyjechaliśmy z Nimegi nader wygodnym dyliżansem, w celu udania się do Amsterdamu. — W krótko ujrzeliśmy się na wysokości i tak wąskiej grobli, iż zaledwie dwa powozy minąć się na niej mogą. Odmienna jest zupełnie postać kraju tego od innych, jakie mi się widzieć zda-

rzyło. Uprawa ziemi doszła tu, jak się zdaje, do najwyższego doskonałości stopnia. Domy mieszkańców są bardzo ładne— łąki zyzne, same niziny i wszędzie wody dostatek. Na polach zbożem zasianych porozsadzane są drzewa owocowe, co tak znacznie korzyści z gruntu pomnaża. Zjechawszy z grobli, przewieźliśmy się przez część odnogi Renu. Tu się zaczęły piaszczyste grunta. Przy górze spostrzeźliśmy dwie armaty, przeznaczone do dawania znaków ostrzegających o przybieraniu i wylewie wody. Toż samo czynią przez odgłos dzwonów. Lecz jakież było zadziwienie moje, kiedy na cztery mile przed miastem *Utrechtem*, nie widziałem nic więcej, wzdłuż kanału po którym płyną wielkie statki, prócz samych angielskich ogrodów, z pośród których wyzierały liczne mieszkania letnie, najpiękniej urządzone, w guście gotyckim, chińskim, angielskim i francuzkim. — Pałace nakształt świątyń dawnego Rzymu jeden od drugiego z większym przepychem wystawione, obok skromnych ukazują się domków. Pomiędzy temi w *Zeyst* znajduje się znany zakład *Braci Morawczyków*, poważanych od mieszkańców dla swej moralności i pracowitości. — Przemysł ich dostarcza pięknych wyrobów złotych.

Minąwszy *Utrecht*, dopóki tylko jechaliśmy nad tym samym kanałem, zachwycały nas ciągle też same obrazy, i tym sposobem blisko osiem mil podobnej odbyliśmy drogi. Pytałem się czy-

ją własnością jest to wszystko? Odpowiedziano mi że najwięcej kupców Amsterdamskich. — Otoż do czego prowadzi życie przemysłowe mieszkańców, najpewniejsza droga dojścia do zamożności. — Mało winna jest Holandja samej jedynie ziemi: wydarli ją mieszkańcy bałwanom morza, i przeciwko jego przemożnej sile kosztowne wzniesli tamy, nieprzystępne i nieużyteczne osuszyszy miejsca. Widać tu wiele wiatraków szczególniejszych budową swoją, a przeznaczonych do przeprowadzania wody z jednego do drugiego miejsca. Nie ma Holandja kamieni, i dla tego droga bita jest robiona z cegły palonej poprzecznie układanej. Jest ona bardzo dobra, ale opłata od niej niezmiernie droga. Trakt ten przeznaczony jest tylko dla powozów i nie wolno po nim prowadzić ciężarów.

Wjazd do Amsterdamu ma coś wspaniałego i zajmującego. Licznymi poprzeczynany kanałami, na których wznosi się 280 rozmaitych mostów, przedstawia widok nader rozmaity.

D. 6 Lipca.

Dosyć zabawić parę dni w Amsterdamie, aby się przekonać, iż to miasto nie wiele, a nawet powiedzieć by można, żadnych przyjemności dla cudzoziemca nie przedstawia. Powietrze w niem jest najgorsze, czego powodem jest wielość kanałów nie czysto utrzymywanych. Powszechnie czuć się tu daje niedostatek wody do picia, tak

iż muszą zbierać deszczową, albo sprowadzać z *Utrechtu*. Nie widać w Amsterdamie życia towarzyskiego, którego miejsce ziemna zajmuje martwość; drogość wszelkich potrzeb do życia jest tu bardzo wielka, a kwitnący stan pomysłności miasta tego, jaką mu niegdyś rozległy zjednał handel, zmienia się dzisiaj widocznie. Wielu kupców musiało opuścić *Amsterdam*, nie znajdując odbytu na swe towary.

Minęły te chwile pomysłności, w których Amsterdam na drodze handlu ledwie nie wyłączne odnosił korzyści; — przyszłość nierównie dla niego jest straszniejsza, a zwłaszcza ze wielkie podatki i drogość żywności nie dozwoli mu wytrzymać współubiegania z innymi miastami. — Wszędzie ukazują się ślady dawnej i znakomitej zamożności; domy, jak zewnątrz skromne, tak wewnątrz zacząwszy od sieni i schodów najkosztowniej marmurem wyłożone. Te piękne mieszkanie letnie, które nas tyle zajmowały, są także dawniej wzniesione, i może staną się niedługo, jeżeli dziś nie są jeszcze, ciężarem swoich właścicieli: a może i ten czas przyjdzie, kiedy piękne i ogromne ogrody spacerowe zamienione zostaną tak jak w Anglii na pola uprawie zboża poświęcone.

Oprócz wielu kościołów, godny jest widzenia zamek królewski. Holendrzy nazywają go ósmym cudem świata.— Ginach ten okazały przyozdobiony jest wewnątrz malowaniami najznakom-

mitszych mistrzów różnych wieków, i pięknymi płaskorzeźbami marmurowymi. Sala szczególnie ogromna, cała marmurowa i płaskorzeźbą okryta jest jedną z najciekawszych gmachu osobliwości.

Jeden z członków tutejszego *Towarzystwa dobra publicznego* zaprowadził nas do domu, gdzie towarzystwo to odbywa posiedzenia swoje. Piękny panuje tam zwyczaj: wolno jest każdemu mówić w przedmiotach dotyczących się zaradzenia ubóstwu, poprawy więzienia i t. p. Ktokolwiek chce, może wnieść na katedrę i czytać swoją rozprawę. Oglądaliśmy tam papierowy model więzienia wzorowego nadesłany z Anglii.

Dotąd nie zwiedziliśmy żadnego z Instytutów dla ubogich: znaleźliśmy w tej mierze więcej nad spodziewanie trudności, jakich nigdzie doznać nam się nie zdarzyło. Osobom przełożonym nad niemi zbywa na tej uprzedzającej grzeczności i uczynności, jakich wszędzie odbieraliśmy dowody.

D. 7 Lipca.

Wsiadliśmy na statek i popłynęliśmy do miasta *Harlem* o 3 mile od Amsterdamu. Jest ono nie wielkie, lecz dobrze zbudowane. Był to dzień świąteczny; tłumy mieszkańców z okolic przyległych i Amsterdamu nadawały miastu postać wesołą i niezwykłą miastom Holenderskim, w których cały dzień nie masz ruchu: wszyscy zamknęci są w domach i mało kogo spotkać można na ulicy.

Harlem możnaby nazwać stolicą kwiatów: z niezmierną troskliwością zajmują się wszyscy ich hodowaniem. Ztąd rozechodzą się one po całej Europie. Ogród tutejszy botaniczny mieści najpiękniejsze i bardzo rzadkie rośliny. Organy jednego z kościołów tego miasta, sławne są wszędzie z wielkości swojej.

Zaszczyca się *Harlem* wydaniem Wawrzeńca *Kostera*, którego mają Holendrzy za najpierwszego druku wynalazcę. Szanują jego pamiątkę; a w ratuszu, gdzie jest zbiór piękny obrazów celnych malarzy holenderskich, pokazują przechowywaną w srebrnej szkatułce najpierwszą książkę wyszłą z jego drukarni, pod tytułem: *Speculum humanae salvationis*. — Jest dotąd na obszernym rynku dom *Kostera*, a na nim złotymi literami wyryty napis następujący:

Memoriae sacram.— Typographia, ars artium omnium conservatrix, hic primum inventa, circa annum 1449.

Znajduje się także w *Harlemie* pomnik pamięci *Kostera* wzniesiony.

D. 8 Lipca.

Droga z *Harlemu* do *Hagi* (*La Haye*), przechodzi obok pięknych ogrodów i gustownych mieszkań wiejskich. Sama *Haga*, dla swój czystości i zdrowego powietrza, słusznie na stolicę jest wybrana. Nie ma ona żadnych okazałych gmachów; zbudowana jest jak wszy-

stkie inne miasta holenderskie z drobnej cegły zewnątrz nie wybielonej. Można śmiało utrzymywać, że kto jedno miasto tutejsze poznał, zna już tem samcem wszystkie. Taka jednostajność domów i ulic miasta holenderskie odznacza.

Muzeum Hagskie zasługuje na zwiedzenie: dolne sale zajęte są w niem osobliwościami wprowadzonymi z *Chin* i *Japonji*. Wszystko czego używać zwykli tych krajów mieszkańcy, do uprawy ziemi, do rękodzieł, do ubioru, i t. p., znajduje się zachowane w tym ciekawym zbiorze. Liczne wyroby z słoniowej kości i inne zadziwiają misternością i gustem; a po sławnem *Grüne Gewölbe* w Dreźnie nic podobnego nigdzie nie widziałem.

Na górze umieszczona jest galerja obrazów, która posiada najwięcej dzieł oryginalnych mistrzów szkoły Flamandzkiej. Znajduje się tu sławny obraz *Pottera*, który był dawniej do Paryża zabrany, a teraz zwrócony został. Artysta ten, jak wiadomo, nieczrównany był w malowaniu zwierząt. Oprócz bogactw sztuk pięknych posiada Haga bardzo szacowny zbiór medalów, oraz bibliotekę, która w osobnym umieszczona gmachu jest również godną widzenia.

D. 9 Lipca.

W Leydzie (Leyden). — Wczoraj przybyliśmy tutaj; dziś rano zwiedziłem dom poprawy dla żołnierzy, o pół godziny za miastem leżący. Prowadzi do niego droga przyjemna. Powietrze w tem miejscu jest bardzo zdrowe. Gmach

ten mieści w sobie przeszło 400 ludzi. Osadzeni są w nim żołnierze za dezercję i inne mniejsze występki, nie za zbrodnie. Niektórzy zostają tu aż do lat 15. Tym którzy chcieli wolno było udawać się ztąd do Indji, lecz gdy takich było bardzo wiele, ograniczono tę wolność zwłaszcza że niektórzy nie chcieli pracować dla tego, że do Indji mieli być wysłani. Obchodzą się z nimi łagodnie; nie noszą kajdan, ani nie znają bicia. Zatrudnieniem ich jest robienie bótów i szycie mundurów dla wojska; lecz skóry również jak sukno przysyłają im już pokrajane. Z tego co zarabiają $\frac{3}{5}$ części idą na korzyść rządu, $\frac{2}{5}$ każdy może zużyć w więzieniu, $\frac{1}{5}$ zaś odkładają na kapitał, który odbiera więzień opuszczając ten dom poprawy, iżby mógł pożytecznym zatrudnić się przedsięwzięciem. Sale gdzie pracują są obszerne i zdrowe, również jak izby sypialne. Łóżka pozawieszane z płótna zdawały mi się być lepszymi od zwykle używanych drewnianych.

Nie można pominąć w tem mieście Uniwersytetu, ogrodu botanicznego, gabinetu historii naturalnej, a nakoniec starożytnego ratusza.

Przez Harlem wróciliśmy dziś wieczorem do Amsterdamu.

D. 11 Lipca

Amsterdam wiele posiada Instytucji dobroczynnych; wszystkie jednak prawie są dziełem osób prywatnych. Z łatwością powstają one tutaj, gdzie

majątni ubiegają się w składaniu wielkich ofiar dla dobra powszechnego. Przecież nie znaleźliśmy w Amsterdamie instytucji tego rodzaju tak wykształconych, jak spodziewaliśmy się znaleźć; co przekonywa, jak jest trudnem zaradzić skutecznie szerzeniu się ubóstwa, i jak nie zawsze można pogodzić dobroczynność, z pomyślnym wpływem zapobiegania szerzącej się nędzy mieszkańców. W czasie pobytu naszego w Amsterdamie, zwiedziliśmy następujące Instytuta:

1. *Dom dla niewidomych* — Zasady w nauczaniu przyjęto też same co w Berlinie i Wrocławiu. Gmach i wszystkie sale w których uczniowie przebywają, są bardzo ozdobne; czystość i zdrowe powietrze są nie małą tego domu zaletą.

2. *Więzienie Poprawcze* (Spenhaus) — Występnicy którzy się tu dostają, są nieszczęśliwymi ofiarami. Utrzymywani są w największym nieporządku; a powietrze tak jest złe w całym więzieniu, iż trudno jest przez chwilę tam pozostać. Dozór nad ludźmi młodemi zostawiony jest więźniom starszym: jest to najprostszy i najpewniejszy środek do zrobienia z nich najgorszych zbrodniarzy!

3. *Szpital dla chorych* — Urządzenie jego wewnętrzne bardzo jest szczęśliwe. Mimo wielkiej liczby słabych, w każdej sali powietrze było jak najlepsze. Leczą się to Instytuta, które z radością wyznać trzeba, wszędzie są już udoskonalone.

4. *Dom zarobkowy* — Istnieje on już od wie-

ku XVII. Założony został przez osoby prywatne, i zostaje ciągle pod dozorem towarzystwa, złożonego z dam i mężczyzn obywateli Amsterdamu. Jest to gmach rzadkiej okazałości, zbudowany kosztownie i trwale. Schody są marmurowe równie jak i posadzki w sieniach. Zbytek ten zasługiwałby na naganę; jest to bowiem wielka niestosowność przyzwyczajając biednych do tak zbytowych pomieszczeń! Rozkład budowli jest bardzo dobry: ze środka rozchodzą się sale na pierwszym piętrze, służące do pracy, na drugim do sypiania. Nie znają tam jednostajnych ubiorów: a z zarobionych za pracę pieniędzy, zostawiają ubogim $\frac{1}{3}$ część na kapitał, który im przy wyjściu zamtąd wypłacają. Druga $\frac{1}{2}$ część obracaną jest na zakupowanie potrzebnych im rzeczy w sklepie, który w tym samym domu się znajduje. Zakład ten przeznaczony na 1,000 osób, mieści teraz 400. Utrzymywanie jednej osoby kosztuje złotych holenderskich 200. Warto by ażeby towarzystwo korzystniej używało swych funduszy, i chwyciło się innych środków utrzymania ubogich, nie wymagających tak ogromnych a niepotrzebnych wydatków!

Te są celniejsze zakłady dobroczynne. — Do tego co.n wspomniał o Amsterdamie dodać winniem, iż w ogólności nauki zastosowane w pomyślniejszym tam są stanie aniżeli literatura piękna. Zostaje ona dotąd w dzieciństwie, a poeci holenderscy w utworach swych starają się naśla-

dować klasyczość. Mimo wielu towarzystw uczonych w Amsterdamie, Harleemie i innych miastach, mało jest osób któreby się oddawały wyłącznie naukom: wszyscy zajęci są czynnie kupiectwem, które jest głównym ich zatrudnieniem przedmiotem; krótkie zaś od prac tego rodzaju zbywające chwile, poświęcają naukom.

Nie mogę pominąć jednego dosyć smiesznego zwyczaju w Amsterdamie. W każdy piątek zgromadza się licznie do tego miasta lud okoliczny. Dla niego robią muzykę z dzwonek, które są przy zegarach: jest ona nieznośna dla ucha. — Podobnie niesmaczne koncerty słyszałem był pierwej już w Hamburgu. W czasie tej nielitościwej harmonji przyjeżdża zwykle kabrioletem dentysta, i ogłasza iż będzie rwał zęby bezpłatnie. Tłumy cierpiących cisną się do niego: wrywa on z wielką powagą ząb najbliższemu sobie, i okazuje go ludowi na znak, że dobrze wyjął: świadczy się nawet tym którego pozbawił zęba, a który w tej chwili dla bólu nie może mówić nie może

Jutro, nie bez radości, opuszczamy Amsterdam, i udajemy się na zwiedzenie tyle zachwalonych kolonji ubogich w *Frederiks - Oord* założonych.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

XI. WIADOMOŚCI O PERSJI. (*)

1.

Podróż z Bombay do odnogi Perskiej — Przygody pewnego żeglarza.

W ciągu długich podróży morskich, doznają zwykle pływacy, a mianowicie passażerowie, pewnej jednostajności, o której nie mogą mieć żadnego wyobrażenia ci co nigdy na wielkim oceanie nie żeglowali. Pomyślny lub przeciwny wiatr, cisza morska lub nawałnica, człowiek przybywający na pokład, obcy żagiel, złapanie rekina, są wypadkami, które jednostajność tę przerywają na chwilę; wkrótce jednak powraca wędrownik do nudnego i niespokojnego sposobu życia, siedzi przez pół godziny w głębi okrętu, przechodzi się znowu przez pół godziny na pokładzie, zostaje przy sterze, kiedy okręt jest w

(*) Autor pisma tego w pierwotnym wydaniu angielskim, nie wymienił nazwiska swego; czytelnik przeto o jego osnowie i wartości sam jest przymuszony sądzić; zdaje się wszelako iż na tem nic nie straci. Z rozmaitych stanowisk jakie podróżnym do czerpania opisów każdego kraju przedstawiają się, autor wybrał to, które najwięcej zajmuje i pociąga do siebie, to jest: wewnętrzną charakterystykę umysłową ludu, które to stanowisko większą część podróży bardzo ulotnie i z pośpiechem przebiega, aby się tem dłużej nad zewnętrznymi postrzeżeniami zatrzymać.

niebezpieczeństwie, spogląda na parapet kiedy morze jest spokojne, przypatruje się człowiekowi trzymającemu ołowiankę, i oczekuje z niecierpliwością na zawiadomienie jaka jest szerokość około południowej godziny. Do małych wypadków, jakie mu się zdarzają, należy i to, kiedy się spotka na pokładzie z officerem służbowym, lub spuści się do izby kapitana wyrachowywaniem długości zatrudnionego, i temu wraz z innymi *próżniakami*, (tak zwykle nazywają na okrętach pasażerów) przeszkadza w jego pracy. Co do mnie, dla skrócenia sobie długiej podróży, obmyśliłem dogodny środek. Poluję ustawicznie na rozmaite charaktery, a tych jest wielka ilość na morzu. Znalazłszy dosyć uderzający charakter jednego z żeglarzy na fregacie która mnie do Persji niosła, udzielał mi tu szkic jego, na miejscu i z natury skrócony.

Nazywał on się Peterson; był to (przynajmniej jak mnie się zdawało), surowy i opryskliwy marynarz; doświadczenie jego i dokładna znajomość mórz Indyjskich wyniosły go w końcu na stopień zastępcy Mastera (*) fregaty. Był on silnie zbudowany, i miał około sześć stóp wzrostu.

(*) Masterem nazywają na angielskich wojennych okrętach tego officera, który utrzymuje regularny dziennik okrętowy. Następuje on w starszeństwie zaraz po poruczniku okrętowym. Na okrętach holenderskich porucznik sprawuje zarazem obowiązki Mastera.

Ubiór jego wisiał wolno na nim, tak iż gdy pierwszy raz wstąpił na okręt, jeden z majtkow którego to uderzyło, przewracając swoją prymkę w gębie, zawołał: »Od dzisiaj nie będzie nam »zbywać na płótnie żaglowem, nasz nowy Ma-ster okryty jest rezerwowym żaglem.«

Przywodzę tutaj historję Petersona, dosłownie, tak jak nam ją opowiadał sam przy stole, kiedy przybył na pokład. »Lat trzydzieści i dwa przeżyłem na morzu, i równie burzy jak ciszy morskiej często doświadczałem. W młodości mojej naszpikowali mnie strzałami swemi dziecy w Ameryce, i gdyby nie tabakierka, którą w kamicelce miałem, a która wymierzoną w samo serce strzałę zatrzymała, powędrowałbym już w ten czas do trumny przyjaciela *Davy* (*). Wkrótce potem przybyłem na te morza, przed lat 28, i doświadczyłem tu rozmaitych, dobrych i złych kolei. Szło mi jednakże jako tako, dopóki przed trzema laty, w małym *Slupie* do *Bombay* płynąc, nie napotkałem morskich rozbójników z wyspy *Bate* (**), którzy napadli na nasz okręt. Broniliśmy się jak można było; ale łotrów było zbyt wiele, i kiedyśmy się z nimi w jednym końcu okrętu ucierali, inni tymczasem dostali się

(*) *D a v y* znaczy djabeł. Majtkowie dają Xiążęciu ciemności Wallezyjskie imię *D a v y J o n e s*.

(**) Wyspa *B a t e* leży w północno zachodnim końcu o-
dnoży *C u t e h*.

na pokład z drugiego końca, i właściciela trum-
pem tuż obok mnie położyli. Jeden z passażerów
skoczył z pokładu, a ja pomyślałem sobie:
«O głupcze nad głupcami!» bo jeśliby przyszło
do ostateczności, to każdemu jeszcze ten środek
do użycia pozostanie. Jeden z bandytów spojrzął
na mnie i zawołał: » *Mar-hara-mit!* « (za-
bij gałgana) » *Mut-mar!* « (nie zabijaj go), o-
dezwał się inny, który miał ludzkie rysy twarzy,
i wziął się do postronka. Nie zostałem przeto
zabity, ale związano mnie i przykrępowano do
windy kotwicznej. Zawieźli mnie następnie do
Bate. Tam skorośmy przybyli, wszedł na pokład
naczelnik czyli szef, i nie lepszego nie mogłem
się spodziewać, jak być zaprowadzonym na ląd i
powieszonym. Kiedy się o mnie zapytał i ka-
zał mi stanąć przed sobą, miałem najpocieszniej-
szą postać; przez trzy tygodnie bowiem nie golono
mi brody, i okryto mnie żaglem.» Z jakiego kra-
ju jesteś? zapytał mnie naczelnik. — Jestem An-
glik, odpowiedziałem. — »Dobrze, więc nie stra-
cisz życia,« rzekł mi nadto. — Tym lepiej dla
mnie, pomyślałem sobie. — »Lud mój, rzekł da-
leż, składa się z wyprobowanych, dzikich łot-
rów.« — Dla Boga, pomyślałem znowu, ty mu-
sisz być najdzikszym z całej bandy. — Następnie
zapytał mnie o pieniądze i inne przedmioty do
mnie należące. Zdawało mi się na chwilę, że
to wszystko chce przy mnie zostawić; i dla tego
oddałem mu wszystko, nawet moj złoty zegarek;

co razem mogło mieć wartości 5,000 rupji (*).
»Dobrze, dobrze, mówił odbierając odemnie, będę miał o tem staranie;« i dotrzymał świątę słowa swego, ponieważ nie ujrzałem już nigdy ani feniga z moich pieniędzy. Fort ten dał mi tylko 5 rupji, jako podarunek, mówił on, abym się miał za co wraz z ekwipażem utrzymać, kiedy nas do Bombay odeśle.

Opuściłem wyspę Bate, tak szczęśliwy pomimo straty mojej, jak każdy co się z ich szponów wydobędzie. Po kilku dniach dostałem się do Bombay w najwspanialszej postaci; nogi miałem spuchnięte; od czasu dostania się do niewoli nie ogolono mi ani jednego włoska z brody, a odzież moja składała się z gałganów. Z pięciu rupji jeszcze mi dwie zostało; poszedłem więc z niemi do oberży, i kazałem sobie dać śniadanie; chłopcu który mi je przyniósł powiedziałem, iżby pana swego prosił do mnie, ponieważ mam co z nim pomówić. Przyszedł w krótce starszy posługacz, anglik, upudrewany elegant, który zapytał mnie wchodząc: czy potrzebuję co od niego? — tak, odpowiedziałem, chciałbym WPa-
na o coś prosić. Zostałem złupiony przez rozbójników, nie mam pieniędzy, wielkabyś mi WPan zrobił przysługę, gdybyś mi chciał 20 do 30 rupji pożyczyć. « — Któż WPan jesteś? może tylko prosty majtek? — »Nie tak źle; ale potrzebuję pieniędzy na kupienie odzieży, abym

(*) Rupja jest moneta wschodnia 4 złp. wartości mająca

mógł udać się do moich przyjaciół.« — Ja nie jestem panem tego domu — odpowiedział upudrowany jegomość i wyszedł. Nie ujrzałem już więcej ani jego, ani dwudziestu rupji, a gdym chłopakowi kazał żeby mi przyniósł pieczeni z sosem, odpowiedział mi, że jeszcze śniadania nie zapłacił. Kiedym tak z chłopakiem *parlamentował*, wszedł Parsis (*), i zapytał mnie, czybym nie lepiej zrobił, gdybym poszedł do bazaru, gdzie pożyczwszy odzieży mógłbym odwiedzić przyjaciół swoich?

— Bóg widzi, że nie miałem serca wziąć się do czegokolwiek, gdyż niegościnnieść ziomka mego, była dla mnie utkwieniem noża w sercu. Namyśliłem się jednakże iść za radą Parsisa, którego miałem za jednego z tych ludzi, co w Bombay krążą zawsze po mieście, i podejmują się przewodniczyć w interesach tym których spotykają. Poszedłem więc do pierwszego lepszego sklepu, wybrałem sobie suknie, i kiedy już miałem je na sobie, rzekłem do kupca: »Jutro zapłacę.« — Nie, »odpowiedział mi, ja gotowiznę mieć sobie życzę.« Tak więc pomimowolnie musiałem z siebie ściągnąć ubiór, i pojsć dalej.

(*) Parsisami nazywają potomków dawnych Persów; zachowali oni dotąd zwyczaje i wiarę swoich przodków. W Bombay znajduje się wielu z tych wyznawców Zoroastra; stanowią oni nie licniejszą wprawdzie, ale więcej szacunku godną część mieszkańców.

Tym sposobem powiodło mi się w czterech innych sklepach, tak, iż już zupełnie zniechęcony byłem, lecz na moje szczęście, handlarz z pod Nru 18 w wielkim bazarze, zaprosił mnie do sklepu swego, abym tam sobie dobrał ubioru, dodając, iż mu w ten czas zapłacę kiedy będę mógł to uczynić. Ubrałem się więc i poszedłem do P. Adamson, dawnego znajomego. Kiedym jednakże stanął przed nim, nie mógł mię sobie przypomnieć; dopiero gdym mu zaczął opowiadać przygody moje, zawołał z wyrazem litości: »Miałżebyś być tym biedakiem, co tyle doznał nieszczęść? Wyrobię WPanu miejsce na innym jakim okręcie; tymczasem przyjmij to WPan odemnie.«

— To mówiąc wcisnął mi w rękę sto rupji. — »Wybornie,« pomyślałem sobie; podziękowałem mu i poszedłem ztamtąd do kapitana Phillips, od którego otrzymałem w podarunku dwa *mohury* (*), i oprócz tego jeszcze sześć dobrych i wygodnych ubiorów od stóp do głowy. Prosił mnie abym opowiedział obszernie przygody moje na *Bate*, i musiałem nawet powieścią tą trzy lub cztery arkusze papieru wypełnić: wymagał odemnie abym mu osobliwie sposób postępowania rozbojników dokładnie opisał. Następnie

(*) Mohur jest złota moneta, 15 rupji (60 złtp.) wartująca.

posłał mnie do gubernatora P. Duncan, któremu na nowo musiałem to wszystko opowiadać. Ten darował mi znowu sto rupji. Miałem więc dwieście trzydzieści rupji, i nowiuteńką garderobę. Cóż mi dalej wypadało czynić? Poszedłem do mojej oberży, i zawołałem wesoło, aby mi dano pieczeni z sosem. Chłopcy spojrzeli na mnie, postrzegli że się zupełnie zmienił, i tak byli grzeczni i umiarkowani, jak wiewióreczki. Starszy posługacz prosił mnie o przebaczenie, mówiąc że się pomylił, że dwadzieścia rupji są dla mnie odłożone, i że gotów jest na wszelkie dla mnie usługi. — Niech tam djabeł przyjmuje twoje usługi, odpowiedziałem; jak widzę, gotowi jesteście na wszelkie usługi dla tych co was nie potrzebują. Była to dla mnie wielka uciecha, że z niego mógł tak zażartować jak na to zasłużył; zjadłem pieczeń, rzuciłem na stół pieniądze i wyszedłem z oberży.

»Aby tę krótką powieść krótszą jeszcze uczynić, mówił dalej Peterson, — wsiadłem na okręt chiński, a w roku przeszłym otrzymałem dowództwo nad statkiem do pewnego perskiego kupca należącym, który do tej odnogi płynął. Człowiek ten był złym właścicielem, i żadnego nie miał kredytu; która to okoliczność połączona z obawą Arabów wiele mi przykrości i zmartwienia przyniosła. Rozstaliśmy się; przyjął on innego kapitana, z rodu półczarnego, który mu jednak niezawodnie bardzo się podobał, ponieważ kolor je-

go więcej się do barwy nowego kapitana aniżeli do mojej zbliżał; a kiedy tym sposobem byłem bez zatrudnienia, i nie dostawało mi równie pieniędzy jak kredytu, przyjąłem chętnie obowiązki мастера na tym okręcie. Dzięki Bogu, zdrowie mi służy, i nie troszczę się o nic więcej; bo iluż jest takich którym gorzej nierównie się powodzi.

Takie były przygody starego Mastera (*). Razu pewnego kiedyś z nim rozmawiał przechodząc się po pokładzie, w dzień przybycia naszego do Muskatu, zapytałem go, czy miał żonę? — »Nie, odpowiedział. — Czy nigdy nie był żonaty? — Tegom przecieź nie powiedział, rzekł mi na to. — A, przepraszam. — Nie gniewam się, nie gniewam! Co prawda, to nie grzech, mianowicie kiedy nie nie szkodzi. — Byłem żonaty; ale kiedyś raz długą przedsięwziął podróż, i przez ciąg lat siedmiu, listy moje (których prawda nie wiele napisałem) nie dochodziły, krótko więc namyślała się żona moja, i poszła za innego. Dowiedziałem się o tem w tenczas dopiero, kiedyś do Anglii powróciłem. — I cóżes WPan uczynił? zapytałem go; czy starałeś się inieć ją na powrót? — Bynajmniej, rzekł obojętnie Pe-

(*) Stary ten żeglarz już nie żyje. Gorzej mu się jeszcze później powodziło, dopóki nie dostał się na mały okręciik, którego patron czyli właściciel, dał mu wspianiałomyślnie chleb łaskawy i spoczynek na starość.

terson, sądziłem ją być nie wartą tyle starania; była zapewne kontenta że mnie się pozbyła, a mnie podobnież przyjemnie było nic mieć jej na karku.»

Rozmaite położenia i wypadki, na które wystawieni są marynarze, czynią ich zdolniejszymi od innych ludzi do znoszenia wszelkich ostateczności życia. Kiedy płyną, zdają się wszystkie troski swoje za sobą na starym lądzie zostawiać, i zapominać zarazem wszelkich przykrości jakie stanowi temu towarzyszą. Godny uwagi przykład w tym względzie opowiadał nam nasz kapitan; widział on raz łódź ratunkową, w której znajdowało się mnóstwo natłoczonych majtków; lubo zamknięci w pływającej klatce swojej, śpiewali przecież pomimo tego jedną z patrijotycznych naszych pieśni, i pełnym gardłem powtarzali:

„I któż równie swobodny jak my morza synowie?!“ —

2.

Muskat (*) — Imam — Stan niowolników — Sternik rządowy — Arabowie

»Ziemia z wysokości masztu!« — Jak wygląda? — Wzniesiony ląd, widać go z lewego brzegu okrętu; rozciąga się ku północo-zachodowi.»
A z prawego czy widzisz? — »Nie« — No, rze-

(*) W niemieckich opisach jeograficznych i na kartach miasta to nazwane jest zwykle Mascat.

cze kapitan, nieco dumny z tego stanu rzeczy, więc trafiliśmy prosto; mocno mnie to cieszy; za trzy lub cztery godziny staniemy w Muskacie.— Przepowiedz enie jego sprawdziło się.

Uderzająca jest sprzeczność jaka się widzieć daje między nagimi i skalistemi Arabji wzgórzami, które żadnego śladu roślinienia nie przedstawiają, a ocienionemi brzegami Cejlanu i ciemnymi lasami które uwieńczają wesołe Malabaru góry. Jako nieodbywający podróży malowniczej nie będąc starał się tym opisem rozerwać czytelnikowi; dosyć więc zapewne będzie, kiedy powiem, iż jałowe wzgórza któreśmy mieli przed oczyma, otaczały nakszałt kolistego obwodu zatokę, w głębi której leżała dolina, a na tej masie wysokich domów tworzących miasto Muskat. Targowisko to handlu z Perską odnogą zaślaniają baterje, które panują nad wązkiem przejściem, oraz rozmaite dzieła sztancy, które na każdej części urwistych i nieforemnych skał i cyplów są wzniesione.

Panuje w Muskacie Xiążę, który ma tytuł Imama, i którego powierzchowność, podobnie jak wielu naczelników arabskich, więcej do patryarchalnego jak do despotycznego zbliża się charakteru. Ma on wprawdzie znaczną liczbę okrętów, między innymi nawet kilka pięknych fregat i mocne wojsko pod swemi rozkazami, aby mógł zaślaniać posiadłości swoje na brzegach Afryki, Arabji i na wielu wyspach odnogi perskiej; wsze-

Iako jest on obowiązany, na każde żądanie któregokolwiek z mieszkańców Muskaty, udzielić posłuchania, który oto do sądu zapozwać go może.

W czasie pierwszej podróży mojej, miałem sposobność poznać ojca dzisiejszego Imama Muskaty, kiedy wyprawił się wraz z poselstwem do Persji wysłanem. Dawał on nam posłuchanie na swym okręcie *Gunjawa*, o 1,000 beczkach i czterdziestu armatach. Zastaliśmy go wprawdzie otoczonego blaskiem i okazałością, ale skromnie przybranego. Skrecony szal opasywał mu głowę nakształt turbanu; arabska suknia zwierzchnia, która na reszcie ubioru jego zwieszoną była, składała się z cienkiego białego płótna, bez żadnych innych ozdób. Nie miał on na sobie żadnych klejnotów, żadnej broni, ani nawet szabli u boku; jego ułożenie i postępowanie było skromne, proste, męzkie, i okazywało w nim umysł przedsiębiorczy. Oczy otaczających go dworzan, (którzy składali się z Arabów, Numidów, Abissyńczyków i znajdowali się na i przy parapecie pokładowym) zwrócone były już to na cudzoziemców, już to, częściej, na Xiążęcia; wzrok ich jednakże nie okazywał bojaźni, ale przywiązanie do monarchy; nie mogłem podobnieź dostrzedz iżby ten przemawiał do nich kiedy inaczej jak z łagodnością i dobrocią.

W czasie tych odwiedzin, gdzieśmy pod namiotem na pokładzie siedzieli, przybyło kilku kapitanów jego większych okrętów. Wracali o-

ni również z Bassory. Imam wsiadł następnie wraz z posłem do Kajuty; nim zaś jeszcze wyszedł z namiotu, miałem sposobność przypatrzenia się z największą przyjemnością powitanom wzajemnym przybywających z obcymi. *Salam alicum!* (Pokój z tobą) z każdych ust wychodziło, i każdy ujrawszy przyjaciela swego między orszakiem, brał go za prawą rękę, i wstrząsnąwszy ją do serca przyciskał. To przyjacielskie, serdeczne przyjęcie miało istotnie w sobie coś godnego uwagi. Nie ograniczało się na zaprowadzonych prawidłach przyzwoitości, jaka jest używana i za konieczną uchodzi w tak nazwanych uobyczajonych towarzystwach. Arabski żeglarz, jakkolwiek niskim jest stopień jego, okazywał jakąś naiwność, jakąś nienaśladowczą samodzielność w sposobie przyjmowania i witania kapitana, co dowodziło, iż tu rzecz nie szła o obowiązki służby, ale człowiek przyszedł do człowieka i oba uważali się za równych sobie. Zapytałem siedzącego blisko mnie, czyli ten ton poufałości nie odstępował od porządku służby i nie był z nim w kollisioni?— nie, odpowiedziano mi, linja różnicy stopniów jest wydatnie oznaczona, i wszystko, co przeciwko karności wykracza, surowo bywa karane; ale u nas Arabów, jak to dopiero W Pan widziałeś, jest prawo, iż się możemy do naszych starszych przybliżać; najtrudniejszy ten przywilej moglibyśmy utracić tylko w skutku jego nadużycia, a strata ta podwójnieby

się uczuć nam dała, jako pozbawienie prawa i zawstydzenie.

Rozmowa ta przerwana została otwarciem się drzwi kajuty a gdy Imam wszedł do niej, każdy zabrał dawniejsze miejsce swoje. On sam został stojący, przyjął powracających z podróży kapitanów swoich, którzy kolejnie podług starszeństwa przed nim stawali, podał każdemu z nich prawą rękę, którą oni obiema objęli, ścisnęli, i zarazem schylili się nad nią z głębokim uszanowaniem, a nakoniec prawą rękę jako pozdrowienie, naprzód w górę podnieśli, potem do serca przyłożyli i zwróciwszy się odeszli. Po zakończeniu tego uroczystego powitania, wsiadł Imam, prosząc nas i wszystkich swoich officerów, aby toż samo uczynili.

Zastawiony był na pokładzie dla całego towarzystwa obiad, do którego nas również zaproszono. Kiedyśmy wstali od stołu i spuścili się do dolnych części okrętu, wpadło mi w oczy kilka kobiet Imama, między którymi również znajdowała się jego faworyta; spoglądały na nas nie zasłonięte z wielką pożądlivością i zdawały się być bardzo ucieszone, cośmy przypisywali tej okoliczności, iż poseł dowiadywał się o synów Imama, dwóch ładnych chłopców, i każdemu z nich dał jakiś podarunek stosowny do jego wieku.

To przejrzenie dworu Imama, rozmowa moja z nim i postępowanie, równie jak z jego synami i wyższymi urzędnikami dworskimi, bezpieczeń-

stwo i spokojność, jakiej handlujący i inni mieszkańcy tak mahometanie jak i Indjanie doznają, dały mi o tem miejscu bardzo pochlebne wyobrażenie, tak iż skreśliłem rys obyczajów i zwyczajów tego ludu w sposób bardzo dla niego korzystny.

Pismo to pokazałem raz jednemu z moich przyjaciół, kapitanowi okrętu, który z wielkiem podziwieniem mojem, czytając je śmiał się do rozpuku, i rzekł, że mógł mi zupełnie przeciwny obraz tejże samej widowni udzielić. »Wyszedł rozkaz z Admiralicji, mówił on, iżby officerowie okrętów linjowych, zwiedzając małe znajome porty, opisywali obyczaje i zwyczaje mieszkańców. Mam na swoim okręcie przedniego chłopaka; jest to master, wyborny żeglarz, który jednak mało się o to troszczy co się dzieje na brzegu. Ciekawy będąc czytać jego uwagi, a wiedząc zarazem że już ze 20 lub 30 razy był w Muskacie, przypomniałem mu rozkaz admiralicji i zniewoliłem do udzielenia mi swego dziennika. Wzbraniał się jak mógł najdłużej; lecz w końcu, na pół z gniewem, poszedł do swej kajuty, napisał coś, powrócił do mnie z książką, i rzekł: »Wypełniłem rozkaz, kapitanie; przekonasz się WPan, że wszystko tu nakreślił co się dało o tych czarnych djabłach powiedzieć, wszystko co o nich na wzmiankę zasługiwało.« Wziąłem dziennik do ręki i przeczytałem:

„Mieszkańcy Muskatu.

„Co się dotycze ich zwyczajów, nie mają żadnych,
„co zaś do ich obyczajów, te są prawdziwie by-
„dłące.“

Obraz przez poczciwego мастера skreślony będzie bez wątpienia uważany przez wielu za wierniejszy od mego; a podróżni, którzy postrzeżenia swoje na tłumie ludzi nad zatoką, na brzegu niewolnikami okrytym, daktylami zasłanym, brzęczącymi muchami obłożonym i zepsutymi, cuchnącymi rybami słonemi zapchanym ograniczają, bez namysłu zapewne przeniosą to lako- niczne opisanie prostego jeszcze i brudnego ludu. Przypuściwszy nawet, iż się zapuszcza w nędzne i ciasne ulice miasta, (co łatwo być może) i ujrzą rząd lub kupę powiązanych niewolników, a za nimi przewodnika, który idąc cenę każdego z nich podaje, i wykrzykuje. »Numer pierwszy, piękny młodzieniec, pięćset piastrow; — numer drugi, nieco starszy ale zdrowy i silny człowiek, czterysta piastrow; — i tak dalej aż do ostatniego z tych nieszczęśliwych dwunożnych stworzeń; — i ktoż ze zgrozą nie odwróci oka i ucha od tego obrzydłego widoku i wywoływania!

Jeśli jednakże nerwy nasze będą dosyć silne, a- byśmy się mogli w opisaną tu widownię nieco głębiej precisnąć, postrzeżemy, że przyczyna, dla czego domy tak są naciśnione na siebie, iż nawet niepodobnem jest utrzymanie jakiegokol- wick czystości, jest ta, ponieważ równie wła-

ściciele jak własności w tym porcie mają zasłone od niesprawiedliwości i ucisku; tym sposobem wstręt nasz przy pierwszym rzucie oka w większej części zniknie, kiedy spojrzymy na przyczynę która go obudza. Nawet co do handlu niewolnikami, który w Muskacie bardzo uczęszczone targowisko posiada, sposób, w jaki towary te są przedstawiane do kupna, tak jest mało z tem wyobrażeniem zgodny, jakie ów Dziennik daje o »bydlęcych obyczajach i zwyczajach.« Ale porównajmy jednakże los nieszczęśliwej ofiary tego handlu, z plamami z jakich Anglja zaledwie oczyszczać się zaczęła, z handlem, który już to otwarcie, już potajemnie prawie wszystkie ucivilizowane mocarstwa europejskie prowadzą, a będziemy zmuszeni, ludzkości azjatyckich ludów nad naszą pierwszeństwo przyznać.

Skoro tylko niewolnik na wschodzie do służby usposobiony i wyuczony zostanie, wchodzi w stosunki łaskawie utrzymywanego służącego; przyjęcie religji pana jest zwykle pierwszym krokiem, który mu do zjednania tej korzyści pomaga. Oprócz wielu wyjątków w niektórych portach morskich, służba jego pospolicie nie bywa uciążliwa. Nie ma w Azji gruntów któreby niewolnicy uprawiać mieli, nie ma rękodzielni, gdzieby ich ciężką pracą zatrudniano; obowiązki ich są zupełnie lekkie; dobre sprawowanie się ich doznaje wzajemności w dobroci i zaufaniu pana, i stawia ich wyżej w rodzinie do której należą. Wyra-

żenie to *cholem* (niewolnik) nie jest w krajach mahometańskich wcale upodlającym nazwaniem, i nie tworzy wyobrażenia o żadnym poniżającym położeniu. Niewolnicy Gicorgijscy, Nubijscy, Abissyńscy, a nawet Sidihscy albo Kafrejscy, jak nazywają pospolicie wełniasto-włosych Afrykanów zwykle się żenią, a ich dzieci zwane w języku krajowym *Khana-Zadek* (w domu zrodzeni), składają, że tak rzekę, część rodziny ich pana. Przywiązują się one duszą i ciałem do niego, odziedziczają nawet po jego śmierci znaczną część pozostałego majątku, i nieraz, wyjąwszy wełniasto-włosych Kaffrów, przez ożenienie się w rodzinie pana, lub inny jaki zaszczytny dla nich związek, pozbywają się wszelkich śladów pierwiastkowego stanu swego.

Podług praw mahometańskich stan niewolników dzieli się na dwie klasy, na bezwarunkowe, zupełne niewolnictwo, i na warunkowe, przywilejami odznaczone. Niewolnicy do pierwszej klasy należący, są własnością bezwarunkową pana swego wraz z tem wszystkiem co posiadają. Druga klasa składa się z takich, którzy, lubo wprawdzie przed wyzwoleniem swoim własności ani odziedziczać ani posiadać nie mogą, używają wszelako wielu przywilejów, i nie mogą być sprzedawani lub odstępowani komu innemu. Niewolnica przynosząca na świat potomstwo panu swemu, wchodzi tem samem do klasy uprzywilejowanej; podobnież niewol-

nik, któremu pan jego wolność przyrzecze, czy to za złożeniem summy pewnej, czy po jego śmierci, tejże samej używa korzyści.

Koran i wszystkie tej xięgi komentarze zawierają wielkie obietnice dla tych którzyby niewolników swoich z jarzma oswobadzali. Mahomet wzywa do tego wyraźnie, mówiąc: »Kiedy który z niewolników waszych żądać będzie od was zapewnienia na piśmie, iż za złożeniem pewnej kwoty wolność mu nadacie, napiszcie mu w ówczas to zapewnienie, jeśli go uważacie za człowieka dobrego, i udzielcie mu majątku którym was Bóg obdarzył.«

W skutku tego przykazania, pobożni Mahometanie wydzielają częstokroć niewolnikom swoim niewielkie części gruntu, albo każą ich uczyć rzemiosła, iżby tym sposobem przez gorliwość i dobre gospodarstwo zarobili potrzebne na wykupno pieniądze, i nabyli zarazem lepszych obyczajów, ktoreby ich tem zdolniejszymi do używania wolności uczyniły. Mają również Mahometanie pobudkę do wyzwalania niewolników swoich, w prawie, które dozwala tym ostatnim dziedziczyć posiadłości po tym, kto ich wolnością obdarzył.

Co do jednego punktu znajdują się niewolnicy w krajach mahometańskich na równiej stopie z kobietami krajowemi, to jest: iż przy wszystkich przestępstwach jakich się dopuszczają, mogą być tylko w połowie tak surowo i tak ciężko kar

rani jak ludzie wolni. Prawo to opiera się na tej zasadzie, iż nie można przyjąć tego aby niewiasty i niewolnicy posiadali wiadomości lub towarzyskie zasady, jakie przypuszczają się w innych klassach towarzystwa, i aby takiego usposobienia można było od nich wymagać. Zastosowanie przepisu tego na sprawiedliwości opierającego się, jeśli idzie o karę śmierci lub utratę której części ciała, nie stawia bynajmniej w przykrém położeniu mądrych Mullahów lub piśmiennych; wywinęli się oni z tego drogą zwyczajną, to jest niezliczone i grube xiegi o tym przedmiocie napisawszy. Nie przekonałem się wszelako, iżby aż dotąd udało im się wynaleść jaki sposób ukarania kobiety lub niewolnika, utratą połowy życia; nie obmyślili podobnież dotąd jeszcze żadnego środka do uskutecznienia w połowie amputacyjnej operacji.

Ale wracam do Muskatu. Zwiedzałem to miejsce we wszystkich porach roku; tym razem było to w zimie, a klima było przyjemne; w lecie upał bywa trudny do zniesienia. Odbicie gorąca słonecznego od nagich skał i białych szanów, które nad przystanią i miastem wiszą, zastłonięte otaczającymi górami od wszelkich chłodnych wiatrów, oprócz tego jaki się ciasnym wejściem do odnogi przeciska, czyni temperaturę tak nieznośną, iż pewien poeta perski powiedział o niej, że daje trwożliwemu grzesznikowi żywą próbę przyszłego losu jego.

Młody Imam, Syed Sayed, nie był obecny z powodu jakiegoś przedsięwzięcia, czego ja tem mniej załowałem, ponieważ widziałem ojca jego, który co do prostoty obyczajów, dobrego i zdrowego rozsądku i umysłu, nie ustępuje w niczem swemu godnemu synowi.

Pomiędzy najpierwszemi osobami które na pokład przybyły, znajdował się z wielkiem mojem zadowoleniem stary mój przyjaciel Mohamed Gholum. Jako doświadczony żeglarz, służył on nam za przybrzeżnego sternika z Muskatu do Ormus, w czasie poprzedniego poselstwa w 1800. Teraz zaś posunięty był na sternika rządowego, i jednego z pierwszych ministrów młodego Inama, o którego charakterze nader zaszczytne dawał wyobrażenie. Mohamed Gholum pozostał zawsze jednakim: zmiana losu bynajmniej go nie zmieniła; okazywał on ciągle też samą otwartość i męskość charakteru arabskiego marynarza. Przypominaliśmy sobie nawzajem rozmaite dawne dzieje, a przy wspomnieniu jednego zdarzenia, w którym on główną grał rolę, naśmiał się serdecznie. Życzył on był naszą fregatę *Bombay* doprowadzić w kierunku południowym do Ormus; ale gdyśmy już blisko wyspy byli, tak mocny wiatr przeciwny powstał, iż sternik oświadczył kapitanowi, że nie nam nie pozostaje dla dopłynienia do portu, jak żeglować pomiędzy wyspą i perskiemi brzegami. Uczyniliśmy to co radził; wiatr coraz mocniejszym się stawał, i or-

kan zaczął dąć z wściekłością; nie zdołaliśmy wniknąć na kanał który jest bardzo wązki, i wpadliśmy na pokład mułu, tak iż okręt osiadł i bałwany przez mego się toczyły. Kapitan rozkazał przydać żagli, próbując siłą zepchnąć okręt na głębiznę, i zawołał: »Wolałbym chętnie worek rupji utracić, aniżeli okręt kompanji wschodnio-indyjskiej!« — »Nie troszcz się wcale o okręt kompanji,« zawołał jeden z passażerów, ratuj nas tylko i dowieź do lądu.« Tymczasem majtek wiszący na sznurach nie przestawał rzucać ołowianki, i wołał spokojnie: »trzy sążnie i trzy ćwierci« — Nie susz nam głowy temi trzema sążniami i trzema ćwierciami! (zawołał któryś niecierpliwy podróżny) kiedy okręt stoi ugrążniony? — To należy do kapitana, nie do mnie, odpowiedział niewzruszony majtek, wrzucił i wyciągał swoją ołowiankę i wołał ciągle: trzy sążnie i trzy ćwierci! W tej chwili zwróciłem uwagę na przyjaciela mego Mohameda Gholum, na którego jakiś irlandzki officer natarł z wykrzyknieniem: »Djabli tam zrozumieją wasze przekłete bełkotanie; powiadam ci jednak panie kapitanie, iż ci łeb utnę (to mówiąc groził mu palcem na własnej szyi pokazując, aby się jaśniej tłómaczyć) łeb ci utnę, niedoświadczony żeglarzu! jeśli tu na tak nędznej wodzie tych panów potopisz!«

W ciągu téj rozmowy przyczynione żagle zepchnęły okręt z mułu. Po kilku minutach zawinęliśmy szczęśliwie do portu Ormus, i zapo-

mniano o wszelkiem niebezpieczeństwie. Mahomed Gholum, wysileniem utrudzony, skorośmy tylko wylądowali, udał się do kajuty kapitana i mocno zasnął. Snił mu się wypadek dopiero co zdarzony, i kiedymgo przebudzał, ponieważ mieliśmy do wieczery zasiadać, porwał się i zawołał z obłąkanym wzrokiem: »Wieleż sążni?« odpowiedzieliśmy mu że może spokojnie sięść do stołu, i jakkolwiek dobry Mahometanin, zapytać się nas powinien, wiele sążni jest ponczu w wasze!

W krótkce po naszym do Muskaty przybyciu, odwiedzać nas zaczęli ludzie rozmaitych narodów i rozmaitego koloru. Przed innymi mianowicie zwróciło całą uwagę moją kilku Arabów z głębi kraju, którzy przez zionków swoich przyprowadzeni zostali, dla obejrzenia angielskiego wojennego okrętu. Postać ich była szczupła, lekka i elastyczna; a skład ciała zapowiadał szybkość i siłę. Najgodniejsze uwagi w ich twarzach były ciemne ruchawe oczy; które szczególniejsze wrażenie na mnie robiły, od jednego przedmiotu do drugiego z nadzwyczajnie szybkim przebiegając zwrotem, a podziwienie nad wszystkiem co widzieli, dawały poznać ogniste ich spojrzenia. Był właśnie ustawiony dobry teleskop, i wymierzony na jeden z najoddalniejszych szanćów. Prosiłem jednego z tych Arabów, aby patrzył przez niego; przypatrywał się może przez minutę; spojrzał na mnie z wy-

razem natężonej uwagi, i słowa nie mówiąc, pobiegł do swojej łodzi. Kiedy ta już nieco od okrętu oddaloną była, zawołał dopiero: »Jesteście czarownicy, i teraz dopiero widzę, jakim sposobem zagarniacie miasta; ta rzecz (pokazując na teleskop) przenosi je jak tylko można najbliżej, a was jak tylko chcecie przybliża.« Prosto ta jego mocno nas ubawiła; ale żadne namowy nie zdołały go skłonić do powrócenia na okręt, aby otrzymać objaśnienie optyki, któreby wywiodło go z błędu, iż jesteśmy czarownikami (*).

Arabowie w Muskacie opisywali nam nader przyjemnie niektóre wspaniałe doliny około 20 mil ang. (4 mile pol.) od miasta odległe; ale po bliższém tych opisów sprawdzeniu, okazało się, iż zielone łąki i małe strumienie, które nam odmalowali, większą część wartości swojej winne były rzadkości podobnych widoków, i że nazwanie »Arabji szczęśliwej,« brało początek raczej z jalowości i suchości większej części kraju tego, aniżeli z rzeczywistych korzyści klimatu i płodów, któremi od przyrodzenia był obdarzony.

3.

Odnoga Perska i portowe miasto Bushire.

Przybywszy szczęśliwie do odnogi perskiej, kiedym już załatwił się z wylądowaniem, po-

(*) Toż samo uczynił Niebuhr w Alexandrji; za ledwie mu to jednak na złe nie wyszło. Ustawił tak teleskop, iż wieże miasta ukazywały się przewrócone. Mieszkańcy chcieli go za to w kawałki poszarpać.

słałem po służącego Araba nazwiskiem Khudadad, i zapytałem go, jacyby byli mieszkańcy tych nieurodzajnych arabskich brzegów, które nam się widzieć dają? Z widoczną przykrością odpowiedział mi: »Są oni z sekty Wehabitów, i nazywają się Dszuassimi; niech nas Bóg od nich strzeże, bo to są prawdziwe potwory. Ich zatrudnieniem jest rozbój morski, ich rozrywką morderstwa, a co ich szkaradniejszymi jeszcze czyni, iż wszystkim niecnym czynom swoim pobożne przypisują pobudki. Trzymają się oni co do litery świętego pisma, i odrzucają wszelkie objaśnienia i podania. Jeśli ich jeńcem zostaniesz, i chcesz okupić życie tem wszystkiem co posiadasz, mówią w ówczas:— Nie! napisauo jest w Koranie, iż byłoby przeciwko prawu, żyjącego obdzierać; nie zakazano jednakże zabrać własności zmarłego;— i tak mówiąc bez litości cię zabijają. Ale w tém wszystkiem nie zupełnie im samym winę przypisywać można, pochodzą bowiem od Hula czyli potwora, tak iż postępują stosownie do swojej natury.«

Zapytałem go, czyby mi nie mógł objaśnić tego ich pochodzenia. Zdawał się dziwić niewiedomości mojej i odpowiedział: że historia ta jest całemu światu znajoma; jednak dał się nakłonić do zadosyć uczynienia mej prośbie, i zaczął opowiadać następującą powieść.

„Pewien Arabski rybak, mieszkający w wiosce nad perską odnogą niedaleko od miasta Gom-

brun, zarzuciwszy raz sieci, złowił coś tak ciężkiego, iż z wielką trudnością je na brzeg dobywał. Ucieszony szczęśliwym połowem, jaki sobie obiecywał, wydobył wszystkie siły i wyciągnął; ale jakież było podziwienie jego, kiedy zamiast mnóstwa ryb, ujrzał w sieci zwierza jakiegoś, który podobny z postaci do człowieka, od stóp do głów jednakże był obrośnięty włosami. Zbliżył się do niego z ostrożnością; ale kiedy ujrzał w nim niewinną i nieszkodliwą istotę, wziął go z sobą do domu, i wkrótce bardzo polubił; kiedy jednakże stworzenie to nie mówić nie mogło i tylko wydawało odgłos *Hul, Hul!* dał mu więc także nazwanie. Hul był pojętny i pilny; a rybak który posiadał trzodę owiec, oddał mu ją w opiekę.«

»Pewnego dnia zdarzyło się, iż stu perskich jeźdźców, w zupełnym uzbrojeniu, przybyło z głębi kraju, szukając zdobyczy, i zaczęło już owce zaganiać. Hul był sam jeden, i nie tylko bronni ale nawet pałki nie miał przy sobie; wczwał ich znakami iżby nie zabierali trzody; ale ci żartowali tylko z tego osobliwszego widziadła, dopóki rozgniewany pasterz jednego lub dwóch najbliższych siebie trupem nie położył. Tu już uderzyła na niego cała banda, ale on w zręczności i męztwie, równie jak w sile od nich wyższy, tak dzielnie umiał się bronić, iż wszyscy, co mu się w moc dostali, od ciosów jego pole-

gli, a reszta, do połowy zmniejszona ucieczką się ocaliła.«

»Zaledwie dowiedzieli się o tej napaści rybak i jego sąsiedzi, pośpieszyli na miejsce potyczki, niosąc pomoc wiernemu Hulowi. Zastali go już zbierającego odzież, broń i konie pokonanych Persów. Arab pewien w pobliskiej wiosce, tak wielkiem i podziwienią godnym uważał męstwo jego, i tak bogatą zdobycz, iż mu rękę swej pięknej córki ofiarował. Ona zaś przekładając dobre przynioty nad powierzchowność, nie okazała przeciwko temu niechęci, i została narzeczoną dobrego i męźnego potwora. Związek ich obchodzony był z niesłychaną dotąd we wsi okazalnością, a Hul, przybrany w najbogatsze szaty jakie zdobył na Persach, i na najpiękniejszym z zabranych koni siedząc, bardzo korzystnie się ukazał. Nie posiadał on się z radości, tak był pełen żartów i wesołości, rozwinął tyle dowcipu, siły, zręczności, iż oblubienica, nad którą litowano się z początku, stała się przedmiotem zazdrości wszystkich młodych dziewic rybackich. Byłyby jej więcej jeszcze zazdrościły towarzyski, gdyby przewidzieć były mogły, do jakiej dojsć miała sławy. Urodziła ona czterech synów, od których pochodzą cztery pokolenia: Ben Dżuassimów, Ben Ahmedów, Ben Nazirów i Ben Sabuhilów, które aż dotąd pod ogólnym nazwiskiem dzieci Hula są znane. Powołaniem ich jest rybołówstwo, żeglarstwo i rozboje morskie;

żyją więcéj na wodzie jak na lądzie, i mają jak jest mniemanie ziemnowodną naturę, którą po swoim wspólnym przodku odziedziczyli.«

Kiedy tak skończył opowiadać Khudadad, zapytałem go o mieszkańców wysokich gór, które za brzegami perskimi ku obłokom wznoszące się widzieliśmy. Podobała mu się ta druga sposobność popisania się z wiadomościami, i tak dalej mówił: »Jest to również lud rozbójniczy, ale nie tak dziki jak Dszuassimi. Pierwsze zjawienie się swoje w tych górach wywodzą oni od djabła; ale w istocie są tak jak my dziećmi ludzkiemi; nie mają wcale fizycznej natury djabła, tylko postęпки ich są nieco djabelskie.«

Nie przestawałem go zapytywać, i odkryłem wkrótce, iż wiadomości te pochodziły z xiąg Ferdusego (*), i były dosyć wiernem powtórzeniem pierwotnego textu. Opowiadanie jego tak poprzedzające, jak i następne przytaczam tu dosłownie: »Słyszalesz Pan zapewne o Dszohaku, xiążęciu arabskim?« — Tak jest, odpowiedziałem.

— No, to Pan musisz wiedzieć, że to był zły, bardzo zły człowiek. Zwyciężył on Dszemszyda króla perskiego, który w czasie swoim za naj-

(*) Ferdusi jest najpierwszy i najstarszy perski poeta epiczny. Mało krajów szczycić się może większym nad niego gienjuszem. Główne dzieło jego Szah-nameh, albo xięga królów, zawiera prawie wszystko co Persowie znają z dziejów własnych, połączone z bajkami i allegorjami.

sławniejszego z monarchów ziemskich był uważany. Pokonawszy go Dszohak zaczął się tą świętną pomysłnością nadymać i pozwoił się diabłu kusić. Zły duch, w postaci czcigodnego starca, nakłonił go do zamordowania własnego ojca, aby w miejscu jego zostać królem Arabji. W owym czasie ludzie żyli jedynie roślinami; ale diabeł, aby jak największą klęskę ludzkiemu rodzajowi zadać, zaczął Dszohaka kusić kilkoma świeżo ugotowanymi jajami, i kiedy widział że mu zasmakowały, ofiarował mu przyrzadzić potrawę z kuropatw i jarząbków. Zapach potrawy tak przyjemnie xiążęcia zaleciał, iż ten pozwoił swemu fałszywemu przyjacielowi, aby go prosił o jaką łaskę. Starzec prosił go aby mógł mieć przyjemność ucałować barki swego drogiego monarchy. Dszohak, dogadzając życzeniom jego, obnażył barki; zaledwie jednak szatańskie usta dotknęły jego ciała, kiedy z obu bark wyskoczyły syczące i srogie węże, a w tejże samej chwili czcigodny starzec rzucił przybraną postać, i ukazał się w własnej pośród grzmotów i błyskawic; a odchedząc zawołał: »Tylko ludzkim mózgiem będą mogły się nakarmić utworzone przezemnie potwory; ich śmierć pociągnęłyby za sobą niechybnie zgubę twoją «

»Wszystko się spełniło co przepowiedział szatan. Węże odrzucały wszelkie inne pożywienie, tak, iż przez znaczny przeciąg czasu, musiano codziennie zabijać dwóch ludzi dla zaspokojenia

ich głodu. Ci, którym zlecony był obowiązek dostarczania i przysposabiania codziennie tej okropnej pastwy, i którzy jasno przewidywali jaki był zamiar szatana, postanowili go podejść. Przeprowadzili zatem w prawdzie przed Dszohakiem i jego weźmiami osoby, na zabicie przeznaczone, ale przysposobiali zamiast ludzkich owcze mózgi, i wysyłali ocalone ofiary między góry Kermkańskie i Laurystańskie, gdzie codziennie ich liczba się wzmagała, tak iż nakoniec utworzył się z nich lud znaczny, którego potomkowie dotąd jeszcze te góry zamieszkują. Niema wątpliwości, rzekł Kkudadad, iż wszystko, com tu Panu powiedział jest prawdą; wszystko to albowiem znajduje się w jednej księdze, którą wyborny pewien poeta napisał, i którą *Szah-nameh* albo *Xięgą Królów* nazwał.« —

Po otrzymaniu tego dokładnego objaśnienia obu brzegów Odnogi perskiej, przybiliśmy do Bushiry (*), perskiego portu morskiego, który uchodzi za najlepszy targ na towary łokciowe, daktyle i assafotidę. Cała ludność miasta oczekiwiała nas na placu targowym; największą jednak uwagę zwracała na siebie lekka kompanja 84go regimentu królewskiego, której jednostajne umundurowanie wielkie zrobiło wrażenie

(*) Właściwe tego portu nazwanie jest *Abushcher*; w Europie znany jest pod skróconem nazwiskiem *Bushire*.

i zdawało im się na pół cudowném. Ta jednostajność mundurów i poruszeń tak mocno uderzyła jednego z mieszkańców, iż zawołał: Ci ludzie musieli wszyscy mieć jednego ojca i jedną matkę! Inny znowu uważał, iż nie to być musi, ale że zapewne wszyscy jednego dnia się urodzili.

— Ej gdzie tam! zawołała stara kobieta, są to wcielone złe duchy, jestem o tem zupełnie przekonana; wiercie mi, już ja im się dokładnie przypatrzyłam. — Otrzymali znowu rozkaz wymaszerowania, a regularność ich kroku i posuwania się nowe wzbudziła podziwienie. — Stary jeden kupiec, nazwiskiem Hadszi, który życie swoje pośród liczb i rachunków przepędził, i którego wszystko cieszyło co tylko prostota i regularność miało, stojąc na rogu ulicy kiedy wojsko szeregami przeciągało, i kiedy żołnierze krok dobrze trzymali, na palach rachował i nieustannie sam do siebie powtarzał: *Hissab, Hissab, Hissab!* (*) — Wszystko to okazywało, że wyładowanie nasze równie mężczyznom jak kobietom i dzieciom, słowem całemu miastu przyjemnym było.

Angielska faktorja została od lat kilku z Gombrohn do Bushiry przeniesiona. Znaleźliśmy jeszcze też same osoby w służbie pozostałe, oprócz

(*) Wyrażenie perskie oznaczające wyrachowanie właściwe, dokładne.

jednego tylko Araba nazwiskiem Suffer, który niedawno po pięćdziesięcioletniej wiernej służbie umarł. W ostatnich chwilach życia, lekarz angielski rozkazał mu wypić szklankę wina. Z razu oddalił je od siebie z wstrętem, mówiąc że mu go Koran zakazywał. Po chwili jednakże prosił aby mu je podano: »Dajcie mi to wasze wino, bo w tejże samej księdze jest napisano, że wszyscy niewierni z Raju są wyłączeni; po pięćdziesiąt letniej służbie mojej tak się do was przywiązałem, iż wolę z wami być w piekle, aniżeli z memi ziomkami w raju.«

Syna tego wiernego Araba, Derwisza, wziął do służby ambassador; uważałem jego ciągłe usiłowanie wznoszenia się, dopóki nie stał się panem małej szalupy, co jest *non plus ultra* dla życzeń Bashirczyka.

Krajowcy pochodzą prawie wszyscy od Arabów. Powszechne u nich zamiłowanie morza, stoi w sprzeczności z niepokonalnym wstrętem, jaki Persowie od tego żywiołu czują. W ogólności, oba te narody nie zdają się mieć nic więcej z sobą wspólnego nad siedzibę. Wyruszeni nadzieją korzyści ze swoich wyniosłych płaszczyzn z głębi kraju, zachowują Persowie całą giętkość tak właściwą ich ojczyźnie, i spoglądają z pogardą na nieokrzesane i barbarzyńskie obyczaje masy ludu w większej części z Arabów złożonej, która bez wątpienia tak co do powierzchowności jak i co do sposobu myślenia, zaledwie roz-

poznana być może od téj części rodu swego która na przeciwnym brzegu odnogi Perskiej przemieszkuje.

Następujący przykład posłuży do wystawienia w mocnym świetle przeciwnego charakteru spolsztwa u obu tych ludów. Ambassador przysposobił pewnego poranku polowanie, na którym piękna angielska charcica *Wenus* zwana, z chartem arabskim, nazwanym *Kessaba* (Rzeźnik) o zakład biegać miała. Ambassador życzył sobie oczywiście, aby jego charcica odniosła zwycięstwo; Mahomed Beg, perski kuczer, zapewniał o tem pana swego. »Jakżeby zaś miał ten arabski pies, z piękną charcicą Elkiha (*) się mierzyć!« zawołał on, i wielu powtórzyło to wykrzyknienie. Gheriba, Arab, który zaledwie trzy talary zasług brał na miesiąc, i za to przez cały dzień na skwarném słońcu poléwać musiał urządzoną w cieniu ławkę z murawy, skoczył ze swego siedzenia z oczyma ogniem pałającemi i zawołał: »Przez Boga wszechmocnego, arabski pies zwycięży!« Gheriba był tutaj reprezentatem narodu swego. Persowie spoglądali na ambassadora, i nie mało zdziwieni zostali, kiedy ten nietylko zapał i męzką nieuległość biednego Araba ocenił, ale go nawet na polowanie zaprosił. Skończyło się ono jak zwykle; każda strona spierała się że jej pies był zwycięzcą, albo przynajmniej

(*) Persowie tak nazywają psa.

że być nim powinien. Wenus biegła nierównie szybciej; w tém trafiono młodą sarnę, polowanie się przeciągnęło, i *Rzeźnik* okazał się wytrwałszym. Ale kto ich oboje zwyciężył w biegu? — sarna.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI.

O Upiorach. Należałoby sadzić, że w tym wieku oświecenia, który przynajmniej tak nazywają, wiara nedorzeczna, szkodliwy zabobon, od tak dawna, przez tylu pisarzy i przez zdrowy rozsądek przytłumione, nie powinnyby mieć więcej stronników, ale to jest rzecz pewna, że prawda naga, mało ma powabów dla gminu, gdy przeciwnie, przesąd licznemi otoczony złudzeniami nie przestaje go uwodzić. Przywiązuje się on namiętnie do najśmieszniejszych systemów, wierzy najniorzeczniejszym bajkom, i oburza się częstokroć przeciwko tym, którzy usiłują zniszczyć jego niebezpieczne złudzenia. Pewien podróżny przytacza, że dotąd w Illirji, w jednej części Polski, w Węgrach i Turcji, ten coby chciał zaprzeczać bytu upiorów, uważany by był za bezbożnego i niemoralnego człowieka.

Dają jak wiadomo to nazwanie umarłemu, który wychodzi z grobu swego, dla dręczenia żyjących. Wysysa im krew; czasami chwyta za szyję, jak gdyby chciał ich dusić, a wszyscy ci, którzy zostaną zabici przez upiora, stają się nim także po śmierci.

Wszelkie przywiązanie, najświętsze związki, zdaje się, że są niczem dla upiorów, gdyż ścigają one bez różnicy swoich przyjaciół i krewnych. Pomiędzy osobami wierzącemi w upiory, utrzymują niektóre, że to jest kara, którą sam Bóg spuszcza na człowieka; drudzy, uważają ten wypadek za przypadkowe nieszczęście; inni jeszcze, a tych jest największa liczba, mniemają że to spółyka jedynie szymatyków i wyklętych, którzy pogrzebani zostali w ziemi świętej, ale nie mogąc tam znaleźć żadnego spoczynku, powracają aby męczyć żyjących. Charakterystyczne cechy upióra są: niepsucie się ciała, płynność krwi, giętkość członków; upiory w grobach swoich mają oczy zawsze otwarte, a paznokcie i włosy ciągle im rosną, jak gdyby w nich siły żywotne istniały etc. Upiór zaprzestaje swoich nocnych przechadzek, kiedy, po odgrzebaniu go, utną mu głowę i spalą jego ciało. Jedynym śladem rany dostrzeganej u tego kto był napastowany, jest mała plamka czerwona lub sina, podobna do znaku, jaki po sobie pijawki zostawiają.

Oto jest zdarzenie prawdziwe, mówi nasz podróżny, którego ja sam byłem świadkiem: Przedsięwziąłem był podróż pieszą do Worgoraz, i przepędziłem noc w małej wiosce Warboska. Mój gospodarz, bogaty i gościnnie Morlak, nazwiskiem Wak Roglonowicz, był wesołego charakteru, lubiący wino i swobodne życie. Zona jego była jeszcze piękna, a córka, około lat szesnastu dopiero mająca, miała bardzo odznaczające się rysy i wiele uprzejmości.

Wynurzyłem chęć przypędzenia kilku dni w tym domu, dla odrysowania niektórych starożytności, blisko tego miejsca będących. Dobrzy ci ludzie ustapili mi natychmiast pokoju, nie chcąc przyjąć za to żadnego pieniężnego wynagrodzenia; ale ta gościnność ślachtetna włożyła na mnie obowiązek zostawania zawsze przy stole tak długo, jak się podobało przyjacielowi memu P. Roglonowiczowi, a ktokolwiek pił i jadł kiedy z Morlakiem, może się domyślić, ile mnie ten obowiązek kosztował. Pewnego wieczora, kiedy obie kobiety już od godziny nas opuściły, i kiedy, dla wstrzymania się od picia, zabawiałem mego gospodarza rozmaitemi piosnkami, przeraźliwy krzyk rozlegający się w sypialnym pokoju, nagle nas przestraszył. Skoczyliśmy natychmiast do naszych broni, i w chwili, kiedyśmy drzwi otworzyli, nader okropny widok nas uderzył. Matka blada z rozczochranemi włosami, trzymała w swoich rękach omdlałą córkę i powtarzała rozdzierającym głosem:

„Upior, upior! moja biedna córka już nie żyje!” wkrótce jednakże zdołaliśmy ocucić nieszczęśliwą Rawę (tak się nazywała córka), i wtedy opowiedziała nam, że widziała człowieka bladego, odzianego płótnem, wchodzącego przez okno, że ten człowiek rzucił się na nią, kąsał ją i prawie dusił; dodała, że zdawało się jój poznać w nim mieszkańca z tejże wioski, który się nazywał Wircznany, a który przed piętnastu dniami był umarł. Miała ona na szyi plamkę czerwoną, ale nie wiem, czy to była plama na-

turalna, czyli też od zakłucia jakiego owadu. Gdy się odważył przełożyć mój domysł, ojciec odrzucił go z gniewem, a matka nazwała mnie niedowiarkiem, zapewniając, że sama na własne oczy widziała upiora i że w nim poznała doskonale Wircznanego; musiałem zatem zachować milczenie. Tymczasem piękna Rawa poddawała się gwałtownej rozpaczce; załamywała ręce, krzycząc ustawicznie: „Trzebaż, iżbym umarła tak młodą, i niedoczekawszy się męża!” Zgromadzono natychmiast wszystkie amulety, jakie tylko we wsi znaleźć można było i pozawieszano je na szyi chorej. Ojciec poprzysiągł, że nazajutrz rano, każe odkopać trupa Wircznanego, i spalić go w obec wszystkich jego krewnych. Przez całą noc panowało największe poruszenie i nic nie mogło przywrócić pokoju w duszy nieszczęśliwych rodziców.

Skoro tylko świtać zaczęło, cała wieś była w ruchu. Mężczyźni uzbrojeni byli w fuzje i siekiery, kobiety niosły narzędzia kuchenne rozpalane w ogniu, dzieci nawet miały w reku kamienie i kije. Udano się tłumnie na cmentarz, wyrzekając złorzeczenia przeciwko zmarłemu, i ledwie z wielką trudnością zdołałem przedrzeć się przez ciżbę, aby się zbliżyć do dołu. Odgrzebywanie trwało długo, ponieważ wszyscy chcieli do niego należeć; nieład ten byłby bez wątpienia przyczyną jakiego wypadku, gdyby dwaj z pomiędzy starszych wioski nie wdali się byli, i nie wyjednali, iżby dwaj tylko ludzie przeznaczeni zostali do odgrzebania ciała. W chwili,

kiedy zerwano z trupa prześcieradło, kobieta jakaś obok mnie stojąca, wydała krzyk tak okropny, iż mi włosy powstały na głowie. „To upiór! zawołała, „robaki go jeszcze nie tknęły!” tysiąc głosów powtórzyło razem te słowa, i dwadzieścia wystrzałów strzaskało głowę nieboszczyka, a następnie ojciec i matka Rawy pocięli ciało długimi nożami; nakoniec młodzież przywiązała reszty trupa do pnia sosnowego, i zaniósła je na stós naprzeciw domu Roglonowicza wzniesiony. Zapalono stós, i ciało spłonęło pośród tańców i okrzyków gminu. Nieznośny smród zmusił mię wkrótce do oddalenia się, i wróciłem do domu gospodarza mego, w którym zastałem pełno mieszkańców płci obojej; mężczyźni kurzyli tytun, a kobiety wrzeszczały wszystkie razem i zadawały tysiączne pytania biednej chorej, która ciągle blada i osłabiona, zaledwie odpowiadać im mogła, Szyję obwinętą miała chustami we krwi maczanemi, których barwa przedstawiała dziwną i przerażającą sprzeczność z białemi i do pół obnażonemi ramionami biednej Rawy. W krótko jednakże powynosili się wszyscy, i ja sam tylko obcy zostałem z mieszkańcami domu.

Choroba była długa. Rawa lękała się bardzo nadchodzącej nocy, i zawsze prosiła aby kto przy niej czuwał. Ponieważ rodzice, utrudzeni dzienną pracą, nie mogli już znieść tego nieustannego czuwania, prosiłem więc abym ja mógł jej pilnować, co przyjęto z wdzięcznością. Nie zapomnę nigdy nocy przepędzonych na czuwaniu przy tej biednej dziewczyny-

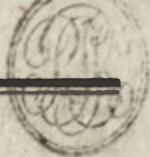
nie; za najmniejszym szelestem, najmniejszym wiatru powiewem, drżała ona z przestachu. Jeśli na chwilę zasnęła, okropne ściagały ją marzenia senne, i przebudzała się częstokroć wydając krzyk przeraźliwy. Kiedy czuła że sen sklejać zaczynał jej powieki, mówiła do mnie: „Błagam cię, nie zasypiaj; weź w jedną rękę różaniec, w drugą ten nóż długi, i czuwaj nademną!” Nieraz znowu nie chciała zasnąć inaczej, jak trzymając mnie za rękę. Nic w niej nie mogło rozpędzić tych czarnych myśli jakie ją ciągle dręczyły. Lękała się ona niezmiernie śmierci, i uważała się za zgubioną, pomimo wszelkiej pociechy jaką jej udzielać nie przestawano. Po kilkunastu dniach mocno schudła, usta jej zbieleły, a czarne duże oczy nabrały szczególniejszego blasku; nie mogłem spojrzeć na nią bez mimowolnego zadrżenia. Usiłowałem działać korzystnie na jej wyobraźnię, zdając się wchodzić w jej myśli, ale nieszczyściem, straciłem zaufanie, żartując początkowo z jej łatwości. Nie powiodło mi się więc staranie, abym przed nią za czarnozięznika mógł uchodzić, co jedynie mogłoby ją uratować; przeciwnie, od téj chwili, stan jej coraz gorszym być zaczynał. W wigilię zgonu swego, rzekła do mnie: „Umieram zwłaszcza winy. Młodzieniec pewien, (wymieniła mi nazwisko jego) chciał mnie wykraść (*), ale odrzuciłam jego prośbę, żądając aby mi pierwszej przyniósł srebrny łańcuszek. Udał się on do *Marekta*, chcąc go tam kupić, a przez ten czas wpadł tutaj upiór; ale przydała, gdyby mnie w domu nie było, byłby może zabił matkę moją, a tak lepiej się stało.” Nazajutrz, przyzwala ojca, i prosiła aby jej przyrzekł, że sam jej utnie głowę po śmierci, aby się nie stała upiorem. Uściskała następnie matkę swoją i prosiła jej aby poszła poświęcić wieniec różany na grobie je-

(*) Większa część małżeństw u Morlaków tym sposobem się kojarzy.

dnego z świętych opodal od wioski, i aby jej go nazad przyniosła. Uwielbiałem delikatność uczuć tej dziewczyny, która w tem nie miała innego celu jak tylko, aby oddalić matkę i oszczędzić jej okropnego widoku śmierci którą przeczuwała. Przyjęła następnie sakramenta z wielką spokojnością. Po dwóch lub trzech godzinach oddech jej stał się trudniejszy, i oczy były nieruchome. Nagle uchwyciła za rękę ojca swego, jak gdyby chcąc się do niego przytulić; — i żyć przestała. — Choroba jej trwała ze wszystkiemi jedenaście dni. — Jakiż okropny skutek zabobonu!..... W kilka godzin po jej śmierci opuściłem to smutne miejsce.

NOWE DZIELA.

Nouveau Plan de Paris — Nowy plan Paryża podzielony na 12 okręgów — przez V. B. w Paryżu 1828 — cena 6 fr. w miejscu. Do koła ozdobiony jest widokami znakomitszych gmachów Paryża — bez tej ozdoby kosztuje 2 fr. 50 c. (w miejscu.) — *Collection des voyages etc.* — Zbiór podróży i odkryć uskuteczionych przez Hiszpanów od końca XV. wieku. — Przekład z hiszpańskiego języka na francuzki wyjdzie w Paryżu 1828 w 3 Tomach in 8; uskutecziony jest przez PP. Verneuil i de la Roque-tte, a pomnożony przypisami PP. Abel Rémusat, Adrijana Balbi, Barona Cuvier, Jomar, Labourderie, Letronne, de Rossel, Saint Martin, Walkenaer etc. Tom 1 już wyszedł i zawiera *Opis czterech podróży przewidzianych przez Krzysztofa Kolumba*, z przydaniem rozmaitych listów i innych rzeczy niewydanych dotąd, wyjętych z archiwum królestwa hiszpańskiego.



K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^o 23.

Z PIERWSZEJ POŁOWY GRUDNIA 1828 ROKU.

XII.

WIADOMOŚĆ O PODRÓŻACH i ODKRY-
CIACH, JAKIE w AFRYCE DOTĄD USKU-
TECZNIONE ZOSTAŁY.

Wiele dzienników mianowicie francuzkich o-
głosiło w rozmaitych artykułach, nieurzędowe
wiadomości o podróżnych zajętych odkryciami w
Afrycy; artykuły te powtórzone były przez dzien-
niki angielskie, aż nakoniec dziennik *Quarterly
Review*, umieścił w tym przedmiocie obszerną
wiadomość, którą tu w skróceniu zamieszczamy.

»Nie można już niestety, mówi rzeczony dzien-
nik, powątpiewać o tém, iż większa część wspo-
mnionych podróżnych padła ofiarą morderczego
klimatu; a oprócz PP. Lainga i Dicksona, o
których nie wiemy pewnego, mamy wiado-

mości prawie niezawodne o zawczesnym i opłakany zgonie wszystkich innych wędrowców. Co do wiadomości, jakie nas o dwóch pierwszych doszły, te są rozmaite i często sprzeczne pomiędzy sobą. Przypomnieć sobie należy, iż major Gordon Laing postanowił dobrowolnie przedsięwziąć sam jeden podróż z Trypolis do Tombuctu, aby ztamtąd udać się w kierunku Nigru, aż do źródeł tej rzeki. Przybywszy do Trypolis 9 maja 1825, po doznaniu opóźnień na jakie zwykle naraża przyłączenie się do Maurów lub Arabów, opuścił to miasto 17 lipca, w towarzystwie Szeika Babani, który przez lat 22 mieszkał w Tombuctu, i miał tam nawet żonę i dzieci. Zobowiązał on się zaprowadzić tam P. Laing w półtrzecia miesiąca, i miał go poruczyć Marabutowi Muktar, który miał znowu podróżnemu ułatwić dalsze w przedsięwzięciu postępowanie. Podług zdania konsula angielskiego w Trypolis, Babani był powszechnie szanowany i uważany za poczciwego człowieka, a w listach swoich major Laing, oddawał mu największe pochwały.

Ponieważ zbuntowanie się jednego z naczelników Bashawu niepewną czyniło podróż przez góry *Garjańskie*, karawana udała się na *Beneoleed*, przybyła do *Shate* 21 sierpnia, a 13 września do *Gadamis*, przebiegłszy przeszło 180 mil kraju. Laing pisał ztamtąd, iż długa ta podróż, upały, ruch wielbłądów popsuky wszystkie narzędzia jego. Barometr się stłukł, hygrometr stał się nie

użytecznym z powodu ulotnienia się eteru, termometryczne rurki z słońowej kości zepsute miały wyziary, zwierciadło sztucznego horyzontu pozacierało się przez ciągłe tarcie o piasek, który wszędzie się przecisnął; nakoniec chronometr się zatrzymał, a na domiar nieszczęścia, wielbłąd nastąpił na fuzję P. Laing i strząsał jej osadę.

Termomert podnosił się w stepach do 150° wśród dnia, a na dwie godziny przed wschodem słońca stał na $75^{\circ} 68'$ a niekiedy na 62° . Przytem uważał P. Laing, iż ziemia okryta była warstwą cienką saletry, jak to zdarza się we wszystkich stepach afrykańskich, od Trypolis aż do Przylądka dobrej nadziei.

Dopiero za przybyciem do Gadamis dowiedział się Laing, że Babani był rządcą miasta tego. Uważał on go za człowieka poczciwego, charakteru łagodnego i spokojnego, inniemiał jednak, iż w potrzebie zdolny był okazać sprężystość, nigdy zaś nie domyślał się, iżby towarzysz jego mógł być tak znakomitą osobą. Szeik umieścił go w jednym z swych domów, i wziął na siebie zaopatrywanie żywnością wielbłądów, które niosły bagaże majora.

Gadamis leżące między $30^{\circ} 7'$ szer. półn. a $96^{\circ} 16'$ dług. wsch., jest miastem mającym 4 lub 5 mil rozległości, wraz z ogrodami. Otoczone jest murem ziemnym. Temperatura jest tam niekiedy tak zienna, iż zdarzało się że termometr. (Fa-

hrenheita) spadał na 43°. Staw w środku miasta leżący dostarcza obficie wody na potrzeby mieszkańców, i na skrapianie ogrodów. Ludność z 7 lub 8 tysięcy złożona, żyje z handlu i opłaca roczny haracz *Tuarykom* z pustyni Sahara, którzy za to zobowiązują się szanować ich koffile (karawanny), kiedy te udają się do Sudanu, lub ztamtąd powracają.

Podróżni nasi opuścili Gadamis 27 października, i przybyli 3 grudnia do *Ensala*, leżącego między 27° 11' szer. półn. a 2° 15' dług. wsch. blisko północnej granicy prowincji Tuat, należącej do Tuaryków. Odległość miasta tego od Tombuctu wynosić ma około 35 dni drogi. Za zbliżeniem się podróżnych do miasta *Ensala*, kilka tysięcy mieszkańców rozmaitego wieku i płci obojej wyszło na ich spotkanie i okazali im wiele dowodów i przychylności gościnności. Wywzajemniając im to P. Laing słuchał opowiadania ich nieszczęść, i udzielał im rozmaitych lekarstw.

D. 10 stycznia 1826, koffila opuściła to miasto, a 26 tegoż miesiąca dostała się na jałowe stepy Tenezarof. Listy które major z téj daty pisał, donosiły, że zdrowie jego nigdy nie było w lepszym stanie, i z uniesieniem mówił o spodziewanych owocach przedsięwzięcia swego. Przytaczał również z wielkim zapałem liczne przysługi jakie mu wyświadczył przyjaciel kapitana Lyon, Tuaryk Hattela. Przydawał nadto, iż Szeik

Babani nie przestawał czuwać nad nim, tak jak ojciec nad własnym dziecięciem.

Wszelako, w krótce po nadejściu tych depe- szów, rozeszła się pogłoska w Trypolis, iż koffi- la została napadniętą przez rabusiów, że służą- cy P. Laing zostali pozabijani, i że on sam był ciężko ranny. Przydawano nadto, iż się schro- nił do Marabuta Mooktara, który o 5 dni od Tom- buctu mieszkał. Przez czas jakiś nie chciano wcale wierzyć téj wiadomości; lecz 26 września, córka angielskiego konsula w Trypolis, którą ma- jor poślubił był w krótce przed odjazdem swo- im, odebrała od niego list dotyczący lekko i o- gólnie tego wypadku: »Korzystam, mówił on, z odjazdu tego Tuaryka, i donoszę ci, iż już wy- szedłem z słałości jakiej doznałem przy wyjez- dzie z Tuat: jeśli Bóg pozwoli, będę w Tombu- ctu prędzej niż w dniach dwudziestu, a we dwa miesiące potem, spodziewam się dostać do jakie- go miéjsca nadbrzeżnego. Doznałem wielu przy- krości od Tuaryków, którzy wcale nie są naszymi przyjaciółmi, jak może mniemasz: liczba po- podobnych do Hattela jest bardzo mała. Za przy- byciem do miasta Tombuctu, opiszę ci obszernie szczegóły podróży swojej. Wybacz mi, że nie więcej nie donoszę ci w téj chwili, piszę bo- wiem w drodze, wystawiony na skwar słone- czny, i tylko dwóch palców używać mogę z po- wodu rany którą odebrałem w prawą rękę.«

Być może iż wspomniał umyślnie lekko o téj

ranie, dla zaspokojenia obawy, którąby wzbudzić mogły w małżonce jego doniesienia jakieby ją doszły. Około połowy puździernika, dowiedziano się, że major przybył do Marabuta Mooktar, lecz mówiono zarazem iż jego słuźący izraelita i murzyn zostali zabici w czasie napadu Tuaryków. Część jedną téj wiadomości sprawdził w krótcie majora słuźący Arab, który przywiózł jego listy, datowane z Azoad Igo i 10go lipca.

»Zatrzymałem się tutaj, mówi on w pierwszym liście, dla udzielania lekarstw chorym dotkniętym zarazliwą febrą, która już połowę ludności sprzątnęła. Sidi Mooktar zachorował na nią również, i umarł. Zastąpiłem i ja sam nawet pilnując go w chorobie, i przez dni dziewięć zostawałem między życiem i śmiercią, opuszczony i bez wszelkiej pomocy, ponieważ biedny Jakób (*) również zachorował, a majtek, będący jedyną pomocą jaka nam pozostała, w niczym ani mnie ani innym nie pomógł. Zgubiłem nakoniec febrę puszczeniem krwi i kalomelem, ale Jakób oddał ducha 21 z. m., a majtek dotknięty również tą okropną zarazą, trzeciego dnia jej uległ; tak iż z całej missji sam jeden przy życiu pozostałem. Stratę Morabuta Mooktara uczułem bardzo mocno; zajmował się on troskliwie mojem położeniem, i przyrzekł mnie doprowa-

(*) Tak się nazywał murzyn którego Laing wolnością udarował.

dzić do Nooshi i na powrót. Z przykrością wi-
dząc, iż nowy szeik nie ma ani chęci ani możno-
ści dopełnienia przyrzeczeń ojca swego.«

W końcu listu jednakże nadmieniał major, iż
otrzymał pozwolenie odbywania dalszej podró-
ży aż do Tombuctu, lecz że ją tam zakończy,
ponieważ nie ma wielbłąda któryby mógł nieść
go dalej. Nie wspomniał nic o napadzie Tuary-
ków, ale w liście z 10 lipca pisał: »zdrowie moje
bardzo szybko się polepsza; doznaję jednakże gwał-
townych boleści w głowie; są one zapewne sku-
tkiem ran moich,« na koniec przydawał, iż nie
mógł długo pisać, ponieważ cierpiał na rękę.
Oto są wiadomości przez Araba Hamet przynie-
sione.

»Opuściwszy Tuat, odbywaliśmy, mówił on,
po dwadzieścia mil drogi na dzień, a niekiedy
nawet przyspieszaliśmy pochód, kiedy nie było
przez długi czas wody. Jedenastego dnia podró-
ży naszej, przyciągnęła do nas banda Tuaryków,
siedzących na maherrisach i uzbrojonych strzelba-
mi, pałaszami i pistoletami. Kiedy szóstego
dnia koffila dostała się na miejsce zwane Wały-
Ahennet, Tuarykowie uderzyli niespodzianie na
innych podróżnych, których liczba dochodziła
do czterdziestu pięciu, otoczyli namiot majora,
pocięli płótno i sznury, zastali go na łożku i
wypalili do niego z pistoletu, a zanim miał czas
za broń uchwycić, został wywrócony na ziemię
uderzeniem pałasza, otrzymawszy szeroką ranę

w udo. Przez ten czas Babani i ludzie jego byli spokojnymi świadkami téj sceny. Zbójcy nie napastowali ich weale. Wszelako naczelnik ten zaczął czynić przełożenia Tuarykom, i udał się do mieszkającego w pobliskości Marabuta, który przyrzekł im, że Tuarykowie nie będą już więcej napastować reszty karawany.«

Postępowanie Babaniego w tém zdarzeniu, rzucało na niego bez wątpienia podejrzenie, i zdaje się że major podobnież w tym względzie myślał, lubo nie o tém w liście nie wspomina. Jeśli można zaufać powieści Araba, dnia poprzedzającego ten napad, major wystrzelił do kawki a gdy chciał broń na nowo nabijać, Babani zrobił uwagę, iż to było niepotrzebnem, ponieważ nie mieli się czego więcej obawiać. Tegoż samego dnia odjął on Arabowi i Negrowi ich ładownice i worczki z prochem, i oddał je jednemu z Tuaryków. Pomimo tego major nie okazał żadnego podejrzenia, i nie polecił nawet Hametowi aby doniósł o tych okolicznościach; wyrzucił jednakże Babanieniu, iż oddał Tuarykowi proch i ładownice.

Ponieważ listy z Azoad są ostatnie jakie odebrano od majora, powieść Araba o następnych wypadkach tém więcej nabiera ważności. »Ciężkie rany majora, mówił Hamet, zniewoliły go do pozostania przez dni kilka w tyle karawany, a jego Jakób i jeden z ludzi Babaniego pozostali dla doglądania go w chorobie. Złączyliśmy się

z koffilą przy źródle, gdzie czterdzieści osiem godzin spoczywała. Podróżowaliśmy następnie przez dziewiętnaście dni po stepach, nim przybyliśmy do Mooktara. Marabut przyjął nas z wielką dobrocią i dostarczył nam ryżu, całego wotłu, oraz innych żywności, przyrzekając odprowadzić nas dokądkolwiekbyśmy żądali, i powrócić ztamtąd razem z nami. Koffila ruszyła w podróż po sześciu dniach do miejsca zwanego Arwan: ale Babani radził majorowi pozostać przy Mooktarze, dopóki zupełnego zdrowia nie odzyska, czego major usłuchał. W kilka dni potem Babani umarł na dyssenterję, a Mooktar rozkazał zamknąć izbę w której się znajdowały bagaże jego i majora, dopóki jego synowiec, po którego posłał, nie przybył z Tombuctu; tym sposobem major był zniewolony do opóźnienia odjazdu, aż do przybycia tego człowieka, który na siebie długo czekać pozwolił. Przybywszy i zatławiwszy się względem spadku po stryju swoim, ofiarował majorowi zawieść go z sobą do Tombuctu. Mooktar odpowiedział, że osoba podróżnego zbyt mu była drogą, aby go miał dozwolić wystawiać na nowe niebezpieczeństwa, i że sam go tam zaprowadzi. Ale w krótko powstała zaraźliwa febra i Szeik umarł na nią. Następca jego proponował majorowi, iż go zawiedzie do Tombuctu i napowrót za 1000 dolarów. Zezwolił na to major, mówiąc, iż lubo nie miał pieniędzy do zapłacenia, wynagrodzi to je-

dnak wartością rzeczy które mu jeszcze pozostały, i w 15 dni po wystaniu mnie miał się udać w zamierzoną drogę.«

Zdaje się że napad Tuaryków i śmierć towarzyszków Araba, przeraziły go i skłoniły do powrócenia do Trypolis z pierwszą wydarzoną kofilą.

»Zaledwem zaczął odzyskiwać zdrowie, pisał P. Laing, i nawet ciała biednego Jakóba i majtka znajdowały się jeszcze przy mnie, kiedy ten człowiek (Hamet), zapominając najprostszyc ludzkości obowiązków, oświadczył mi że chce z kofilą powrócić do Tuat. Zezwoliłem na to: i w istocie nie mogę naganiać tych co się chcą uchronić niepomyślnych wypadków. Proszę cię więc usilnie abyś mu dalej iść pozwoliła. Dałem mu jednego maherri i żywności, żeby sobie jak sułtan podróżował.«

Arab miał również list od Mooktara do Bas-hawa trypolitańskiego, donoszący o napadzie zbójców, o śmierci Babanicgo, oraz służących majora i o jego chorobie. Konsul angielski, nie odbierając żadnej wiadomości od podróżnego, udał się do Paszy, aby ten wysłał kurjerów we wszystkich kierunkach, dla otrzymania objaśnień o osobie zięcia jego. Wysłany do Gadamis, przywiózł 20 lutego 1817 listy do Paszy i konsula, donoszące, iż Tuaryk pewien widział jednego z synów Mooktara w Tuat, i że ten mu powiedział, iż major Laing znajdował się w Tombu-

ctu i był w dobrém zdrowiu. Dla zaspokojenia obawy konsula, Pasza udzielił mu kopji sześciu listów, które pisał do rozmaitych osób w tym przedmiocie. D. 31 marca minister Paszy, okazał konsulowi niektóre odpowiedzi jakie pan jego odebrał. Zawierały one wiadomość, iż chrześcijanin przybyły do Tombuctu z synem Mooktara, został zamordowany; że kiedy Fellatasowie opanowali Tombuctu, żądali aby chrześcijanin został oddalony, zagrażając zrabowaniem miasta w przeciwnym razie; że mieszkańcy ułatwili w ówczas jego ucieczkę, i dali mu przewodnika, który go doprowadzić miał do Barbaroa; lecz Fellatasowie dowiedziawszy się o tem dogonili go i zabili. Też samą prawie powieść powtarzali wszyscy mniemani korrespondenci Paszy, i na tój to zasadzie dziennik paryzki *Gwiazda* umieścił długi artykuł, który następnie inne pisma przedrukowały.

Wszelako niektóre okoliczności wzbudziły w P. Warrington podejrzenie, że Pasza go zwodził, i że zmyślił tę powieść zgodnie z niektórymi z poddanych swoich, dla otrzymania od rządu angielskiego zapłaty za doprowadzenie bezpieczne majora Lainga, tak jak otrzymał za PP. Oudney, Clapperton i Denham. Podejrzenie to stwierdziły doniesienia niektórych kupców z Tuat przybyłych do Murzuk, którzy powiadali, że podróżny angielski zostawał wolny i w dobrém zdrowiu w Tombuctu. Osoby składające kossilę,

przybyłą z Gadamis d. 18 lipca, zaprzeczały również iżby Laing miał być zabitym, i utrzymywały że wiadomość ta jest bezzasadną.

Dziennik francuzki nie przestał wszelako powtarzać opisu zamordowania majora, przydając nowe szczegóły, które miał posiadać jak twierdził od ministra Paszy Trypolitańskiego. Przeczytawszy artykuł ten P. Warrington, prosił Paszy, aby zapytał się w tym przedmiocie ministra swego, a ten zaprzysiągł, że nic podobnego nigdy nie powiedział, i że nawet nie wierzył nigdy tym smutnym wiadomościom jakie się rozeszły w Trypolis.

Tymczasem, na żądanie konsula, który trwał w mniemaniu iż Pasza lub minister jego nie postępowali z dobrą wiarą w tém zdarzeniu, i że przeszkadzali dojściu jakiegokolwiek wiadomości o majorze, naczelny dowódzca eskadry na srodziemnem morzu wysłał do Trypolis okręt, z oznajmieniem Paszy, iż ponieważ major Laing przedsięwziął podróż za jego zezwoleniem i pod jego zastoną, przeto na niego spadała odpowiedzialność wszelka za jego życie, lub przynajmniej, że powinien uwiadomić z jakiego by przypadku zginął podróżny, i postarać się o zwrot jego rzeczy i papierów. Zdawało się iż zagrożenie to osiągnęło żądany skutek, ponieważ konsul pisał d. 20 listopada 1827, iż Jego Wys. wysłał dwie osoby do Tombuctu, dla przekonania się na miejscu o wszystkich szczegółach dotyczących Lain-

ga, dla udzielenia mu pomocy gdyby jej potrzebowwał; lub gdyby nie żył, jak twierdzono, dla odebrania papierów i rzeczy jego. Rezultat tej misji nie jest jeszcze wiadomy. Tymczasem dzienniki nie przestają donosić smutnych szczegółów o losie majora. Co do nas, nie widzimy innej pobudki do przypuszczenia smutnego wypadku, jak długie milczenie majora, i tę okoliczność iż już dawno żadnych nie żądał wexłów od teścia swego; lecz dwie te okoliczności nie są jeszcze same stanowczemi. Nie ma już teraz wątpliwości o napadzie Fellatasów i zdobyciu Tombuctu; ale o śmierci Lainga donosiły tylko listy które minister Paszy miał odebrać. Jedna z osób zapytywanych przez konsula powiedziała, iż za ich wejściem do miasta, major odebrał rozkaz opuszczenia go, a Szeik Habeek powiadał toż samo, przydając nadto, iż zamiarem Lainga było naprzód udać się do Tuat, lecz że następnie postanowił puścić się aż do Bambatra w towarzystwie jednej tylko osoby, i że miał jak mówiono przybyć do Sansanding nad brzegami Nigru. Opowiadanie osoby trzeciej, to jest Abdulaha Benhahi, zgadzało się z tem co dwie pierwsze mówiły. Twierdził on, iż kiedy opuścił Tombuctu wczorweu, jeszcze tam major się znajdował. Jeśli wiadomość którą tu przytoczymy jest prawdziwą, wyjaśni ona dla czego major nie zgłaszał się o pieniądze.

Konsul angielski w Tangierze, P. Douglas

będąc w Anglii, odebrał d. 20 września 1827 list bez daty od naczelnego ajenta handlowego cesarza Maroku, w którym donosił mu tenże, iż gdy minister cesarza pytał się pewnego naczelnika przybywającego z Tombuctu, o wiadomości względem przyjaciela swego, któremu posłał 980 liwrów dla pewnego chrześcijanina (Belzoni), naczelnik ów odpowiedział iż chrześcijanin ten przybył i pieniądze mu oddano; że podróżny tenże przepędził czas jakiś w Tombuctu, na zdejmowaniu planów i zbieraniu wiadomości, poczem udał się z karawaną Arawańską, i że niedługo rozeszła się pogłoska w Tombuctu, iż został zabity przez ludzi z karawany, których ściągnął na siebie podejrzenie, zdejmując plany wszędzie którędy tylko przechodził.

Teraz zupełnie już jest pewną rzeczą, iż Belzoni wysłał za pośrednictwem ministra marokańskiego 200 liwrów do Tombuctu; a jeśli prawda że Laing otrzymał te pieniądze, pokwitowanie z nich które miało być przesłane ministrowi, będzie mogło objaśnić tajemnicę losu tego wędrownika; ale wiadomość ta nie zasługuje na większą wiarę od innych, ponieważ wiadomo jest, iż Arab, równie jak Maur, nigdy nie opowiada żeby nie przydał coś zmyślonego.

Co do podejrzenia względem intrygi w celu przejmowania wiadomości i rozgłaszania okropanych doniesień, Trypolis jest miejscem bardzo stosownym do wykonania podobnego projektu.

Koffile z Sudanu i Bornu przejeżdżają wszystkie przez Gadamis i Murzuk, leżące na dwóch najdalszych krańcach kraju Paszy; a ten w każdym z tych miast utrzymuje sekretnych agentów. Kiedy P. Warrington dowiedział się o zamiarze P. Clapperton, udania się z Saccatu do Bornu, napisał do Szeika tego ostatniego miejsca, zawiadamiając go o tem. Szeik odpowiedział, iż miło mu będzie widzieć podróżnego tego, i że wszelkimi środkami jakie od niego zawisły, będzie dopomagał spełnieniu zamiarów jego. Od tego czasu Konsul pisał kilkakrotnie, żadnej nie otrzymawszy odpowiedzi, ponieważ jak twierdził człowiek z Trypolis, którego P. Tyrwhitt wziął do służby, Mukni, rządcą Murzuku, nienawidzący chrześcijan, zatrzymywał wszelkie listy P. Warrington do Elkami, i Szeika tego do Konsula. Wiadomo nadto z pewnością, iż z Trypolis pisało list do tego naczelnika, w którym wyrażono: »że dawniej Mahometanie uważali go za prawdziwego Marabuta, za człowieka nieskazitelnego; lecz że teraz inaczej o nim trzymają; nie dziw nawet że Bóg odmawiał deszczu krajowi jego, kiedy on okazywał się przychylnym tym psonom chrześcijanom.« Szeik odpowiedział, iż dopóki chrześcijanie płacie będą za przedmioty jakich im dostarcza, i dobrze z nim postępować nie przestaną, nie odmówi im obowiązków gościnności; że z resztą, gdyby mu kara niebios z tego powodu miała zagrażać, dziwną jest rzeczą dla cze-

go Bóg nie ukarał dotąd ludu Trypolitańskiego, który pozwalał przebywać między sobą mnóstwu chrześcijan. Pasza odebrał później mocne wyrzuty za te gorszące postęпки; przerażony więc tem, wszystkiego zaprzec się postanowił.

Część dziennika Lainga która przybyła do Biura osad, kończy się na wyjeździe jego z Ensala; lecz jeśli, o czém nie wątpimy, dostał się aż do Tombuctu, postrzeżenia jego nad miastem którego jeszcze żaden Europejczyk przed nim nie zwiedził, będą nader zajmujące i ważne. Można wnosić, iż Tombuctu jest tylko nagromadzeniem domów glinianych; lecz ponieważ jest to właśnie miejsce wielkich jarmarków centralnych Sudanu, i że prócz tego ma leżeć, jak się domyślają, w sąsiedztwie sławnej rzeki, pragnęby należało, aby dalszy ciąg dziennika tego nie został ztracony.

Co do innych podróżnych, PP. Clapperton, Pearce, Morrison i Dickson, okręt królewski *Brazen* wysadził na ląd trzech pierwszych dnia 28 listopada 1825 do Badagry, w odnodze Benińskiej leżącej, wysadziwszy P. Dickson stosownie do jego żądania na wybrzeże Wydah. Król Badagry przyrzekł podróżnym angielskim pomoc i protekcję, tak daleko jak wpływ jego się rozciągał, to jest aż do Jannah, niedaleko granic Królestwa Ilio albo Eycó, pod 6° 56' szer. pół. tegoż południka co Lagos. Przebiegli tę część kraju pieszo, i dotarli do Jannah 18 grudnia; ale

ten pochód przedłużony przez gęste i wilgotne lasy miał szkodliwy wpływ na zdrowie podróżnych. Kapitan Pearce umarł 24 grudnia po krótkiej chorobie. — W kilka dni później, Dr. Morisson zachorował również, i postanowił podług zdania Clappertona powrócić ku wybrzeżu, dokąd kupiec pewien P. Hutson, który ofiarował się towarzyszyć im aż do Katunga, chciał dla jego towarzysztwa powrócić; lecz zaledwie dostali się do Jannah, doktor pożegnał się z tym światem. P. Hutson oddawszy mu ostatnią przysługę, doścignął Clappertona. Odległość przedzielająca Jannah od Katungi, stolicy Juribo, ma wynosić jak mówią 33 dni. Podróźni nasi udali się następnie ku temu ostatniemu miastu, przez gorzystą lecz zyzną okolicę, w romantycznem położeniu, powszechnie uprawną i okrytą miastami i wsiami, których mieszkańcy przyjmowali ich z życzliwością, kiedy tymczasem naczelnicy udzielali im gościnności i okazywali wszelkie względy. Zdaje się iż kraina ta nie musi być wcale zamieszkała przez Mahometanów.

D. 27 lutego 1826, Clapperton pisał z Katungi; miał on zamiar udać się z tamąd do Saccatu przez kraj Yuri, chcąc tam prosić sułtana Bello, aby go kazał odprowadzić do Tombuctu, z kąd dostałby się do Adamowy, a nakoniec do Bornu okrążając jezioro Tsad. P. Hutson, który powrócił sam na wybrzeże bez doznania najmniejszej przeszkody, opowiadał, iż 4 marca Clapper-

ton wyruszył z tego miasta w zamiarze przebycia kraju Borgho i dostania się do Yuri, i że przed opuszczeniem jeszcze Kattungi dowiedział się o przybyciu jego i o odjeździe do Yarro prowincji tegoż królestwa. Król wyszedł naprzeciw niemu na czele 5 lub 600 konnych, przyjął go uprzejmie, dostarczył obfitej żywności, i wszystkiego czego do podróży potrzebował. Clapperton miał udać się następnie do Wawy, odległej o 4 dni od Yarro.

Tymczasem P. Dickson, którego zostawiliśmy na wybrzeżu Wydah, spotkawszy szlachcica portugalskiego nazwiskiem Souza, który przez czas niejaki bawił w Abomey przy królu Dahomy, nakłonił go do powrócenia z nim do tego miasta, z kąd zamysłał dostać się do Saecatu. Dahomy przyjął ich najżyczliwiej i przyrzekł Panu Dickson pomoc i protekcję aż do Shar, miasta nad granicą królestwa jego o 22 dni od Abomey leżącego. Wyruszył Dickson z tego miasta 31 grudnia, w nadziei że stanie w Shar przed końcem stycznia, a kupiec pewien z wybrzeża nazwiskiem James, pisał z Wydah, że tam przybył w istocie, w bardzo dobrém zdrowiu, i udał się zaraz do Yuri, tylko o 5 dni od Saecatu leżącego. Przydawał nadto, o czém dowiedział się z pewnością, że Clapperton przybył do stolicy Fel-latasów, do swego dawnego przyjaciela Bello.

Ale tutaj kończą się wszelkie wiadomości, jakie można było otrzymać o losie tych podró-

żnych. Dwa lata upłynęły w tej niewiadomości, kiedy w lutym 1828 ujrzano przybywającego do Badagry służącego Clappertona i murzyna Pascoe, którzy od dziewięciu miesięcy opuścili Saccatu. Służący ten, który zdaje się być bardzo pojętny, opowiada, iż pan jego umarł na dysenterję w tym mieście 13 kwietnia 1827 po całomiesięcznej chorobie. Zdaje się iż Bello nie dotrzymał mu słowa we wszystkiém co mu przyrzekł; że zagarnął przemocą podarunki przeznaczone dla Szeika Bornu, i nawet otwierał listy do tegoż pisane. To postępowanie, tak odmiennie od tego jakiego oczekiwał Clapperton, mocno go zasmuciło, i jeśli dać mamy wiarę służącemu, przyspieszyło śmierć jego.

Tymczasem, nie bez pobudek, Bello zmienił postępowanie swoje. Przypomnijmy sobie, że Denham dał Szeikowi w Bornu kilkanaście rac kongrewskich, których ten użył w wojnie przeciw sułtanowi Bello, dla spalenia miasta jednego Fellatasów i przerażenia mieszkańców. Bello powiedział mu jeszcze, iż go ostrzegli ludzie godni wiary, aby się miał na ostrożności przeciw Anglikom, którzy dostaną się do jego królestwa, ponieważ ich celem było jedynie szpiegostwo.

Dziennik Clappertona z powszechném ukontentowaniem został przywieziony przez jego służącego. Zawiera on opisanie całej podróży jego z Badagry do Saccatu, przez góry Kung i o-

pisanie miast Katunga, Wawa, Berghoo, Boosa, (gdzie Mungo Park rozbił się i został zabity), Nyfe albo Noufe, Yuri i Kano. Oznacza położenie kilkuset miast, miasteczek lub wsi, i zapełnia tym sposobem przerwy jakie miały miejsce w jeografji środkowej Afryki północnej, od Trypolis aż do odnogi Benińskiej. Opis ten ma być pod prassą.

Co do P. Dickson, o którym nie nie była słyhać w Saccatu, równie jak i na wybrzeżu, obawiać się należy, czy również nie padł ofiarą zaraźliwego klimatu Afryki, lubo przyjaciele jego utrzymują zawsze że jeszcze powróci. Pomimo tych smutnych rezultatów, które zdaje się iż powinnyby odstręczyć od przedsięwzięć tego rodzaju, zapał do odkryć nie ostyga, i za każdą nową ofiarą która pada, nowi kandydaci spieszają natychmiast zapełnić próżnię jaka powstała. Do tych wszystkich o których wspominaliśmy, przydać jeszcze należy syna sławnego Mungo Parka, który wypłynął na okręcie Sybilla, aby udać się na wybrzeże, sam, pieszo, ku miejscu w którym zginął ojciec jego, dla otrzymania nowych szczegółów o okolicznościach jakie śmierci jego towarzyszyły. Opuściwszy Acra, dostał się do Yansong stolicy Acquimbo o 140 mil od wybrzeża, gdzie krajowcy obchodzili uroczystość Yam. (zob. Nr. 20 k. 111 Kolumba). Aby być świadkiem ich obrzędów religijnych nie będąc widzianym, ukrył się na świętem drzewie

(*fetich trec*), do którego krajowcy nie śnieli się zbliżyć, i zostawał tam przez kilka godzin wystawiony na upał słoneczny. Widziano go, jak mówią, pijącego wino palmowe. Spadł później z gałęzi jednej na ziemię i żalił się na gwałtowny ból w głowie. Wieczorem jeszcze napadła go gorączka, a we trzy dni umarł (31 października 1827).

Skoro tylko król Akitto dowiedział się o zgonie jego, rozkazał aby wszystko co po nim pozostało, przyniesiono do jego domu, i wysłał natchmiast posłańca do Acra, któremu kazał przysiąc *na głowę ojca*, iż spać nie będzie dopóki nie dopełni celu wystania swego, to jest nie zawiadomi rezydenta angielskiego o śmierci Parka, donosząc mu że wszystkie rzeczy tegoż zostaną mu przesłane, co ten wykonał z najściślejszą wiernością. Mungo - Park był to młody officer pełen zapału i energii, obiecujący najpiękniejsze nadzieje. Zdrowie jego było najwyborniejsze; lecz jak większa część współziomków jego, zbyt zaufał silnemu składowi ciała. Rozpuszczono także w owym czasie wieść, że został otruty; ale to podejrzenie najnniejszej nie ma gruntowności.

Spodziewamy się iż na przyszłość położony będzie kres ofiarom życia tak drogiego tylu osób, poświęcających je na rozpoznanie lądu, który, prawdę mówiąc, mało zawiera rzeczy godnych!

znajomości, ale który jest siedliskiem niewoli, widownią zbrodni i nędzy o których bez zadrżenia pomyśleć niepodobna, i który staje się grobem wszystkich Europejczyków co tam dostać się usiłowali; kraju nakoniec, w którym nieskończona liczba małych despotów prowadzi między sobą zażartą wojnę, w jedynym celu zagarnienia pierwotnych mieszkańców tej nieszczęsnej ziemi, aby ich wiecznej poświęcić niewoli. Płody handlowe tych krajów są małożnaczone; bo dwie trzecie części ziemi wewnątrz kraju są stepem jałowym, zaledwie zdolnym wyżywić rozbójnicze hordy które się w nim ukrywają. Odkrycie przez Mungo-Parka rzeki płynącej w kierunku przeciwnym temu jaki jej przypisywano w czasach nowszych, a którą mniemano być Nigrem starożytnych, nadało tej rzecce znakomitość, do której, jak się teraz zdaje, mało miała prawa, pod względem kierunku, szerokości i długości biegu. Podług wszelkiego podobieństwa, kierunek jej ku wschodowi nie przedłuża się za Tombuctu; a jeśli dosięga gdzie morza w odnodze Benińskiej, co jeszcze jest wątpliwem, długość całkowita jej biegu nie przechodziłaby 2,000 mil (ang.), kiedy tymczasem szerokość jej pod Noose wynosi zaledwie dwie trzecie części Tamizy, niedaleko mostu Westminsterskiego. Z resztą, pytanie to, czy wpada w odnogę Benińską, nie może być długo nierozwiązanem. Łatwe i częste komunikacje, które odbywać się będą z rzeka-

mi tej odnogi, za pomocą nowej osady Fernando-Po, zachęca zapewne którego z agentów handlowych do udania się pod wodę rzeki Benin, o 200 lub 300 mil za Gatto; i tym sposobem problemą będzie rozwiązane.

Clapperton sam jeden ma zasługę z dostania się w czasie dwóch kolejnych missji swoich, do samego serca Afryki północnej, z Trypolis do odnogi Benińskiej i od brzegów jeziora Tsad aż do Saccatu. Ziemie na wschód jeziora tego leżące były prawie zupełnie nieznane; ale Francuz pewien, nazwiskiem Linan, użyty przez Towarzystwo afrykańskie, dostał się płynąc pod wodę bardzo daleko powyżej Bahr-el-Abiad, i udał by się być dalej, gdyby zbyt mała woda rzeki w porze posuchy, nie była go zmusiła do zatrzymania się w miejscu gdzie rzeka ta rozlewa się na wielkiej przestrzeni ziemi, ponieważ źródło jego, też sama na której katarakty Nilu przebywał, zbyt wiele już nabierała wody. Być może także, iż wypłynął z głównej gałęzi, i nie mógł do niej nazad wypłynąć, lecz, cóżkolwiekby, wędrownik ten przypuszcza że ta rzeka wypływa z jeziora Tsad. Spodziewa on się wznowić badania swoje podróżując lądem, na wielbłądzie. Opisuje brzegi Bahr-el-Abiad, jako żyzne, dobrze uprawne i obfitujące w bydło. Nie wspomina wcale aby miał doznać przeszkód jakich ze strony krajowców. Jeśli mu się uda dostać aż do Tsad, i odkryć tym sposobem komunikację wodną z Ni-

lem, nie tylko oznaczyć będziemy mogli wiele położeń jeograficznych, ale poznamy nadto jeszcze to wszystko co może być godnem poznania w téj ziemi niewoli, chorób i śmierci.

XIII.

WYPIS z DZIENNIKA PODRÓŻY ODBYTEJ
w ROKU 1828, w celu zwiedzenia celniejszych
w Europie zakładów dobroczynnych i więzień,
przez Eustachego Marylskiego Mag.
Uniw. Warszawskiego.

(Dalszy ciąg.)

Droga przez miasta Dewenter, Zwoll, do osady ubogich w Frederiks-Oord i Omneschans — Wiadomość o tych osadach — Okolice miasta Dewenter — Miasto Arnhem — O więzieniu inkwizycyjnem tam będącem — Powrót do Nimegi — Podróż statkiem parowym do Rotterdamu.

Tą samą drogą którąśmy przyjechali do *Amsterdamu*, udaliśmy się aż do *Utrechtu*. — Minąwszy to miasto, zmienia się zupełnie okolica: zamiast tych zachwycających swoją pięknością ogrodów, ukazują się zewsząd smutne piaszczyste płaszczyny — Jedno z większych miast, było miasto *Dewenter*, położone na prawym brzegu rzeki *Isseli*, znać z swoich wyrobów żela-

znych, które są pożądane w całej Holandji i w Niemczech. — Tutaj zmuszeni byliśmy opuścić dyliżans, i odtąd doświadczałyśmy wszelkich nieprzyjemności podróży. Wystawiony na zdzierstwo Holendrów, którym przed innymi narodami należy się w tej mierze pierwszeństwo, podróżny mimo nadzwyczajnej drogości, nie znajduje żadnej wygody, a nadto często odbiera dowody niegrzeczności od tamecznych mieszkańców. —

O kilka godzin od Dewenter, leży miasto *Zwoll*, niegdyś wolne, mające wielkie przywileje; dozwolone mu nawet było bicie monety. Dziś liczy do 14,000 mieszkańców. W bliskości Zwollu istniał niegdyś zakon Augustjanów, pamiętny z tego iż w nim przez lat 64 przemieszkiwał *Tomasz a Kempis*, sławny filozof Chrześcijański, którego surowa i szczytna moralność, tak przeciwna słabościom człowieka, trudną jest do zastosowania w życiu.

Minawszy nie wielkie miasta *Meppel* i *Heenwyk*, przybyliśmy do Osady Ubogich w *Frederiks-Oord*. — Cała ta droga przechodzi przez ziemię okrytą wrzosami i zupełnie nieurodzajną; z tej przyczyny wiele napotykać można odłogów. W takiej to ziemi leży wspomniana osada. Widać jednak, iż uprawa znaczną uskuteczniła w niej zmianę. Osada *Frederiks-Oord*, *Colonie libre* nazwana, najdawniejsza i największa, przeznaczona jest dla rodzin ubogich.

Inne w pobliżności jej osady są:

1. W *Ommeschans* (*Colonie de répression*) założona dla żebraków i tułaczy, przymuszonych najwięcej do uprawy roli.

2. Osada w *Veenhuizen*, w której sieroty, dzieci biedne i opuszczone rolnictwem się zajmują.

3. Zakład w *Watern*, jest instytutem zajmującym się wychowaniem starszych dzieci.

Ogólna liczba osadników w północnych prowincjach wynosi przeszło 7,000 ludzi. — Osada *Frederiks-Oord* leżąca pod miasteczkiem *Stenwyk*, w prowincji *Oweryssel*, jak wspomniałem, najdawniej założoną została. Uważają ją za najcenniejszą. O niej to najwięcej pisano, i otrzymała tak wiele pochwał od wielu autorów, chociaż najmniej na nie zasłużyła (*).

(*) Zwiedziliśmy na wzór tej osady założoną o trzy mile od Hamburga w Holsztyńskim osadę nazwaną *Frederiks-Gabe*. Same piaski i stopy ją poprzedzają, i na takich gruntach nawet ona sama leży. Założycielem jej jest *Baron Lawetz* — Istnieje ona od roku 1821, uposażona od swego założyciela, i od króla, który darował na jej korzyść ziemię. Na dwadzieścia rodzin przeznaczona, liczy dziś tylko 18. — Piękne domy, ładne ogródki, podobać się muszą na pierwszy rzut oka; — ale my pragnęliśmy poznać z bliska stan jej, i wpływ na ogół mieszkańców. Ztąd przekonaaliśmy się, iż w niczem nie zasługuje na zaletę. W mieszkaniach osadników nie widać bynajmniej biedy; zkądże to pochodzi? — Oto iż dotąd netylko nikomu nic nie opłacają, ale nawet rząd dopłaca jeszcze rocznie na utrzymanie osady 4,000 złł. Dozwolono im na-

Dziś składa się z 300 domów porządnie zabuwanych. — Każda rodzina ma oddzielne pomieszczenie oraz $3\frac{1}{2}$ morgów holenderskich gruntu i dwie krowy. Cała osada posiada łąki wspólne, równie jak kopalnie torfu na własną potrzebę. Osadnicy trudnią się uprawą żyta, tatarki, konieczyny, najwięcej zaś sadzą kartofli. — Grunta nie są bynajmniej własnością osadnika; każdy jest tylko prostym wyrobnikiem i odbiera zapłatę za płody które zbierze i odda. Familja jedyna składać się powinna z sześciu osób, a gdy tej liczby nie dostaje, dodają jej sieroty.

Familja każda ma książkę, w której zapisują na jej rachunek:

1. Wartość pieniężną płodów na jej gruncie zebranych.

2. Zarobek za pracę koło własnego, lub cudzego gruntu łożoną.

wet pracować albo nie, podług upodobania. Jakież więc jest cel tej osady? — Nie zapobieżenie ubóstwu, bo na cały kraj Duński, gdzie jest tyle nędzarzy, jest ona niedostateczną, aby jej skutkiem miało być zniżenie ubóstwa; — nie wzniesienie rolnictwa w tej części kraju, bo dopiero $\frac{1}{3}$ część ziemi im przeznaczoną uprawiono; osadnicy nie utrzymują wcale koni do uprawy gruntu, ale rząd cztery na użytek wszystkich przewiduje. Osada ta dopóty wznosić się może, dopóki żadnych nie będzie znała opłat. Mimo tego, z pierwiastkowego zakładu, ośmiu tylko dzisiaj znajduje się osadników.

Przyp. Autora.

Na dług zaś jej:

1. Żywność pobieraną, odzież i t. p.
2. Złoty hol. 50, jako czynsz z gruntu.
3. Należytość za pracę przez innych około gruntu podjętą.

Mają oni swoją oddzielną monetę papierową. Corocznie robią z niemi ogólny obrachunek, po którym, to co im się więcej należy nad złt. 50 pobierać winni brzęczącą monetą; wypadek ten jednak nie ma tu miejsca. Za dobre sprawowanie się otrzymują medale, które noszą na sukni; źli wysyłani są na poprawę do osady w *Ommeschans*. Znajduje się także oddzielna szkoła dla dzieci.

Mniemanie powszechne, że osadnicy mogą się stać z czasem właścicielami gruntów przez nich dziś uprawianych, spłacając pierwotny kapitał włożony przez Towarzystwo, jest niepodobne do prawdy. Łatwo bowiem na miejscu z wiadomości zasiągniętych od przełożonego i z rachunków przekonał się, że nie tylko nigdy osadnicy nie są w stanie zwrócić złt. 50 hol., które są procentem od pierwiastkowego zakładu złt. 1,700, na każdego pojedynczego osadnika wyłożonego, ale nadto, towarzystwo dopłaca każdemu z nich po 20 złt.— Wątpię nawet, gdyby ich uwolniono od wszelkiej opłaty, czy i tak byliby w stanie utrzymania się z ziemi, którą sobie wydzieloną mają. W takim stanie rzeczy upada ta największa korzyść jakąby przynosić mogły podobne o-

sady, to jest zwrócenie towarzystwu w pewnym lat przeciągu kapitału i zamienienie osadników w posiadaczy tych gruntów które uprawiają.

Nie wiem, czy pod innymi względami zastępują na zaletę podobne osady ubogich jak w *Frederiks - Oord*.— Nie mogą one nawet stać się dostatecznym zachęceniem do pracy, do oszczędności, bo osadnicy są pewni, że skoro nie będą w stanie utrzymania się i opłacenia naznaczonej im kwoty, Towarzystwo znowu dopłacać będzie. — Przyzwyczajają się nawet do pewnego rodzaju zbytku, dostając odzież zbyt kosztowną jak na ubogich, i zamieszkując domy, których wewnętrzna ozdobność, jak sami przekonali się mieliśmy sposobność, nie dozwala przypuścić, aby były schronieniem ubogich (*).

Niedaleko od *Frederiks - Oord* leży kolonja w *Omneschans* (Colonic de répression), której inny cel zupełnie jest aniżeli pierwszej kolonji. Gminy albowiem przysyłają tu ubogich i płacą od jednego po złł. hol. 30. Przysłany człowiek zostawać tam musi przynajmniej przez dwa lata. Aby zaś mógł być uwolniony, musi wprzód zarobić sobie złł. 25. Może wszelako wcześniej uzyskać wolność, jeśli sprawowaniem się swoim szczególnie między innymi się odznacza,

(*) Trafne uwagi o kolonjach ubogich, przez Hrabiego Skarbka podane, umieszczył *Dzienniki Paryzkie*. Szkoda że dotąd nie czytaliśmy ich w żadnym z pism krajowych.

Przyp. Autora.

choćby nawet tylko 12 złł. holenderskich zarobił.

Głównem zatrudnieniem tych osadników jest uprawa roli; mała tylko ich liczba wyłącznie pracuje w fabrykach.

Pod względem zarobku, podzieleni są na trzy klasy. W pierwszej umieszczeni zarabiają 30 centimów, w drugiej 25, w 3ciej 20 tylko dziennie. Z tego $\frac{1}{3}$ obracają na kapitał — $\frac{1}{3}$ na szpital w czasie choroby — a $\frac{1}{3}$ na zakupienie potrzebnych sukien. Znajdował się tu dawniej młyn deptakiem zwany; został jednakże zniesiony, z nader słusznego powodu, ponieważ nie należy nigdy ludzi zniechęcać do pracy, inaczej przymuszeni by byli do szukania wszelkich sposobów wyłamania się od niej i szukania w występku łatwiejszego sposobu utrzymania się. Osadzeni tutaj, jak nam powiadał przełożony, przywykli tak są dalece do pracy, iż obawiają się święta, już to dla tego że muszą zostawać w zamknięciu, już to ponieważ cała ich usilność zwrócona jest na to, aby jak najprędzej uzbierali mały kapitał, który im dopiero pozwala uzyskać uwolnienie z tego miejsca poprawy.

Zwiedziliśmy ginach obszerny, który zamięszkują, równie jak ich warsztaty, izby sypialne, aptekę, szpital, i t. p. Wszędzie panuje czystość i porządek godne uwagi. Kobiety oddzielone są zupełnie od mężczyzn; dzieci zaś do lat ośmiu tylko zostają przy matkach; po czem bywają od-

osobnione, i w ówczas uczą się w szkole podług metody *Lankastra* urządzonej. Ubodzy mają tu także sklep oddzielny, oraz pieniądze żelazne i miedziane. W nim mogą nabywać różnych artykułów żywności i napojów, oprócz trunków mocnych. Instytut ten na sprawiedliwą zasługuje pochwałą. Szkoda, że dotąd więcej na niego nie zwrócono uwagi; większe on bez wątpienia ma do tego prawo, aniżeli kolonja ubogich w *Frederiks-Oord*. Cel jego jest chwalebny i pożyteczny; dają w nim bowiem poznać ludziom zbawienne skutki pracy i oszczędności. Wychodzący z tąd ubogi, przekonany własném doświadczeniem o korzyści pracy, posiadając nadto mały kapitał, który mu ułatwia sposobność zajęcia się jakim przemysłowém zatrudnieniem, staje się użytecznym członkiem społeczności, będąc wprzódy jej ciężarem.

Jest to może najlepszy środek zmniejszenia już istniejącej nędzy, a przynajmniej skuteczniejszy pod każdym względem od domów zarobkowych, które, jak przekonałiśmy się, najwięcej chybają celu swego. W podobnym zakładzie istniejącym w Berlinie, tak dalece się zapomniano, iż ubodzy i nędznistarecy, oraz włóczęgi, nikiemniejszą utrzymaniem w domu zarobkowym, aniżeli najwięksi nawet zbrodniarze w *Spandau* osadzeni (*).

(*) Twierdza *Spandau*, w której więzienie warowne się znajduje, leży w bliskości Berlina.

Dnia 14 lipca.

Wyjechaliśmy z *Ommeschans*, i aż do samego miasta *Dewenter*, nie widzieliśmy nic prawie co by uwagi godnem było. Pospność miejsc tych jest przerażająca. Wszędzie widać najuboższą naturę. Zwiedzający te okolice nie może się zgodzić, aby Holandia była krajem tyle przyjemnym ile nam go wystawiają w rozmaitych opisach podróży. Minąwszy *Dewenter* zaczynają się wesejsze okolice; należą bowiem do prowincji *Geldriji*, która jest najpiękniejszą w Holandji, tak ze względu położenia swęgo, jak z powodu łagodniejszego powietrza, które ją odróżnia od innych części tego kraju. Fortecę i miasto *Zutphen* poprzedzają zabytki dawnych okopów. Nad prawym brzegiem rzeki *Isseli*, w miłym bardzo miejscu leżące, miasto to istniało jeszcze za czasów Rzymian. Prowadzi do niego droga rozłożystemi zacieniona drzewami. Ukazuje się z obu stron wiele gajów, a pomiędzy niemi widać okazałe domy wiejskie. Napotkałem w jednym miejscu wieś dosyć znaczną, co się rzadko zdarza; najwięcej bowiem domy stoją pojedynczo porozrzucane. Okolice te obfitują w wodę, a do koła postrzegać się dają wzniosłe pagórki, uprawne i zbożem zasiane. Podobne to widoki szczególnie zachwycają Holendra, który otoczony jest najczęściej samcami jednostajnymi nizinami.

Miasto *Arnhem* nad *Renem*, trzy mile od *Nimégi*, 10 od *Utrechtu* odległe, zwabia zwykle

mieszkańców z różnych części kraju, którzy tam spieszą przepędzić lato. Okolice jego są bardzo przyjemne, i dosyć urozmaicone od przyrodzenia. Samo miasto dobrze zabudowane, mieści kilka towarzystw uczonych, jako to: Towarzystwo znane pod godłem *Pratique des arts*, w r. 1803 założone, które zajmuje się doskonaleniem młodzieży ubogiej, w malarstwie, budownictwie i innych nadobnych sztukach; Towarzystwo nauk przyrodzonych, *Rolnicze*, oraz *Literatury*, z godłem: *Prodesse conamur*.

Znajdują się tu dokładne farbiernie; druki z tąd wychodzące są sławne z swojej piękności.

W *Arnhem* zwiedziliśmy tamtejsze więzienie inkwizycyjne. Rozkład jego budowli jest dogodny; przeznaczone zaś jest równie dla cywilnych jak dla wojskowych. Wszelako jedni od drugich są oddzieleni. Miano tu również wzgląd na stan, i wiek osob. Osądzeni już zostają w oddzielném zupełnie zamknięciu, w ten czas jednakże tylko kiedy się udają do drogi łaski. Dla badania obwinionych, sędzia schodzi zawsze do więzienia. Podobnych więzień w całej prowincji znajduje się cztery.

Podczas bytności naszej zastaliśmy tam wiele dzieci. Mali ci zbrodniarze osadzeni tu są najwięcej za kradzieże, które, potworzywszy między sobą w tym celu związki, w różnych okolicach popełniali. Jakże zasmucający to jest widok, jak dolegliwa myśl sama, iż tak młode i-

stoty posiadają już tyle zarodów złego, i że i dla dzieci nawet są potrzebne domy poprawy!

Znaleźliśmy tu również osoby osadzone za mniejsze przewinienia, które wolą w tem więzieniu pozostać, niż być przewożonemi. Jeśli więzienie to zasługiwać może na jaki zarzut, to chyba przez to, iż powietrze jest w niem zepsute, z powodu złego urządzenia budowli. Niedogodność ta jednakże łatwo da się usunąć; życzyłyby tylko należało; ażeby obwinieni osadzeni byli pojedynczo, zwłaszcza żeśmy znaleźli wiele miejsc próżnych. Urządzenie podobne jest koniecznem w domu inkwizycyjnym, już to, dla tego aby jedni nie psuli się od drugich, już też, aby nie nauczali się wzajemnie, jak mają odpowiadać na zapytania sędziego.

Dnia 14 lipca.

Powtórnie zwiedziliśmy teraz miasto *Nimegę*; przed dwoma bowiem tygodniami, doznawszy najmilszych wrażeń w podróży naszej statkiem parowym na Renie, przybyliśmy tutaj z *Düsseldorfu*. Dziś otoczeni przyjemnem towarzystwem, podobnymże statkiem płyniemy do *Rotterdamu*.

Nad spodziewanie nasze wstrzymani byliśmy w podróży przez zepsucie się statku parowego. Naprawa jego długo trwała; wysiedliśmy więc na brzegi miasta *Thiel*. Była tu niegdyś twierdza: dziś jej szczątki tylko zostały. Zburzyć ją kazał *Karól V*, po długim oblężeniu i dzielnym odporze mieszkańców.

Okolice nadreńskie nie są bogate w malownicze obrazy. Minęliśmy kilka miast i wsi po drodze, a każde z nich powiększało lub zmniejszało nasze towarzystwo. O trzy mile za miastem *Thiel* daje się widzieć na lewym brzegu miasto warowne *Bommel*, na wyspie, którą oblewają rzeki *Mozella* i *Waal*. Znana ona była jeszcze Rzymianom pod nazwiskiem *Insula Batavorum*. Tutaj to nieraz Juljusz Cezar oparł swój zwyciężki oręż. Dotrwał na niej aż do naszych czasów zamek *Loevenstein*, licznemi znakomity wspomnieniami, a między innymi więzieniem sławnego *Grocjusza*. Uwolniony on został przez rzadkie poświęcenie się swej żony *Marji Reigensbergen* z ciężkiej niewoli, w której miał całe życie zostawać. Piękny ten przykład przywiązania małżeńskiego opowiada każdy mieszkaniec zbliżającym się do tych posępnych murów.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświecały nie wielkie ruiny, zwane *Merwe*. Są one szczątkami kilkudziesiąt wsi, które morze przed czterema przeszło wiekami zalało. Gdzie zakwitały szczęściem i pomyślnością piękne i zamożne osady, tam dziś Ren toczy swe nurty spienione. Kilkanaście cegieł, niewysoki mur który sam czas szanuje, jedyne tylu domów pomniki, są niejako grobowcem zniszczonych osad, i zgasłych ludzi, przypominającym pokoleniom żyjącym smutny los ich poprzedników, a zarazem przestrzegającym, iżby wznosili tamy przeciw silnym wody bałwanom.

Niedługo potem przyptłynęliśmy na prost miasta *Dordrecht*, jednego z najdawniejszych w Holandji. Jest ono dosyć obszerne, i liczy przeszło 19,000 mieszkańców.

Zawieszono na statku latarnie, które nam przyświecały wśród nocnej podróży. Kiedyśmy się do *Roterdanu* zbliżali, światło w domach i na okrętach stojących na kotwicach, odbijając się w spokojnej wód powierzchni, zajmujący przedstawiało widok.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

XIV.

WIADOMOŚCI O PERSJI.

(*Ciąg dalszy.*)

4.

Pobył w Bushire — Konie — Abdulla Aga — anegdoty o Arabach.

Wkrótce po przybyciu naszym do Bushire, mieszkanie nasze miało postać targowiska na konie i muły; nie tylko bowiem dla ambassadora i jego orszaku, ale nawet dla eskorty jego z Anglików i Indjan złożonej, i dla wszystkich służących musiano dostarczyć zwierząt, w Persji albowiem nikt pieszo nie chodzi. Zgromadzono więc dla nas wszelkiego gatunku koni, począwszy od pospolitej perskiej szkapy, aż do arab-

skich rumaków najczystszej krwi, które w Persji z taką starannością jak w najpierwszych stadninach angielskich hodują, aby sprowadzony z Arabji ród w czystości zachować.

We wszystkim co się ściąga do znajomości koni arabskich, odwoływałem się do naczelnego strzelca ambassadora, nazwiskiem Hyder. Umiał on z łatwością przez całą godzinę deklamować o zaletach zrebicia, które wprowadzie się jeszcze nie okazały, ale się niemylnie miały okazać, ponieważ ogier i klacz z których pochodziło były niemi obdarzone, a Hyder znał najdokładniej biografją wszystkich przodków zrebicia. Miał on nawet udział w własności pięciu lub sześciu sławnych klaczy; nie bowiem nie ma nadzwyczajnego, jeśli tam klacz jedna dziesięciu do dwunastu Arabów jest własnością. Okoliczność ta wyjaśniła mi dla czego nieraz grupa na wpół nagich Arabów otaczała kolegę swego, który rozpoczął targ o zrebicę. Widziałem nieraz, jak wpadali w złość największą, kiedy jaki nieświadomy zwyczajów Indjanin lub Europejczyk, żartem podawał cenę i podług ich inniemania, szlachetną krew jakiej klaczy znieważył.

Nietylko swoich klaczy rasowych, ale nawet wierzchowych koni za żadną niekiedy cenę nie odstąpiliby Arabowie. Kiedy ambassador w powrocie z ostatniego poselstwa swego, niedaleko Bagdadu obóz rozłożył, Arab jakiś przejeżdżał się tam i nazad przed namiotem jego, na pię-

knym kasztanowatym koniu, dopóki nie zwrócił na siebie jego uwagi. — »I cóż mi dacie za niego?« — odezwał się, kiedy go ambassador zapytał czyliby miał konia tego do sprzedania. — »To zawisło od wieku konia, ja sędzę że ma pięć lat skończonych.« — »Zgadujcie raz jeszcze.« — »Cztery.« Uśmiechnął się na to Arab, i rzekł: »Zajrzyjcie mu w zęby. — Pokazało się, że koń nie miał jeszcze trzech lat skończonych, co jego wartość znacznie powiększało. — »Dam ci 50 Tomanów« (*). Zabawiła niezmiernie Araba ta cena: — trochę więcej, jeśli łaska. — »Ośmdziesiąt — sto.« Właściciel rumaka wstrząsnął na to z uśmiechem głową. Targ doszedł nareszcie aż do 200 tomanów. — »Ej dosyć tego, rzekł ucieszony Arab, cóż wam ztąd przyjdzie że mnie darmo kusicie; choć jesteście wysokim elkihem, macie wyborne konie, wielbłądy i muły, i zapewne posiadacie kupy złota i srebra, jednakbyście nie potrafili kupić mego zrebięcia, bo bym go za wszystkie wasze skarby nie odstąpił!« To mówiąc, puścił się nazad ku stepom, gdzie ziomków swoich musiał zapewne niemało opowiadaniem tego sigła zabawić. Bardzo podobnym jest do prawdy, iż pomimo prostego ubioru, musiał to być wysłaniec jakiego naczelnika Arabów, jeśli nie sam naczelnik. Żadna summa nie potrafi skłonić Araba do ustąpienia takiego konia o jakim dopierośmy mówili.

(*) Toman wynosi około 1 funt szt. (blisko 40 złp.)

Kiedym powyższe zdarzenie opowiadał razu pewnego dzisiejszemu rządcy Bussorah, Abdullah Adze, który z Turcji do Bushire uciekać musiał, rzekł mi, iż sprawując niedawno urząd sędziego, nieraz z największą trudnością ledwie potrafił zagodzić kłótnie o skradzionego konia między Arabami zachodzące. Co do wartości, nie można było stronie skrzywdzonej wcale się sprzeciwić, chociaż ta często dziesięć razy nad wartość wymagała, ale myśl ta sama, że sąsiedzkie pokolenie posiadać będzie tę rasę, którą dla siebie wyłącznie właściciel chciał zachować, była nieznośną dla niego. Pewnemu arabskiemu Szeikowi, który około 50 mil (ang.) od Bussorah przemieszkiwał, zginęła razu pewnego jedna z najlepszych jego klaczy i długo nie mógł się dowiedzieć, czyli była skradziona, lub sama uciekła? W krótko potem młodzieniec pewien z sąsiedzkiego pokolenia, który napróżno go o rękę córki prosił, wykradł mu ją i uprowadził. Na jednymże siedząc koniu, uciekli oboje kochankowie, i daleko za sobą zostawili ścigającego ojca i z jego ludźmi. Zdziwiony tem stary Szeik, przysiągł, że młodzieniec musi jechać na jego skradzionej klaczy albo na djabie. Zgadł w istocie; bo kochanek wykradł naprzód klacz, aby potem miał na czem z córką uciekać. Dał się nakoniec przebłagać starzec, a nie się tyle nie przyczyniało do tego, jak myśl ta, że koń który go w biegu wyprzedził nie pochodził z innego pokolenia.

Towarzystwo Abdullah Agi było dla mnie zawsze nader przyjemnem. Posiada on zdrowy rozsądek, i tyle zna charakter Anglików, iż może myśli swoje swobodnie i samodzielnie wyrażać; a obznajomienie się jego z położeniem obecnem Persji i Turcji czyniło rozmowę jego bardzo nauczającą. Kiedym z nim pewnego razu o ostatniem z tych państw rozmawiał, następujące w tym względzie objawił mi zdanie: »Nie pojmuję, mówił, jak Turcja najstabszniej nawet siłą oprzeć się może; a nawet mnie mam, iż bez obcej przemocy musi ona sama przez się upaść. Ja sam jestem Turkiem, i znam doskonale ziomków moich: począwszy od Sułtana aż do najbiedniejszego wieśniaka w państwie tem, zbywa wszystkim na uczuciu dobra powszechnego, na uczuciu miłości ojczyzny; a ów duch religijny, który tak długo to zbyt wielkie państwo utrzymywał, codziennie więcej mocy utracą. Z jednej strony, rozszerza się coraz bardziej prozelityzm Wechabitów (*) w Arabji i Syrji, z drugiej, słabiej energja mieszkańców Turcji europejskiej, tak iż z każdym dniem naród ten wię-

(*) Prozelityzm Wechabitów, zdaje się tylko torować drogę ich mieczowi. Wiadomo jest iż już opanowali Mekkę, to ognisko ducha mahometanizmu. Można zaś przypuścić z pewnością, iż coraz bardziej szerzący się duch tych Purytanów Islamizmu, przyczyni się do tego przesilenia, jakie zdaje się widocznie wschodniemu zagrażać światu.

cój zdolnym się staje do przyjęcia panowania narodów chrześcijańskich, których potędze w krótko uledez będzie musiał.

Koloryt obrazu tego zdawał mi się być przesadzony, ale Abdullah odpowiedział: »Zobaczymy zaraz czy mam słuszność lub nie. Nikt w Turcji, jakikolwiek może być stopień jego, nie widzi dalej tylko jak mu wąsy jego pozwalają. Byle tylko mógł sobie zapewnić nadzieję, że mu w spokojności broda posiwieje, niczego więcej nie pragnie. Gdzie zaś wszyscy tak są samolubstwem zajęci, któż tam czuwać będzie nad bezpieczeństwem kraju, do czego niezbędnie pewne uczucie jedności jest potrzebne?

A jakże trzymacie o Persji? zapytałem go dalej. »Dwadzieścia razy gorzej jak o Turcji. Persom zbywa zupełnie na zdrowych zasadach rządu, podobnie jak i Turkom, wszelako są oni jeszcze nierównie ciemniejsi jak ci ostatni. Przekonacie się w krótko sami czyli na ten obraz zasługują. Możeż to ulegać wątpliwości, jaki w obecnem rzeczy położeniu powinni między wami i Francuzami wybór uczynić? a wszelako nie pomiędzy nimi ważnego działać nie potraficie, bez użycia przekupstwa lub ostrych środków. Ja zaś sędzę, iż te ostatnie są najstosowniejsze; chciwość ich podsycać byłoby to zaostrzać skłonność im wrodzoną, i wzmacniać ich na tej drodze postępowania, która dla interesu rządu

angielskiego niemniej jak dla nich samych kiedyś niekorzystnąby była.

(Umieściliśmy aż do tego miejsca wypis wier-ny własnych słów autora, aby czytelnikom naszym dać poznać sposób pisania jego i objaśnić cel, jaki na wstępie objawił. Kiedy jednakże umieszczanie dalsze wypisów z dzieła tego w sposób podobny byłoby obszerniejszem nad zakres i objętość pisma naszego, będziemy się starali w treści lub w wyjątkach przedstawić ile możności uzupełniony obraz zwyczajów i obyczajów Persów jaki autor skreślił).

Rozmowę autora z Abdullah Agą przerwał lekarz, od dawna zamieszkały w Bushire, również z ludzkości jak z doskonałości w sztuce swej znany. Opowiadał on: iż niedawno składał pewnemu Arabowi złamaną nogę. Ten, tak ciężkie wydawał jęki, jakich jeszcze nigdy od człowieka z tego pokolenia lekarz nie słyszał. Zdziwiony tem zapytał go o przyczynę, na co ten odpowiedział: »Czyż sądzisz żebym aby jeden jęk wydał, gdyby mnie było moje własne ogni-
ste źrebię złamało obie nogi, a e jakże mi nieznośnie że mię taka nędzna szkapka skaleczyła.«
»Zdarzenie to przypomniało mi, mówi autor, wypadek który w Indjach widziałem. Po pewnej potyczce napotkałem artylerzystę, który miał strzaskane ramię i głośne wydawał jęki. Pokazałem mu kilku żołnierzy rozciągnionych na ziemi, którzy w okropniejszym znajdowali się sta-

nie. Z gniewem odpowiedział mi na to: »Nic na ranę ja tak narzekam, mój panie; gdybym był ramię od kuli armatniej utracił, anibyśmy słowa nie wyrzekł, ale stracić je od tej nędznej rakiety, to do szaleństwa przyprowadza.

5.

Polowanie z psami i sokołami — uczta u Szeika — Francuz Tollemache — Złudzenie optyczne

Do rozrywek jakie autorowi skracają czas pobytu w Bushire, należało także polowanie z psami i z sokołami. » Na obszernej równinie albo raczej na stepie nad brzegiem morskim zebrali się myśliwi. Sokoły niesiono jak zwykle na ręku, charty zaś ciż sami strzelcy konno jadący, którym sokoły były powierzone, prowadzili na długich smyczach. Zależy na tem najwięcej, aby po wyruszeniu gazelli (*), jak najbardziej się do niej zbliżyć; ale zwierz ten postrzega prędko nieprzyjaciół swoich, i jak wiatr szybko ucieka. W jednej chwili wszyscy jezdcy rozpuszczają konie i wszystkie charty ze smyczy zwalniają. Jeśli to tylko jedna gazella, puszczają także i sokoły, jeśli zaś jest mała gromada, czekają w ówczas, dopóki psy nie odłączą od niej której gazelli. Sokoły lecą tuż nad ziemią, dosięgają zwierza, i jeden po drugim dziobem silnie w głowę uderzają, tak iż go niekiedy zabijają, a przynajmniej zwierz tak jest tem przera-

(*) Rodzaj sarny niezmiernie szybkiej w biegu.

żony i obłąkany, iż psy łatwo go dogonić mogą. Najszczególniejszą polowania tego własnością jest bez wątpienia to zjednoczenie sił psów i sokołów, które się przez całe polowanie, tam gdzie siły jednego gatunku nie wystarczą, wzajemnie wspierają. Zręczności tej nabywają owe zwierzęta przez długą i staranną wprawę.«

»Gazella jest najszybsze z zwierząt czworonożnych na ziemi, a szybkość z jaką się odbywa wyżej opisane polowanie, zupełnie do jej chyłności jest zastosowana. Rzadko rozciąga się ono dalej jak na przestrzeni trzech lub czterech mil angielskich, a często nie więcej jak na jednej lub dwóch milach.« Gatunek sokołów do polowania używanych nazywa się *Eherkh*, jest nadzwyczajnie piękny, i tylko w tych okolicach się znajduje.

Używają także w Persji sokołów do polowania na ptaka zwanego *Hubara*, który jest pięknym gatunkiem jastrzębia i gnieździ się pod małym krzewem zwanem u Persów *Gituk*. Do tego polowania, oprócz wspomnianego gatunku *Eherkh*, który jastrzębia na ziemi napada, nie leci za nim jednak w powietrze, potrzebują jeszcze gatunku zwanego *Bhyri*, który go ściga w locie.

Przed odjazdem z Bushiry Szeik dał ucztę dla ambassadora i jego orszaku. »Przy stole, mówi autor, wszczęła się między innymi rozmowa • Derwiszu Abdallah, który przed kilku laty, w

podróży swojej do Indji, port ten odwiedził. Uśmiechnąłem się kiedy jego nadzwyczajną pobożność chwalono, a więcej jeszcze, kiedy Turek, Pers i Arab, sprzeczali się o zaszczyt nazywania go ziomkiem swoim.« Trzeba go tylko słyszeć mówiącego, lub deklamującego poczę jaką, rzekł Iladszi Izmael, aby być przekonany że jest Persem.« — Mnie zaś pewnym czynią że jest Arabem, przerwał Szeik, powtarzane przez niego miejsca z koranu.» — Mówcie co chcecie, odczytał się Abdullah Aga, ale tak po turecku mówić jak Derwisz Abdullah, żaden Arab nie potrafi. «

»Tutaj musiałem się i ja odezwać. »Istotnie moi Panowie, rzekłem do nich, wszyscy jesteście w błędzie; sławny Derwisz jest Francuz, nazywa się Tollemache, i jest mi bardzo dobrze znany.« Gorzki uśmiech, którym mi odpowiedziano na to, oznaczał że nie tylko mi nie wierzono, ale nawet, iż moja uwaga nie dobrze przyjętą była, a sąsiad mój szepnął mi do ucha iż lepiej o tej okoliczności zamilczeć.«

P. Tollemache był synem francuzkiego Dragomana (tłumacza) w Konstantynopolu, i został przed kilku laty polecony Panu Warren Hastings w Kalkucie. Zająście jakieś prywatne zniewoliło go do opuszczenia tego miasta, z kąd wyjechawszy, zwiedził północno-zachodnie Indje, a następnie Caubul, Khorassan i Persję, tak iż przyjaciele jego w Europie przez 12 lat nie o nim

nie słyszeli. W Persji był on przy ostatnim Szachu lektorem modlitw, tak wielką zjednał sobie sławę między Moslemitami z pobożności swojej. W Suracie ofiarował usługi swoje angielskiemu gubernatorowi, ale tych nie przyjęto; udał się więc do *Wyspy Francuzkiej* (Isle de France) gdzie był przez Anglików za tłumacza przy ambasadorze Tippos użyty. Admirał Blanket wziął go w niewolę na morzu czerwonym, i wysłał do Bombay, gdzie autor nasz zabrał z nim znajomość. Jego pamięć była zadziwiająca, a następująca anegdota przekonać może, jak łatwo mu było przyjmując charakter azjatycki, a nawet udawało mu się pomiędzy Turkami, Persami i Arabami za ich ziomka uchodzić. Autor zdawał się temu nie chcieć wierzyć, kiedy mu Derwisz opowiadał, co ten ostatni spostrzegł. Wymknął się więc nieznacznie z pokoju. W krótko potem, gdy autor chciał wyjechać kabrioletem swoim, zaszedł mu drogę jakiś półnagi muzułmański żebrak, i tak mu się naprzykrzał swoją szczebiotliwością, iż mu był przymuszony biczem pogrozić. Wtenczas żebrak głośno się rozśmiał, i zapytał go, czy tak prędko o znajomościach swoich zwykł zapominać? Był to Tollemache.

Pierwszego dnia podróży z Bushiry miał sposobność autor widzenia szczególniejszych wyziewów, które Francuzi *mirage*, a Arabi i Persowie *Sirab* nazywają (*). Podług tego jak blisko lub daleko

(*) Tęgo złudzenia wzroku nie należy mieszać z szcze-

lub daleko się stoi od nich, zmieniają one kolor i nadają przedmiotom postaci fantastyczne, a szczególnie czynią je nierównie większemi jak są w istocie, tak, iż człowiek w odległości mili angielskiej zdaje się mieć wysokość drzewa palmowego. Mgła ta podobna jest zupełnie do morza i z tą to obrazy poetów i ich powieści o spragnionych i zaczarowanych podróżnych. Jeśli kto blisko jest zjawiska tego i na koniu, widzi wówczas drzewa i inne przedmioty jak na powierzchni wody odbite. W oddaleniu sześciu lub siedmiu mil, zdaje się ona leżeć zupełnie na ziemi i ma ciemną powierzchnię.

6.

Przestrogi Ambassadora — Dziennik naszego Mehmandra — Mamka arabska — Ceremonjalność perska.

»Zaledwieśmy na perską ziemię wylądowali, mówi autor, ambassador dał nam następującą polityczną lekcję: »Wiadomości Persów, rzekł on, nie sięgają za granicę ich kraju; oprócz języka ojczystego rozumieją oni jeszcze najwięcej arabski, a gdyby nawet wyższe klasy czytać umiały, nie znalazłyby w swoich księgach, które dla nich są prawami, nie więcej oprócz wiadomości o Azji; Europa jest im zawsze nieznaną.

gólniejszem zjawiskiem w przyrodzeniu, jakie na wodach Neapolitańskich pod nazwiskiem Fata morgana jest znane. To ostatnie tworzy się z powstających na morzu wierzewów; pierwsze zaś ukazuje się na wielkich perskich i indyjskich stepach piaszczystych, i zdaje się pochodzić z łamania się promieni słonecznych na piaszczyste padających stepy.

Dla tego jednak nie zbywa tym muzułmanom na bystrém pojęciu, i zamiast z xiąg będą się oni z nas uczyć. Strzeżmy się więc aby na tych kartach nic innego nie wyczytali, jak tylko to co zaszczyt Anglii przynosi, bo wierzcie mi, iż u podobnego ludu więcej znaczą bezpośrednio osobiste wrażenia, jak zawarte umowy.«

Przestrogi te były skazówką w postępowaniu osób do poselstwa należących; a Persowie podziwiali dobre przymioty Anglików, szczególnie ich wytrwałość i dzielność w ćwiczeniach ciała. Ambassadorowi nawet przydatną była jego silna budowa ciała i polubienie myślistwa.

Tłumacz ze strony Persów ambassadzie przydany, miał polecenie, aby utrzymywał dokładny dziennik wszystkiego coby Faringowie (*) robili lub nie robili, aby wiedzieć można było »z kim mają do czynienia,« a Mahomed Szeryf Khan, (tak się nazywał ów tłumacz) nie był złym dostrzegaczem. Oto jest miejsce jedno z jego dziennika, które autorowi sam pokazał:

»Najbardziej mnie to uderza, iż nietylko ambassador, ale nawet nikt z jego orszaku, nie »sypia we dnie, i nie kładzie się na kobiercu, »jakkolwiek jest gorąco. Zastanowiwszy się zaś, »iż tym sposobem więcej nierównie mają czasu »do interessów i do pomnażania wiadomości swoich, »aniżeli poddani N. Pana, wątpić nie mo-

(*) Zepsutą wyraz Frankowie, którym Mahometanie w ogólności wszystkich Europejczyków nazywają-

»żna, iżby w końcu każdego roku nie mieli nad
»nami korzyści, i nie zdaje mi się to więcej
»trudnem do pojęcia, jak mogli Indje zawojo-
»wać. Mój obecny urząd jest niezmiernie utru-
»dzający, ponieważ Elkih nie lubi spoczynku, a
»powinnością jest moją, wszystko co on robi za
»przedziwne i wyborne uważać.«

Ponieważ ambassador nieraz po ujechaniu przez
dzień mil 20 lub 30 (ang.) jeszcze na polowanie
wyjeżdżał, dziwili się niezmiernie Persowie, iż
kiedy Anglicy przyjaciół swoich z upodobania
tylko tak niepokoją, cóż dopiero muszą z nie-
przyjaciółmi robić.

Razu pewnego, kiedy autor z kassjerem am-
bassadora Khojah-Arratuhn, starym Ormjanin-
nem, rozmawiał ouderzającej nędzy ludu, który wi-
dział między Bushirą i najbliższymi górami, a
który pod skwarnem niebem, żyjąc jedynie da-
ktylami, litość w patrzącym obudzał, opowie-
dział mu Ormjanin zdarzenie, które w mocniej-
szem jeszcze świetle nędzę ich przedstawiało:
Przed niedawnym czasem P. Beauman przyjął
do dzieci swoich arabską kobietę za mamkę, i
ta z nim do Anglii popłynęła. Zostawała tam
przez lat cztery. Kiedy wróciła do ojczyzny, o-
toczyły ją tłumy ciekawych współziomków.—
Zewsząd pytano jej: a cóżeś tam widziała? jest-
że to piękny kraj? mieszkańcy jego są bogaci?
są szczęśliwi? — »Tak jest, odpowiedziała,
kraj cały jest ogrodem, mieszkańcy są bogaci,
mają piękne szaty, piękne domy, piękne konie,
piękne wozy, i wszędzie mi powiadano, że są
bardzo rozumni i bardzo szczęśliwi.« »Przy
tém opisanu malowała się na twarzach słuha-
czy zazdrość, i z żalem mieli już od niej odejść,
kiedy mamka przydała: »Ale prawda, jednej
rzeczy brakuje w Anglii; nie widziałam tam ani
jednego drzewa palmowego! — Jak to, czy wiesz
z pewnością? — Niezawodnie, przez cały ciąg

pobytu mego w tym kraju na nic się innego nie oglądałam, ale zawsze na próżno.« Tutaj zamieniła się zazdrość w politowanie, i Arabowie dziwili się, jak jakakolwiek ludzka istota żyć mogła w kraju który żadnego drzewa palmowego nie posiada. ! —

Przed opuszczeniem Bushiry, otrzymał poselstwo dowód szacunku od Xiążęcia Rejenta w Szyraz, który w krotce po przybyciu ambassady, przysłał jednego z najulubieńszych officerów swojej gwardji przybocznej, oraz dwanaście mułów obciążonych owocami. Kiedy młodzieniec ten oznajmił odwiedziny swoje posłowi, Khojah Arratuhn, którego z powodu niebieskiej farby jaką sobie raz brodę upiększał, nazwano żartobliwie *niebieskobrodym*, chciał się oddalić. »Wysłannic ten Xiazecia Perskiego, mówił on, jest Gruzjaninem i synem mego najbliższego sąsiada w Tyflis, a kiedy Aga Mahomed Khan 1797 r. to miasto zrabował, uprowadził 20 do 30,000 młodzieży płci obojg w niewolę. Gruzjanin ten był w ich liczbie i przymuszony został przyjąć później muzulmańską wiarę; dla tego więc możeby mu mój widok nieprzyjemne zrobił wrażenie.« Ambassador sprzeciwił się oddaleniu jego, mówiąc, że to nie nie szkodziło, i że jako kassjer poselstwa powinien być przy nim pozostać, a młody officer pewnie go nie postrzeże nawet. Tak się też stało: wszedł piękny i bogato przybrany młodzieniec, nader przystojnie ułożony i zdawał się nie poznawać Arrathuna, lubo parę razy spojrzął na niego. Po skończonej wizycie, nie mógł już dłużej wytrzymać poczciwy Ormjanin, i zawołał: »o niegodziwy łotr muzulmański! nietylko religji i cnoty, ale wyrzekł on się nawet wzroku i czucia. Tyle razy dawałem mu cukierki, a on teraz tak na mnie spogląda jak na obcego zupełnie? Nie będę mógł więc nie pocieszającego donieść jego matce; biedna! jest

ona w takiej potrzebie, i spodziewa się że ten pies jeszcze przecie choć trochę do niej jest przywiązany.« To połączenie obrażonej dumy, zawiedzionej nadziei i ludzkości w uczuciach tego dobrego Ormjanina, czyniło zajmującym i wzruszającym razem to jego wykrzyknienie. — Wtem nazajutrz rano wszedł on z innym zupełnie wzrokiem, i widocznie wzruszony do pałacu Pośta. »Jakże źle trzymałem o tym wybornym młodzieńcu, rzekł do obecnych. Wczoraj wieczór przysłał do mnie tajemnego posłańca, a gdy przyszedł do niego, wybiegł i uściskał mnie serdecznie; opowiedział mi historję swojej niewoli, cierpień i późniejszego wyniesienia, poczem dowiadywał się najtroskliwiej o swoją matkę. Nietylko dał mi zaraz na miejscu 100 tomanów dla niej, ale nadto prosił mnie, abym nadal podjął się przesyłania jej od niego pieniędzy. Poznał on dobrze wczoraj przyjaciela dzieciństwa swego i nigdy nie było mu trudniej ukrywać w sobie uczucia. Słusznie robi że się ma na ostrożności. Mahometanin, i przez małżeństwo połączony z jedną z najznakomitszych rodzin perskich, zostaje on w wielkich łaskach u Xiążęcia, i musi dla tego unikać najmniejszego cienia niewierności dla swój wiary i Xiążęcia. Jakże szczęśliwa będzie matka jego! zawołał niebieskobrody, któremu rostopność i zaufanie młodego Gruzjanina nie mało zdawały się pochlebiać; — jakże szczęśliwą będzie jak jój poszle te 100 tomanów i powiem, że syn jój jest jeszcze w sercu chrześcijaninem; bo jest nim, jest jeszcze! Mahometanin byłby się matki chrześcijanki jako niewiernej wyrzekł, i nie chciałby jój wesprzeć.»

Xiążę Rejent Tarsu, albo właściwej Persji przysłał w krotce po przybyciu ambassady do Bushire młodego szlachcica z swego roku, nazwiskiem Hassan Khan Kadszyr, który miał jako tłumacz ambassadorowi towarzyszyć. Guberna-

tor Bushiry otrzymał od swego brata wczyra Xiążącego list, w którym ten przepisywał mu, jak tu wysoka osoba ma być przyjętą. Jest to dowód z jaką ścisłością uważają w Persji na ceremonialność dworską. Przytaczamy tu przekład jego:

»Najdroższy Bracie!

Hassan Khan Kadszır, Mehmandarem Jenerała Malcolm mianowany, jest szlachcicem pierwszego rzędu. Będzie on ci ciągle nadsyłał wiadomości o swoim zbliżaniu się. Przybywszy do Dalkih (50 mil od Bushiry) doniesie on ci jakie będą szczegóły ceremonji przy widzeniu się z jenerałem. Z całym garnizonem Bushiry, wyjedziesz naprzeciw niemu aż do palmowych drzew na granicy stepu, i towarzyszyć mu będziesz aż do namiotu jenerała, a kiedy z tamtąd wyjdzie, zaprowadzisz go do swego, który po prawej lub po lewej stronie od jenerała, jak ten życzyć sobie będzie, ma być rozbitym. Jeśli Hassan rano przybędzie, będziesz śniadał, jeśli wieczorem, będziesz z nim obiadował. Własny twój rozsądek i dworskość powinny ci być skazówką dalszego postępowania z dostojnym gościem twoim; pamiętaj o jego znaczeniu, i o wysokiej godności Mehmandara jenerała Malcolm i t. d.«

List ten otrzymał gubernator wraz z pismem młodego Mehmandara, w którym on oczekiwania swoje, jak można było, najskromniej wyrażał. Skoro powiedziano gubernatorowi, że dwaj officerowie z poselstwa na przeciw Hassana wyjadą, i cała eskorta przed namiotem w którym on się zatrzyma zostanie rozłożoną, zaspokoił on się wtem przekonaniu, że to przyjęcie zupełnie będzie odpowiedzialne godności krewnego monarchy w szesnastym stopniu.

Hassan Khan Kadszır, młodzieniec równie przyjemnej powierzchowności jak dobrego wychowa-

nia, przybył nazajutrz, i wynurzył uszanowanie z jakim równie król jak książę byli dla ambasadora, oraz życzenie obu, aby ambasada jak najprędzej do stolicy przybyła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Teby egipskie. Jenerał Minutoli ogłosił niedawno dodatki do podróży swojej po Egipcie. Twierdzi on iż Teby, zbudowane na obu brzegach Nilu, podzielone były na dwa obwody: wschodni nazywał się *Nome tebais*, a zachodni *Nome Phlurites* albo *Phaturites*.

Drzewo zwęglone. W Maju 1827, znaleziono w kopalni *Mouant* w Staffordshire, w głębokości około 200 stóp ang. część pnia wielkiego drzewa. długą na dwie stopy 4 cali, a 14 st. 10 cali obwodu mającą. Kora zamienioną była w węgiel ziemny, a drzewo było w położeniu prawie prostem pomiędzy rudą żelazną: w czasie podważenia go, oddzieliło się od części wyższej, która została jeszcze w ziemi. Po wystawieniu sztuki téj na powietrze, węgiel z kory utworzony oddzielił się od pnia. Właściciele kopalni postanowili przesłać osobliwość tę do muzeum brytańskiego.

Gent. Mag. 1827.

Żegluga na statkach parowych po morzach Indyjskich. W roku 1826. Zawiazało się w Sinca-poore towarzystwo w celu zaprowadzenia prostej komunikacyi między rozmaitemi portami mórz indyjskich, za pomocą statków parowych. Zbudowa-

no przeto i usposobiono do żeglugi statek jeden w Anglii, który ma udać się do Batawji, Malaki, Pinang i Kalkutty, a następnie do Rangoon i Madras. Spodziewają się że żegluga z Sincapoore do Kalkuty, która dotąd wymagała pięć tygodni czasu, odbywać się będzie mogła w dniach ośmiu. Autorem projektu tego jest P. Morris, który już dla rządu Niderlandzkiego zbudował statek parowy przeznaczony do krążenia przeciwko rozbojnikom przy wybrzeżu Jawy.

(*Ann. Reg.*)

Szczątki przedpotowe. — Nadbrzeże wyspy Shepey (*) ulega ciągle działaniu wody z szybkim bardzo postępem, i jeśli zapobiegających nie przedsięwzma środków, być może, iż za 100 lub 200 lat, zniknie zupełnie, i nazwisko jej z karty wymazaniem zostanie. Całe akry ziemi na której znajdowały się domy porwane były w czasie jednej burzy; kiedy tymczasem pokłady iłu, okryte piaskiem i zwirem, rozciągające się o milę od wzniesłego brzegu morza, okazują dawną wyspy powierzchni. Niebieskawy ił z którego brzeg ten się składa, zawiera w sobie szczątki ryb, drzew i owoców które w tych miejscach za czasów Noego istniały. Między skamieniałościami temi znajdują raki morskie i inne tego rodzaju istoty, zupełnie całe i także same jakie dziś żyją w wodach przyległych, gałęzie w tak dobrym stanie, jak gdyby były ucięte od pnia do którego należały, pnie całe do 12 stóp długie i mające dwie lub trzy stopy średnicy, które zdają się być zdadne do rżnięcia piłą; znajduje się tam wielka rozmaitość owoców, podobniejszych raczej do owoców

(*) Wyspa należąca do Hrabstwa Kentschire w Anglii przy ujściu Tamizy leżąca, z miasteczkiem Queensborough mającém 800 mieszkańców.

z krain równikowych, aniżeli z tej szerokości północnej pod jaką leży Anglja.

Wyspa Shepey leży w prowincji Kent, i jest utworzona przez dwa ramiona Medway, Tamizy i dwa ramiona morskie zwane, *East und West Swale*.
(*Gentl. Mag.*)

Odkrycie nowego jeziora w Nowej Hollandji. — Niedawno znalezione zostało w Nowej Hollandji ogromne jezioro na 250 mil ku zachodowi od doliny *Wellingtona*. Kraina w której przypuszczają jego znajdowanie się, nie była dotąd zwiedzana przez żadnego Europejczyka. Rozповідаjący o niem krajowcy opisali je w taki sposób, iż żadna o rzetelności ich opowiadania nie pozostaje wątpliwość. Dwa pokolenia, które z sobą wojnę prowadziły i pokój zawarły, przychodziły na dolinę *Wellingtona* i opowiadały że były blisko miejsca wyżej wspomnianego. Wiadomość ta może doprowadzi do jakiego ważnego odkrycia: wnioskują, że ta masa wody musi mieć połączenie z rzeką *Macquarrie*.

Nieznany zwierz dziki. — W lipcu r. z. w okolicach nad jeziorem *Konstancjeńskim* ukazał się dziki zwierz, którego uważano za pewny rodzaj *hieny*, szczególniejszym zapewne przypadkiem tam zabłąkanej. Rozszarpał on wiele zwierząt domowych, a nawet kilkoro dzieci. Napadłszy raz na kilkudziesięciu mularzy idących ścieżką przez las do sąsiedniego miejsca na robotę, dwóch rozszarpał, trzeciego pogryzł na śmierć, a blisko dwudziestu mniej więcej niebezpiecznie pokaleczył. Poźniejszych o nim wiadomości nie było.

Wyspa Chiloe. (*) — Pomimo wojny niszczą-

(*) W Ameryce południowej, z odnogą *S. Carlos*, poniżej *Chili*. Ma 38 mil dług. 12 szer. mieszkańców 25,000.


cej od lat kilkunastu Chiloe i jej przyległe wyspy, równie jak inne kraje Ameryki południowej, zdaje się, wnosząc z spisu w r. 1827 na rozkaz rządu uskutecznionego, iż liczba mężczyzn znaczniejsza tam jest niż kobiet. Wyrachowano, iż się znajduje 5366 mężczyzn zdolnych do oręża, to jest od r. 15go do 50go.

NOWE DZIEŁA.

W litografji przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1397 założonej niedawno staraniem J. Kuśmińskiego Prof. L. W. wyszły następujące karty jeograficzne: w *mniejszym formacie*. a) Karta Królestwa Polskiego obejmująca wszystkie miasta i wsie, a mianowicie kościelne, wszystkie trakty pocztowe podług ostatniego urzędzenia i komory celne, tudzież rys statystyczny tegoż królestwa. b) Karta całej Europy obejmująca miasta prowincjonalne i inne znaczniejsze, nadto ogólną statystykę krajów europejskich. c) Karta środkowych państw Europy, na której są umieszczone kraje związkowe niemieckie, austrjackie, pruskie, Polska, Szwajcarja i Niderlandy; — w *mniejszym formacie*. d) Karta Europy z opisem ogólnym tej części świata, e) karta Azji, w sposobie jak poprzedzająca, f) Kula ziemiska.— Zamiarem wydawcy jest skompletować w obu tych formatach atlasy obejmujące wszystkie kraje ziemi. Cena wydanych kart i miejsca w których będą być mogły nabyte, nie są jeszcze oznaczone.

— P. Kretkowski we Lwowie pracuje nad dziełem pod tytułem: *Przewodnik dla podróżujących w Galicji*, i wzywa miłośników rzeczy ojczystych, aby mu chcieli nadsyłać materiały do ułożenia dzieła tego służyć mogące.

Omyłki druku: K. 233 w. 4 powtórzone — *popraw* powtórzone — K. 235 w. 9 Termomet *popraw* Termometr — K. 236 w. 8 *pepr.* przychylności i gościnności.



K O T U M B

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

N^{er} 24.

Z DRUGIEJ POŁOWY GRUDNIA 1828 ROKU.

XVI.

PODRÓŻ do ISLANDJI i do GÓRY HEKLI
w ROKU 1827 ODBYTA.

(Z Dz. Journal des Voyages.)

Od czasu jak wieloryby opuściły w znacznej części przybrzeża Cloven-Cliff i okolice Spiebergu, rybacy uważali, iż się udały ku Groenlandji, oraz ku zatokom Baffińskiej i Hudsonskiej; z tego powodu wyprawy na połów wielorybów krążą dziś częściej w stronie północno-zachodniej Atlantyku. Ku tej również stronie dążył okręt zwany *Święty Piotr*, na którym się znajdowałem, kiedy pod 61^o szer. półn. postrzegliśmy szeroki pęd wody, na którym nie mogliśmy narażać się na niebezpieczeństwa mórz północnych, któ-

re tak są burzliwe kiedy słońce zbliża się do znaku *Raka*, roztapia lody bieguna północnego i równiny tej rozległej rozlewającej się kopuły zamienia w ogromne rzeki, które przierzynając sobie drogę przez wody oceanu, nadają mu gwałtowny pęd ku północnemu biegunowi. Islandja niechby od nas daleko leżała; zwróciliśmy się więc ku niej szukając bezpiecznej zatoki, gdziebyśmy mogli uszkodzony nasz statek naprawić.

W miarę jak odkrywaliśmy wysepki *Guerfugla*, *Reikames*, *Sker*, rozsiane dokoła przylądka *Gulbringhe*, który zakończa południowo-zachodni cypel Islandji, morze zdawało nam się być okryte nieskończoną ilością łodzi. Była to pora rybołówstwa: morweny, fladry i inne przebywają szczególnie przy brzegach południowych; i dla tego poławiają je obficie w pobliskości portów *Oreback*, *Thorlaksvan*, *Selafang*, a mianowicie *Grindavik*. Ponieważ Islandczycy nie mają innego sposobu wyżywienia się nad rybołówstwo i chów bydła, wyptywają spiesznie na morze skoro przybędą gromady śledzi, salmon, flader, i t. p. Ale właściciele statków europejsy nie wychodzili dobrze na tych połowach, z powodu znacznych kosztów wyprawy.

Wpłynęliśmy do portu *Thorlaksvan*. Nie można oddalić od siebie przerażającego wrażenia, na widok tej wyspy przez wulkany porozdzieranej, gdzie w szczytnym nieładzie leżą wywrócone góry, pastwiska obok warstw lawy, jeziora

wrzącej wody na górach jaskinistych, lodogóry pozawieszane nad przepaściami, i morze odgłosem grznotu huczące w przepaściach, których zwapnione ściany wybuchy ogniów podziemnych okazują. Groźne te północy sceny, nowe zupełnie dla mnie, sprawiały szczególniejsze w mej duszy wzruszenie. Z tajemną radością postrzegłem, iż naprawa okrętu zatrzyma nas z piętnaście dni w tej zatoce, co mi dozwoli rozpatrzeć się do woli w tych ozdobach dzikiego przyrodzenia, i odbyć kilka przechadzek po kraju i do góry Heckli, tego olbrzyma północnego, dzikszego pod swemi śnieżystemi wieńcami, groźniejszego pośród lodogór swoich, aniżeli Wezwujusz i inne południejsze wulkany. Z drugiej również strony, Islandja, jako kraina poetycka, obojętną dla mnie nie była; jest to ojczyzna tych Skaldów, tych wojennych śpiewaków, którzy wstawiali dzieła waleczne, miłość i naturę, pod niebem pozbawionem w prawdzie lazuru, ale bezustannie zadziwiającemi ożywionem meteo-rami.

I któżby powiedział, iżby pod biegunem, na wyspie gdzie chleba nawet nie dostaje, gdzie mieszkawic przez rok prawie cały żywi się wędzonemi rybami i młkiem, i gdzie rzadkie promienie słońca z ukosa tylko padają, iżby tam mówię wyobraźnia była tak świetna, iżby tam natchnienia geniuszu poddane rytmowi miary runickiej, osnowały się w śpiewach i *sagach* peł-

nych zapału i mocy? W owych średnich wiekach, tak wydziedziczonych z greckiej i rzymskiej oświaty, kiedy Europa wegetowała pod osłoną ciemności, Muzy w dwóch tylko oddalonych od siebie punktach kuli ziemskiej przytułek znalazły! Trubadury i Skaldowie ocknęli na chwilę umysł ludzki z letargu, który trwał od czasu cywilizacji rzymskiej aż do powstania oświaty nowoczesnej. Islandja i Prowancja były uprzywilejowanymi krainami, gdzie poezja nadała w ówczas niejaki kształt obyczajom i umysłowi; z tego to względu ojczyzna Skaldów na uwagę podróżnego zasługuje. Ta nieznana Islandja, aż pod pasem biegunowym leżąca, nad którą nie zastanawiali się ani archeologowie, ani filologowie, ani literaci, mocniejszym skłonieniem pociąganiem ku Grecji, Italji i Egiptowi; ta Islandja godną jest zwiedzenia.

Zanim jeszcze półwysep Skandynawski i Cymbryjski Chersonesz przyjęły chrześcijaństwo, osadnicy Norwegscy, pod przywództwem swego Jarla albo Hrabiego Jugolfa, zniewolonego do opuszczenia ojczyzny z powodu popełnienia morderstwa, przybyli na brzegi tej wyspy, którą uważają za *Ultima-Thule* starożytnych; nowi przybysze nazwali ją *Ice-land*, to jest *Wyspa lodów*. Z Skandynawami temi przybyły ich kroniki, ich teogonja, ich poezja i wszystko co należało do ich charakteru i obyczajów matki ojczyzny. Kiedy religja chrześcijańska znaczniej-

sze na północy uczyniła postępy, Szwecja, Jutlandja, Norwegja, przyjęły dogmata ewangelickie; odtąd przez wpływ kapłaństwa i klasztorów zaczęły stopniowej ulegać zatracie wspomnienia i obyczaje starożytniej Skandynawji, i powoli wszystko się zmieniło; alfabet południowy zajął miejsce *runów*; po *skaldach* nastąpili proboszczowie; porzucono sagi dla psalmów, a ta moralna rewolucja przekształciła mieszkańców północy w innych zupełnie ludzi.

Ale osada Skandynawów która się ku biegunowi oddaliła, uniknęła tego tookratycznego wpływu; oddzielona od metropoli rozległą mórzą przestrzenią, pozostała przy pierwotnych obyczajach swoich: skaldowie między lodogórami Islandji śpiewali jeszcze podług rytmu runickiego miłostki bogów swych i zwycięstwa Odina, kiedy Gotja i Jutlandja zapomniały i kronik swych, i śpiewów i pierwotnych obyczajów, przejmując je od chrześcijańskiej Europy. W ówczas to kwitnęli poeci islandscy. Lecz kiedy chrześcijaństwo przecisnął się do ich wyspy, przypadek tylko zachował zbiór wiadomości i legend mitologicznych od losu jakiego w Skandynawji doznały. Socmund, przewany *Frode*, to jest *uczony* zebrał te wszystkie legendy i poczje krajowe, i zbiór ten nazwał *Odda*. W sto lat później, w wieku XII Snorre Sturleson wyrzucił z niego nieużyteczne artykuły; porobił ważne dodatki, i przekazał potomności drugie wydanie *Oddy*,

przejrzane i poprawne, jako dzieło podręczne, zawierające to wszystko co się ściąga do obyczajów, obrządków religijnych, systemu alfabetycznego i poetyckiego Gotów i Cymbrów. Are Frode, Torphocus i wielu innych uczonych Islandczyków, pisali dzieje téj osady, czerpiąc je z sagów i z poezji śpiewanych przez wieśniaków pod czas wieczorów zimowych; dla tego też zachowali oni nam większą część tych poezji, w których, tak jak w wiernem zwierciadle, widzieć można charakter awanturniczy, skłonność, smak, gienjusz rzeczy pospolitej Islandskiej; ponieważ kraj ten zostawał przy formie rządu rzeeczypospolitej, dopóki Hakin król Norwegji nie rozciągnął nad nim panowania, uważając go za należący do Norwegji, i wspierając siłą swe prawa, przeciwko którym Islandczycy nie zdawali się nawet żadnych robić oświadczeń.

Mało jest przybrzeżów któreby tyloma i tak okropnemi jak ta wyspa otoczone były rafami, wirami i przepaściami. Znajdują się tam podziemne przepływy morza, które podchodzą pod niektóre powiaty i wylewają się w odnogi przeciwnego brzegu. Naprzeciw stanowiska naszego wybuchały z brzegów potoki, które musiały przepływać pod prowincją Guldbringhe, od Vogastape na równinie północnej, aż do ujścia rzeki *Olver*. Dla tego też kiedy ryby przybywające licznemi gromadami z mórz biegunowych krążą przy brzegach Islandji, mieszkańcy któ-

rzy na nie czatują, tracą je z oczu przy *Vogastape*, i znajdują znowu niedaleko portu Thorlaks-
van, ku południowi, chociaż nie widać nigdy iż-
by płynęły koło przylądka który te brzegi prze-
dziela. Rozpadliny te, podziemne przesmyki,
przypisać należy rozburzającej sile ogniów wul-
kanicznych, ponieważ ziemia okazuje w głębi
podobneż załamania, nierówności i zniszczenie
co i jej powierzchnia. Wszelako te przepaści,
te wiry morskie, przyciągają morweny i inne
ryby, czyli to że zadarcia ścian zalanej wodą
ziemi zwodniczą im ponętę przedstawiają, czyli
że w tym zamęcie natury, cząstki organiczne
rozpuszczeniu uległe, są obfitą dla istot żyjących
pastwą. Krajowcy puszcza ją się między te wiry
z niepospolitą śmiałością, na statkach które na-
zywają *aataering*, z powodu ośmiu wiosł. Dwu-
nastu do piętnastu rybaków siada na łódź podo-
bną, i zarzuca sieci lub ponętę na małych węd-
kach. W czasie przybywania ryb, zbiegają się
ze wszystkich stron rybacy dla należenia do po-
łowu, a trzody zostawiają samym sobie między
górami: pasterze, rzemieślnicy, wsiadają groma-
dami na owe *aataering*; mają oni swego *ferma-
na* albo naczelnika, który zostaje przy rudlu i
nim kieruje. Do każdego wiosła jest osobny
człowiek; oprócz tych znajdują się inni zwani
yfers - Kipsmen albo wioslarze nadliczbowi, któ-
rzy są obowiązani w potrzebie zastępować pier-
wszych. Są to zwykle ubodzy górale przyby-

wający ze środka kraju, którzy nie mają własnych łodzi: pomimo tego jednak mają równy udział w zdobyczy. W innych czasach udają się na połów *psów morskich* albo foków, z których wydobywają tłuszcz; odważają się niekiedy na wielorybów, których dziurami uderzają; są jednakże gatunki wielorybów których się rybacy niezmiernie lękają i przed którymi chronią się z największą skwapliwością, z powodu iż niezmiernie są żarłoczne i cheiwe mięsa ludzkiego. Obawa ich do tego stopnia dochodzi, iż przez zaboron nie wymawiają nawet ich nazwiska kiedy są na pełnem morzu; mówiąc o nich używają wyrazów opisujących ten krwiożerczy potwór.

Mając zamiar zwiedzenia góry Hekli, udałem się w drogę, z dwoma majtkami i jednym Islandczykiem, którego wziętem za przewodnika. Podróżując w tym kraju nie trzeba sobie obiecywać napotkania miast lub wsi jakiegokolwiek. Te wielkie nagromadzenia mieszkań nie są znane w Islandji: można tylko ujrzeć gdzieś dziesięć, dwanaście folwareczków, jeśli położenie jest do tego dogodne. Znaleść tam zawsze można życzliwą i bezinteresowną gościnność; a jeśli kto czuje dosyć odwagi do spotkania się z ich suszonemi rybami, które smażą w tłuszczu z psa morskiego, oraz do napicia się kwaśnego mleka które oni namiętnie lubią, można się w drogę wybierać bez zapasów żywności. W niedzielę, uczta składa się z sztuki wędzonej baraniny, a

wykwintność stołu tak daleko jest posunięta, iż zastawiają na desser lekki placek mączny.

Chociaż wyspa nie posiada wiele lasów, wszelako niekiedy po mocnych wstrząśnieniach i oderwaniu się głazów skalnych, znajdując w rozpadlinach lub zsepiskach pnie i gałęzie brzozy w dobrym stanie dochowane, a często już skamieniałe. Starożytnie *sagi* mówią o wielkich lasach, która zacieniały rozmaite okolice tej wyspy. Czemuż przypisać należy to ogołocenie jej z wszelkiego drzewa? Miałażby doznać oziębienia atmosfery, kiedy tymczasem wszędzie w Europie zdaje się iż temperatura się ociepliła; coby mogło naprowadzić na hypoteczę zwrócenia się ziemi od północy ku południowi, tak powolnego i niedostrzegalnego iż kula ziemską przez 22,000 lat ma go dokonywać? To oziębienie się wyspy musi mieć wszelako bardzo ważną przyczynę; a może należałoby tę zmianę temperatury przypisać wybuchom Hekli, która, podług *Landnama - Bok* albo kronik krajowych, zaczęła wybuchać ognie w 1,004 roku: może też wstrząśnienia wulkaniczne wywróciły jaką obszerną zastonę od wiatrów północnych, za którą lasy spokojnego używały roślinienia. Więcej niż gdziekolwiek indziej przemraża tu atmosferę gwałtowny wicher północny; wiejąc albowiem z śnieżystych gór Groenlandji ponad rozległemi lodów biegunowych powierzchniami, przybywa do Islandji, którą swą niszczącą ogarnia siłą.

Wyspiarze nazywają go *mistur*; pochodzi on częstokroć z rozpęknięcia się niezmiernej kopuły lodów, które okrywają morze północne; gdyż, skoro te ogromne stopy kry, mające nieraz piętnaście mil długości i wznoszące się nad wodą w zamki fantastyczne, lub podłużne wysokie dachy, płynąc ku południowi, gdzie mają się roztopić buchając wszystkimi bokami do morza niezmiernie katarakty równie obfite jak Nilu lub Missyssipi wodospady; skoro mówię te stopy napotkają północny brzeg Islandji, i o niego się oprą, przybliżenie się tych przypadkowych gór lodowatych, oziębia atmosferę; bywają one w ówczas przyczyną tych wściekłych wichrów które roznoszą przestraszenie i zniszczenie po kraju, w chwili kiedy powrót wiosny otwiera bydlę obory.

Jest jeszcze inny wiatr niemniej niebezpieczny, przynajmniej dla obwodów *Raggharval*, *Aar-noes* i *Guldbringhe*; wieje on od południo-wschodu, a kręcąc się wirowo ponad Heklą, przynosi z sobą chmury popiołów i zwapnionego piasku, które pokrywają rozległe pola i nie pozwalają baranom paść się na trawie. W r. 1766, skutkiem gwałtownego wybuchu, kraj cały tak był popiołami zasypany, iż większa część owiec zdechła z głodu, wyskubawszy sobie wzajemnie wełnę z grzbietów. Lecz nie ta jedna klęska bywa dziełem wulkanu; ogień ziemski zdaje się przyzywać ognie niebieskie, a meteory ogniste są

bardzo pospolite w Islandji. Widać nieraz ogniste kule, które wieszają się na górach, i spadają potem na budynki. Ztąd to przesąd spóółstwa nazwał je *Vüghnottur* czyli kulmi morderczemi. Meteor ten przybiera niekiedy postać podługną, i nazywany bywa w ówczas *Vugbrand* czyli mieczem morderczym. *Lapterdur* czyli ogień niebieski rzadko się ukazuje w regjonach Hekli przyległych; spalił on po dwaćróć kościół katedralny w Skallholt, które jest jedynćm więk-szem miasteczkiem w kraju, i razem rezydencją biskupa.

Tak więc, dwa najsprzeczniesze żywioły, zimno i gorąco, które w religjach wschodnich ubóstwione były pod nazwiskiem dobrego i złęgo gienjusza, czyli Ormusda i Arymana, Ozirisa i Tyfona, które walcząc z sobą szczęściem dla człowieka uobojętniają się wzajemnie, jednoczą się tutaj na jego zniszczenie. Ogień wulkanu nie mniej jest śmiertelny jak zimno z lodogór zionące; a kiedy nieraz morze północne najeżone jest temi zamkami, temi fantastycznemi świątyniami z ułanków lodu, i kiedy Hekla wybucha płomieniste słupy z łona swęgo, dwa te spreczne żywioły zdają się kojarzyć z krzywdą ludności wyspy, i zamiast walkę staczać, rzecby można, iż wybrały Islandję, nie za szranki, lecz za ustronie zjednoczenia swęgo.

Dowiedziawszy się od przewodnika mego, iż niedaleko od naszej drogi znajdowały się źródła

gorące, w kantonie Olves, kazałem się tam zaprowadzić. Są one najznaczniejsze w Islandji, a najbardziej wrzące pomiędzy niemi są wody Geyseru (*) i Badstofy. Geyser (zob. dołączony ry-

(*) Uczony wędrownik szkocki Doktor Troil, pierwszy w listach swoich o Islandji, opisał w połowie zeszłego wieku szczególniejszy fenomen wulkanów wrzącej wody na wyspie. „Te ogromne wodotryski, mówi on, będące bez wątpienia skutkiem rozprężania się powietrza i ciągle gorejących ogniów podziemnych, dają się mianowicie postrzegać w pobliskości jeziora Langer-Vatn. Kiedym je oglądał, powietrze było czyste, słońce zaczynało pozłacać gór szczyty: powierzchnia jeziora podobna była do zwierciadła. Ośm wodotrysków wznosiło się do koła tego jeziora, i rozprasało się w powietrzu. Jeden wszelako zwrócił przed innemi uwagę moją: słup wodny około 8 stóp średnicy mający rzucał się w górę do wysokości stóp 24. Woda ta była niezmiernie gorąca, i w sześciu najwięcej minutach ugotowaliśmy w niej sztukę baraniny oraz kilka pstrągów; wszystko to miało smak wyborny. Jezioro Reikun podobny przedstawia widok. Wodotrysk któryś tam postrzegli, wznosił się przed kilką laty, jak zapewniano, do wysokości stóp 70. Ale oberwiska z gór zatkały część otworu jego, i woda w oczach naszych tylko od 54 do 60 stóp sięgała. Przybywszy do Geyseru, niedaleko Skalholt miasta biskupiego i stolicy wyspy, ujrzeliśmy wodę wytryskającą z gwałtownością dosyć obszernym otworem, i tworzącą wodospad, z którym nie możnaby porównywać wodospadów Marty, Saint-Cloud, Cassel, i Herrenhausen. Uważaliśmy tam, w obwodzie dobrej półnili, 40 do 50 rzutów wrzącej wody, które zapewne z jednego nagromadzenia pochodzą. Woda jednych była bardzo czysta, innych mętna i gliniasta; tutaj miała bardzo piękny różowy kolor ochry, którą się na-

sunek) leżący niedaleko kościoła w Reike, o czasie jak oberwanie się góry zatkało ogromnemi sztukami głazu otwór jego, mniej obficie wytry-

sycy przebiegając przez pokłady rudy żelaznej; tam znowu była biała jak mleko. Wodorzuty te, jedne były nieustannie, inne ustawały, lub po pewnych przerwach rozpoczynały działanie. Zwróciliśmy uwagę na największy wodotrysk znajdujący się w pośrodku. Otwór jego, o którego głębokości przekonać się nie mogłem, ma 19 stóp średnicy. Nie wyrzuca on ciągle, ale przestaje i zaczyna kilka razy na dzień w nierównych przerwach czasu. Krajowcy powiadali nam, iż obfitość jego jest mniej znaczna w czasach deszczów i nawałnic. Mieliśmy sposobność przyglądania mu się od 6 z rana do 7 godziny wieczorem. Przez ten czas, woda wytryskała piętnaście razy, i wznosiła się od 5 do 10 sążni; woda ta wpada do sadzawki mającej 56 stóp średnicy, i wypływa z niej nieznacznie wierzchem. Ostrzeżono nas że wkrótce podniesie się wyżej, a Doktor Lindt, który nam jako astronom towarzyszył, przysposobił wszystko do ścisłego wymierzenia wysokości do jakiej dojść miała. Zaledwie cztery godziny upłynęły, uczuliśmy trzęsienie ziemi w wielu miejscach, i dał się słyszeć podziemny odgłos do huków działań podobny. Wkrótce wybuchnął słup wodny i wznosił się do 92 stóp wysokości. Ta zadziwiająca siła ognia i wody wprawiła nas w zadumienie, które się powiększyło jeszcze, kiedyśmy ujrzeli iż woda wynosiła swą mocą kamienie któreśmy w otwór rzucali. Nie ma nic dziwnego, iż lud tak zabobonny jak Islandczycy, te otwory za bramy piekielne uważa. Co do przyczyny tworzenia się tych wielkich nagromadzeń wody, które zasilają wodotryski, uważają, iż ile razy ma nastąpić wybuch, rzeki pobliskie wysychają. Podobny fenomen zapowiada również wybuch Helli; wydarza się on nawet w okolicach Wezuwjusza i Etny.

śka; ale ryczy z wściekłością w więzieniu które gościeśnia. Badstofa jest perjodyczny; wyrzuca on wodę na 7 lub 8 stóp przez 10 minut; ustaje na takiż przeciąg czasu i znowu rozpoczyna działanie swoje, z godną podziwienia regularnością. Termometr Fahrenheita podnosił się w tej wodzie do 182 stopni.

Dalej nieco, u źródła Landgarness, daje się postrzegać fenomen, który Buffonowi dał powód do utrzymywania w swoim systemacie świata, iż węgorze mogą żyć w wodzie gorącej. Przytacza on gorące źródła w Islandji, i twierdzi że niektóre z nich są rybne. Strumień zimnej wody wpada w potok Landgarness: niektóre węgorze czy to przez nicostrożność, czy mocą bieżącej wody porwane, wpływają do kanału wody gorącej; młodsze zaraz zdychają, a starsze i silniejsze męczą się przez dwa lub trzy dni i takiemuż ulegają losowi.

W miarę zbliżania się do Heckli, w każdej osadzie gdzieśmy się tylko zatrzymywali, gospodarze dziwili się śmiałości naszego zamiaru, i starali się z uprzejmą życzliwością odwrócić nas od niego. Ale nie byliśmy wcale skłonni do słuchania ich prośb i nalegań, ponieważ w tej nadludzkiej wyprawie nabawiały ich bojaźnią o nas jedynie czarodziejstwa i dziwaczne przesady. Prawili nam o olbrzymach siedzących na ognistych jeziorach, o legjach całych duchów piekielnych przemienionych w harpje, z którymi, jak mniemali, mieliśmy staczać zażarte bitwy.

Przebywaliśmy rozmaite doliny powiatu Rangarvall, niegdyś zamieszkane, dziś wyludnione z powodu wybuchów wulkanu, i okryte przepalonymi kamieniami, popiołem i poczerniałymi piaskami. Mniejsze góry tworzą na bokach Hekli niejako piętra, a na każdej z nich znajduje się krater. W czasie wybuchu, wszystkie te podrzędne wulkany wyrzucają lawę i topiące się kamienie. W miarę zbliżania się do stóp góry głównej, natknąć można ogromne rzeki lawy ostygłej w postaci ławie, które przedłużone zdają się być ramionami uspięnego olbrzyma.

W tym miejscu, trudności zaczęły stawać się coraz przykrzejszemi dla nas. Trzeba było z nieskończonym utrudzeniem przedzierać się po zuzlach wulkanicznych, które nam wszelako pomagały do posuwania się coraz dalej; trzeba było przesadzać rozpadliny, skakać z jednej skały na drugą lub z kamienia na kamień, pomimo iż niektóre zwały się pod nogami naszymi po pochyłej powierzchni. Przybywszy na szczyt najwyższy, postrześliśmy dopiero, że cała przestrzeń aż dotąd z takim mozołem przebyta, tworzyła tylko obszerny obwód pierwszej posady Hekli. Trzeba było teraz ku samemu wulkanowi zmierzać; przystęp jednakże do niego nie był tak przykry jak nam się z razu zdawało. Szliśmy dość łatwo całemi stopami, lubo czuliśmy jak pod nami trzeszczała lawa; ale oswoiliśmy się wkrótce z tym pozornym tylko niebezpieczeństwem, a ma-

te okrągławe parowy ułatwiały nam postępowanie w górę. Szczególniejsza okoliczność zwróciła uwagę naszą, to jest znaczna ilość soli którą postrzegliśmy w zakleśnięciach i miejscach od potoków deszczowych zasłonięnych. Być może, iż w czasie wstrząśnień i rewolucji wulkanicznych, rozpadliny w dnie morskiem roztwarte przepuszczają masy wody słonej w pieczyska podziemnych ogniów, które wybuchają je kraterem w niezmiernych kupach soli. Wyżej nieco, góra okryta była śniegiem; chmury ulegając pewnemu przyciąganiu elektrycznemu, zgęszczały się dokoła wielkiego krateru. Przybywszy do tego kresu wycieczki naszej, ujrzeliśmy tylko obszerne wydłużenie, które nie więcej szczególnego w sobie nic miało, prócz tego że było kraterem Hekli. Było to nagromadzenie rozmaitych sztuk kamieni przepalonych, opok, lawy, popiołów i piasków, które po wybuchu pospadały na pochyłe ściany krateru i prawie go zawaliły. Mocniejszy nieco wiatr rozjaśnił ten ogromny wieniec chmurzysty, i postrzegłem w oddaleniu ponurą lodogórcę więcej niż Hekla wzniesioną, w której słońce przez odbicie malowało tysiące barw purpurowych, zielonych, pomarańczowych, szkarłatnych, i ukazywało tak jak w pryzmie wzmocniony blask złota i ognia drogich kamieni.

Jeśli następnie nie mógł zwiedzić groty Fingala, jeśli nie był w Islandji w porze zorz północnych, wynagrodziło mi to we dwa dni po mo-

jej pielgrzymce na górę Hekłę ukazanie się dwóch *pareljų*. Fenomena te, które tylko na morzach północnych widzieć można, są nagromadzeniem wyziewów wodnistych, w których słońce odbija się tak jak w zwierciadle. Nagle, obok gwiazdy dniowej, ukazują się dwie tarcze słoneczne, zupełnie podobne do swego wzoru, które przez odbijanie się promieni potrają gorącość jego. Meteory wszelkie ukazują się najczęściej w porze topienia lodów; z tych rozptywających się lodów powstają mgły, które między nami i słońcem rozpościerając się, pomnażają tym sposobem jego wyobrażenia i gorącość.

Parelje te musiały dać początek rozmaitym fikcjom, w kraju, gdzie Skaldowie tak długo bęto opinji dzierżyli; i godnym jest uwagi spotkanie się w tym względzie poetów bieguna północnego z poetami Indyjskiemi. Mitologja Samskrytska mówi, iż w czasie zaćmienia, wielka żmija pożera słońce; z tego powodu przez cały czas jego trwania przestach największy między ludem panuje. Islandczykowie utrzymują, że dwa wilki ścigają słońce chcąc je pozrzeć, i że gdyby nieszczęściem który z nich je dosięgnął, sklepienie niebieskie byłoby pozbawione świecznika swego, a wkrótce i świat by został zniszczony. Niekiedy zamiast dwóch obrazów słońca ukazuje się trzy, cztery, a nawet i więcej, stosownie do mniejszej lub większej ilości nagromadzonych do koła wyspy lodów. Utrzymują, iż w roku 1615, kiedy

jak wzrokiem daleko zasięgnąć można było, otaczały ją góry lodów biegunowych, fałszywe słońca ukazywały się w miarę wydobywania się mgły, i widziano w ówczas aż do dziewięciu parelji na linii poziomej rozrzuconych.

Czyliż można się dziwić, iż przy umyśle nieustannie temi wspaniałemi uderzanym widokami, z wyobraźnią zawsze rozognioną, przez te obrazy płomienie zionących wulkanów, ognistych meteorów, lodowatych miast wspaniale na morzu się wznoszących, wyspiarze ci celowali w poczci, która karmi się wielkimi obrazami, którą ożywiają i zbogacają mocą i energją wzruszenia serca? Lud ten przeto, dziś tak wyrodzony, miał swój perjod homeryczny w wiekach średnich. Sturleson zachował spisany poczet Skaldów, którzy się wstawili w kompozycji lirycznej; zawiera on kilkuset śpiewaków. Islandczycy nadto uczynili znaczne postępy w żeglarstwie; zdaje się nawet pewną rzeczą, iż na wiele jeszcze lat przed Kolumbem odkryli Amerykę, ponieważ podług ich dawnych Sagów, nie można wątpić iżby *Wineland* albo *ziemia winnic*, do której przybyli, nie miała być częścią północną Nowego Świata. Założyli oni osady w Groenlandji, pod przywództwem Eryka *Rudego*. Dawne ich prawodawstwo równie zasługuje na uwagę, jak inne ich przemienionej pół-oświaty cechy. Rzeczpospolita islandzka podzielona była na cztery prowincje, które nazwiska swoje od położenia jeograficznego przy-

jęły, jako to : Suthland, Northland, Ostland i Wisland ; każda prowincja dzieliła się na trzy powiaty, a każdy powiat na dziesięć *syssełów* czyli *okręgów*. W każdym *syssele* znajdowały się publiczne miejsca, gdzie była i dotąd jeszcze jest wymierzana sprawiedliwość. Pięciu urzędników, których Arngrimus dziejopisarz krajowy w łacińskim stylu swoim *reppagogami* nazywa, a których nazywano na wyspie więcej po islandsku *hrepstorsars*, wybierani byli z zamożniejszych mieszkańców, aby to towarzyskie położenie stawiało ich wyżej nad wszelkie przekupstwa, i było zastoną ich nieskazitelności.

Zgadzają się powszechnie, iż mowa islandzka zmieniła się od owych czasów. Pieniactwa jakie się odbywają na owych miejscach publicznych, gdzie zarazem wieśniacy znoszą owoce swego pasterskiego i rybackiego przemysłu, przyczyniły się wiele do nadwerczenia pierwotnej mowy. Zatrzymują oni wyrazy łacińskie przy wprowadzaniu spraw słyszane, i dla tego nieraz można przy powitaniu usłyszeć wyrażenia : *Vale domine, Salus et honor*, z ust najprostszych ludzi. Wyrazy angielskie, francuzkie, holenderskie, czynią z tej mowy prawdziwą mieszaninę języków, z której każdy naród znalazłby coś swego do odebrania. Wyjąć od tego wszelako należy, jak nam powiadano, północną część wyspy, do której cudzoziemcy prawie nigdy nie zawijają, i gdzie jeszcze mieszkańcy używają języka Skaldów w ca-

łtem jego bogactwie i pierwotnej czystości. Ale na południowych brzegach Islandji język ten trudny już jest do zrozumienia, jak twierdza niektórzy filologowie duńscy, którzy się zajmowali starożytnościami tej poetyckiej wyspy. Nie należy wszelako mniemać, iżby mowa Skaldów była tak zapomniana. Podczas wieczorów któreśmy przepędzili w Singfur, wioseczce powiatu Singavall, widzieliśmy wieśniaków zachwycających się słuchaniem sagów ich dawnych Skaldów; nie był to jednak z ich strony ani skutek grzeczności dla opowiadających, ani dowód przywiązania do kraju, ponieważ z rozmowy ich łatwo można było dostrzedz, iż czuli metaforyczne subtelności i wdzięki tej poezji.

Uderzające jest podobieństwo w noszeniu włosów między Islandkami i Koszuankami; długa ich czapka spiczasto zakończona, i okryta ozdobami, stroiła zapewne i piękności Wizygotkie i Ostrogotskie, ponieważ Normandzkie, podobnie jak Islandskie kobiety, u których strój ten widzieć się daje, pochodzą z Gotji. Jeśli sądzić mamy z jednych i drugich o wdziękach ich poprzedniczek, kobiety u Skandynawów musiały się odznaczać pięknnością, gdyż, chociaż Islandki nie mogą co do wdzięków równać się z płcią piękną z *Caux* lub *Rouen* (*), widać wszelako pomiędzy nimi twarze, których regularne i przyjemne ry-

(*) Miasta w Normandji.

sy zawodzą mniemanie jakieby powziąć można o kraju nieuprawnym, okrytym zawałiskami i topniejących lodów stosami, leżącym pod taż szerokością co Lapończykowie, Samojedy, Illinosowie i Eskimowie, tak upośledzeni od przyrodzenia.

Islandja ma 120 mil (pol.) długości, na 50 szerokości: ale od północo - zachodu przedłuża się w półwysep i zdaje się wyciągać rękę ku Groenlandji. Pomiędzy jej śnieżystymi górami, znajdują się doliny, na których silne roślinienie mchu przedstawia murawy szmaragdowej barwy; na nich to pasie się bydło i konie. W pobliskości leżą osady, w miejscach bezpiecznych od wodospadów, lodogór i lawin śniegowych. Nieco karłowatych i pokrzywionych brzoź ukazuje się obok chat; ale nie są to już owe lasy w dawnych legendach ludu tego wspomiane. Zboża, które nie dojrzewają na tych polach, musiały niegdyś jak się zdaje, być uprawiane przez mieszkańców: domniemanie to wyprowadzić można z niektórych ustanowień dawnego prawodawstwa islandzkiego. Nasz gospodarz w Singfur starał się o zaprowadzenie obok folwarku swego niektórych ogrodowizn, mogących wytrzymać północne zimna; ale zebrał z nich jedynie cokolwiek niesmacznego warzywa. Mieszkańcy, dalecy od zajmowania się tą niezyskowną uprawą, wolą raczej wy pływać przed świtem dnia na morze, gdzie po dwunastu w swoje aateryngi siadając, poławiają za pomocą ponęty pomiędzy rafami i prądami mor-

skiem i fladry, płaszczy i salmony. Można powiedzieć, iż morze jedynie żywi Islandję. Wiadomo jest że morza północne są niezmiernie rybne; dla tego więc, nietylko suche ryby są zwyczajnym tych rybojadów pokarmem ale nawet w zimie, przez czas długiego leżenia śniegu, żywią bydło skrzelami i innymi twardszemi częściami ryby. W rybach składają oni wszelkie podatki rządowi, oraz opłacają kapłanów ewangelickich. Ryba jest monetą krajową; jest ona miarą wartości, a w miarę ceny przedmiotów mniejszą lub większą ilość ryb dają w zamianę.

Moralność zdaje się w pewnym względzie na niższym u Islandczyków zostawać stopniu, aniżeli w czasach dawniejszych. Zdarza się wszelako spotykać pomiędzy nimi ślady dawniejszej gościnności i tej filantropji, która była pobudką niektórym z majątniejszych wyspiarzy, w dawnych czasach, do założenia przy drogach domów gościnnych, gdzie nietylko pożywienie i wypoczynek, ale uprzejme przyjęcie znajdował podróżny. Zniknęły już te dobroczynne zakłady; ale lud zachował pamięć dobroczyńców. — Mieszkańcy niektórych powiatów środkowych uważani są za małopojętnych; inni znowu nadbrzeżni, z powodu częstego z cudzoziemcami obcowania przejęli niektóre ich wady; zbywa im na rzetelności w postępowaniu i oddają się pijaństwu. Zdarzają się bez wątpienia wyjątki, a nawet bardzo liczne, ponieważ w przechadzkach moich, znajdowałem za-

wsze między temi wyspiarzami obrazy życia pa-tryarchalnego, i prostotę z otwartością i życzli-wością połączoną; zapewniają wszelako że pomię-
dzy sobą postępują oni inaczej.

Minęły już te czasy, kiedy Islandsey Skaldowie na swych szybkich okrętach przerzynających we wszystkich kierunkach morza północne, przybywa-
li zachwycać swemi runickimi m. elodjami *Jarlów* Orkadzkich, królów Jutlandji, Szkocji, Irlandji i Norwegji. Oni to wojenném swych lutni brzmie-
niem zapalali wojska do walki; w każdym planie bitwy, znajdowało się obok króla miejsce zosta-
wione dla Skaldów, aby byli świadkami wale-
cznych czynów królewskiej dłoni, i aby pamięć ich w hymnach swych unieśmiertelniali. Harald sadzał ich jak najbliżej siebie na ucztach dworu Elsenour; Olaus Swenson jednego z tych poetów wybrał na ministra swego; Lysten król Danji tak był zachwycony graniem i począ Flernusa tyl-
ko co przybyłego z Islandji, iż mu swą córkę oddał w małżeństwo. Królowie nie uważali za poniżenie siebie być ich uczniami. Rognwald król Orkadów i Ragnar Lodbrog król jednej czę-
ści Skandynawji, składali wiersze runickie. Ci Skaldowie, ci opiewacze cnoty i prawości, z taką
czcią i z taką wszędzie przyjmowani życzliwo-
ścią, daćby nam powinni korzystne wyobrażenie o duchu narodowym kraju z którego pochodzili...

Po dwudziestodniowym pobyciu w porcie Thorlaksvan, rozwinęliśmy żagle; wydarzenia w

ciągu podróży na morzach północniejszych jeszcze odbywanej, będą przedmiotem innego artykułu.

XVI.

WIADOMOŚCI O PERSJI.

(*Ciąg dalszy.*)

Mieszkańcy gór — Dolina Kaseruhn — Skutek kwasu saletrzanego — Utrata oczu Risa Kuli Khana — Nadzwyczajne ptaki — Piękna dolina Duslit-e-arāshun — Mahomed Risa Khan Byat — Patryotyzm Irlandczyków — Właściciele dóbr perscy.

Nie ma nic bardziej uderzającego, jak zmiana skwarne go klimatu okolic wzdłuż brzegów Perskiej odnogi leżących, na przyjemne klima i bogatą ziemię górzystych płaszczyn środkowego kraju. Po ujechaniu mil 55 (ang.) dostali się pod różni między góry. Tutaj naczelnicy pokoleń okoliczne zamieszkujących wioski, wyjechali konno naprzeciw ambassadora z orszakami swymi. »Gdybym chciał, mówi autor, wdać się w opisy malownicze, wybrałbym za przedmiot tych górali, ich fantastyczny dziurawy ubiór, ich silną budowę ciała, ich szybkie obroty pomiędzy przepaściami, gdzie pieszo nawet iść niebezpiecznie, nakoniec echo odgłosu ich broni, które sto otaczających pagórków powtarza.« — Przebywszy dwa rzędy

gór dolinę Kaseruhn od step oddzielające, ujrzeliśmy z zachwyceniem najbogatsze i najroskoszniejsze okolice. Dzikie mirty, borówki i wierzbę zewsząd porozpościerały się w największej obfitości. Ostatnie zaś najmocniej mi ojczyznę, lubą ojczyznę przypominały. Słodkie to uczucie obudza się w tych najmocniej, co odległe od kraju rodzinnego zwiedzają okolice.

Ubogie te pokolenia są niezmiernie chciwe łupu, jak tego podróżni doświadczyli. Bagaże ich bez przykrycia wiezione, zrabowane zostały przez jedną hordę, i tylko wypadek szczególniejszy był przyczyną iż strata ich znaczniejszą nie była. Jeden wielbłąd niósł flaszki z kwasem saletrzanym, którym opatrzył ich Dr. Helenus Scott w Bombay, aby skutków kwasu tego w Persji doświadczyć. Rabusie splądrowali już kilka ładunków naszych wielbłądów, kiedy wreszcie na kwas siarczanym natrafili. Jedną z flasz rozbili o ziemię, i zaleciała ich przykra wonia, czem przerażeni i sądząc że zamkniętego w flaszy gienjusza Faringów (*) oswobodzili, uciekli jak najspieszniej, zostawiając większą część zabranych już przedmiotów.

Miasto Kaseruhn leży niedaleko od starożytnego *Shapuhr*, którego ruiny są zachwyceniem starożytników, a obfite w zwierzynę okolice rokoszą myśliwych. Jakoż autor z towarzyszami swymi

(*) Chrześcjan.

odbył polowanie na czarne kuropatwy, których do 40 sztuk ubili.

Gubernator prowincji Kaseruhn, Risa Kuli-Khan przybył dla odwiedzenia ambassadora. Starzec ten miał jedwabną przepaskę na otworach oczowych, ponieważ w czasie domowych zatargów między rodzinami Zend i Kadszyr, postradał oczy. »Jak tylko zajął miejsce, mówi autor, zaczął zaraz opowiadać nieszczęścia swoje, które mnie aż do łez rozrzewniły. Ale jakież było podziwienie moje, kiedy on opowiadaniem swoim bynajmniej nas nie chciał wzruszyć, ale przeciwnie rozweselić, tak iż musieliśmy się śmiać z wypadku, który w każdym innym kraju uważany by był za przedmiot do trajedji stosowny. Ale z cierpieniami tak bywa jak z używaną często trucizną; nietylko nie szkodzi ona wcale, ale nawet w części pożywieniem się staje.«

»Byłem ja czynnym stronnikiem rodziny Kadszyr, mówił Risa Kuli Khan, dla zapewnienia sobie jej łaski, kiedy wtém dostałem się w moc przeciwnej rodziny Zendy. Jużem bliskiej oczekiwał śmierci, i zdziwiła mnie nie mała jej łagodność, kiedy mnie jedynie oczy wyłupić kazano. Jeden z ludzi rodzinie tej służących wysłany został tym celem do mnie. Miał on w ręku stary i przytępiony nóż do operacji, ofiarowałem mu więc 20 tomanów, aby użył do tego scyzoryka który mu pokazywałem. Odrzucił on z pogardą ofiarę moją, nazwał mię tyranem niegodnym żadnego wzglę-

du, ponieważ zabiłem brata jego, i przydał, że o to katowskie polecenie prosił jak o łaskę, aby mógł zemście swęj dogodzić, i że niczego więcéj nie żałuje, jak że mi życia wydrzeć nie może. Widząc, że z tym twardym człowiekiem nie zrobić nie można było, poddałem się losowi memu i na wznak się położyłem: zdawał się cieszyć z tego, obnażył ramię, zamierzył się nożem, i przygniotł mi kolanem piersi, jak gdybym był głupią owcą, i miał dozwolić postępować z sobą jak mu się podobało. Widząc iż spokojność moja czyniła go mało przezornym, podniosłem wolno jedną nogę, oparłem o brzuch jego i odepchnąłem go. (Tutaj naśladował starzec wszystkie swoje poruszenia i serdecznie się naśmiał przy wspomnieniu tego wypadku). Nagle skoczyłem, ale i on skoczył; a po krótkiej walce, w której on był mocniejszym, rzucił mną o ziemię, i wyłupił mi oczy. Broniłem się żwawo, i to mi ból zmniejszało. Rany wkrótce się zagoiły; a gdy Kadszyrowie wzięli nakoniec górę, zostałem przez nich sowicie wynagrodzony za utratę wzroku. Wszyscy synowie moi otrzymali wyższe stopnie, a ja zostałem gubernatorem tego miasta i prowincji. Żyję sobie teraz ze zbytkiem, i doznaję spokojności, jaka jest obcą dla tych którzy w tym kraju mają zdrowe oczy. Jeśli się okaże jaki brak w dochodach, albo jakie rzeczywiste lub zmyślane nadużycie, coby na innego gubernatora chłostę lub karę śmierci ściągnęło, król zawsze mówi:

»Dajcie temu pokój, to ten biedny ślepy Risa Kuli, niech sobie siedzi spokojnie.« Widzisz więc ambasadorze, dodał w końcu z uśmiechem, że nie mam powodu uskarżania się, ponieważ utrata obu oczów lepiej mnie od wszelkiego nieszczęścia zastania, jak posiadanie w Persji dwudziestu ocz najlepiej widzących.«

W Kaseruhn opowiadano podróżnym pocieszne zdarzenie, jakie mieli dwaj z należących do orszaku ambasady, którzy byli wysłani przed nami do Szyraz. Mówiono im cudowne rzeczy o jakichś dwóch stworzeniach, które się miały znajdować w pewnej wiosce o 15 mil ang. od Kaseruhn leżącej. Ciekawością zdjęci, nie zważając na przykre powietrze i na przykrzejsze jeszcze drogi, udali się tam obadwa. Stworzenia te, podług opisu jaki im uczyniono, były najpodobniejsze do ptaków, ponieważ miały pióra i dwie tylko nogi; głowy ich jednakże były obnażone i do mięsa podobne, a jedno z nich miało mieć długą czarną brodę. Najwięcej jednakże od ptaków różnił ich głos; a stary jakiś człowiek który je widział, twierdził, iż głos ten był dosyć podobny do mowy arabskiej, ale on nie mógł ani słowa zrozumieć. — Przybyli nakoniec ciekawi podróżni do wioski; otworzono im dom gdzie owe cudowne ptaki były zamknięte; i ujrzeli — parę indyków, samca i samicę, znalezionych wrozbitym na odnodze okręcie. Samiec odezwał się z swoją arabską mową, z radości zapewne że się

na wolności ujrzał; biedni towarzysze nasi nie wiedzieli czy gniewać czy śmiać się mieli z tego zdarzenia. Śmiech jednak wziął przewagę; a Persowie niezmiernie byli zdziwieni, dowiedziawszy się że ptaki te są równie w Indjach jak w Anglji bardzo pospolite.

Niedaleko od Kaseruhn pasmem wzgórzów tylko oddzielona, leży dolina *Dusht - e - Ardshun*. Jeśli widok pierwszej doliny przyjemne sprawił mi wrażenie, ta ostatnia nieskończenie więcej zachwycającą była. Wieniec gór otacza ją do koła, a z pochyłości ich wytryska sto strumieni tworzących w pobliskości jezioro. Piękność tych strumieni, z których wiele po mniejszych wzgórkach spadając tworzy wodospady, jezioro samo w którego czystych wodach odbijają się otaczające góry, zyzne pola nadbrzeżne, uwieńczone różami, hjacyntami i wszelkimi prawie gatunkami kwiatów, wszystko to przedstawia obraz zdumiewającej wspaniałości. Towarzyszący orszakowi Persowie, którzy więcej zajęci byli zachwyceniem Anglików aniżeli widokami które ich otaczały, powtarzali ciągle: *Iran hemin est ! Iran hemin est !* (otoż to Persja! otóż to Persja!)

Tego dnia spotkał się autor z dawnym przyjacielem swoim Mahomedem Risa Khan Byat, który wyjechał z Szyraz naprzeciw Elkihowi. »Bądźcie pozdrowieni,« zawołał on w galopie ku orszakowi się zbliżając. »Zaledwem uwierzył oczom moim, mówi autor, gdyż tak mi się zdawał być

młodym i rzeskim jak przed dziesięcią laty, kiedy mając już lat 68, codziennie zażywał dozę opjum, która podług wyrachowania naszego lekarza, dostateczną była do zabicia trzydziestu osób nieprzywykłych do téj trucizny. Starłem się w ten czas usilnie odwieść go od tego nałogu, i nawet lekarz mi w tém dopomagał, dowodząc mu, że go opjum nakoniec zupełnie zniszczy. Zapytał on się o tego lekarza, i żądał mocno, kiedy mu powiedział że się w Indjach znajduje. »Mógłbym go teraz przekonać, mówił dalej, że chociaż on i wszyscy lekarze chrześcijańscy, podług naszego mniemania, przy pomocy Messjasza swego ślepych i chromych uzdrawiać potrafią, wszelako są fałszywymi prorokami. Miałem podług jego zdania umrzeć, jeślibym nie zmniejszył codziennie zażywanéj dozy opjum. Otoż ja ją cztery razy powiększyłem, a dla tego, prawie 80 lat mając, tak jestem czerstwy i młody jak każdy z was.« To mówiąc spał ostrogami konia, a pędząc w najmocniejszym galopie, wymierzył za siebie w punkt odległy z karabinka i trafił. Powrócił znowu do nas, pogłaskał się po brodzie, która tak była starannie ufarbowana, iż żaden siwy włoszek się nie przebijał, i z puszeki którą mu przed dziesięcią laty darowałem, wyjąwszy pełną garść pigułek z opjum, z tryumfem je zażył, przydając: »życzyłbym sobie żeby tu doktor mógł być obecny!

Podług twierdzenia Mahomeda Risa, stan Per-

sji znacznie się od lat dziesięciu polepszył. Było to naturalnym skutkiem pokoju, który panował od czasu jak się zwycięstwo przechyliło na stronę ostatniego króla Agi Mohamed Khana. Przyrodzenie we względzie klimatu, ziemi i płodów równie zwierzęcych jak i roślinnych, tak było rozrzucone dla tej krainy, iż ludzie tylko przez najusilniejszy opór niszczyć muszą korzyści błogiego położenia swego.

Kiedy się podróżni zbliżyli do Szyraz, Xiążę i magnaci Perscy tak obciążyli ambasadora cukrami, konfiturami i rozmaitego rodzaju przyprawianemi owocami, iż nawet dozorecy psów, mieli podostatkiem łakociów. Eskorta nawet z oddziału dragonów składająca się, otrzymała porcję która by lwa nakarmić mogła. Autor widział jak zjadali te delikatne przysmaki żołnierze sami Irlandczycy, oprócz jednego który był rodem z Anglii. »To klejnot wszystkich krajów, ta Persja« rzekł z nich jeden — »zeby tylko więcej chrześcijan w niej było,« odezwał się drugi. — »Ej mnieby tam o nich wcale nie chodziło, przerwał inny, ale żebym tu mógł przecieź kiedy niekiedy bagno (*) zobaczyć, zamiast tych wiecznych skał i dolin,

(*) Wiadomo że Irlandja ma wiele bagien, i również nie jest obcem przywiązanie Irlandczyka nawet do niedostatku ojczyzny swojej. Jakże wielka panować musi nędra w tym kraju, kiedy tak wielu mieszkańców przenosi się do Ameryki północnej!

jak je nazywacie.« — »Niech sobie tam będzie kraj najpiękniejszy, rzekł nakoniec ich kapral Corragan, ale miłszym by dla mnie był ogród kartoflami zasadzony w kochanej ojczyźnie, jak dwanaście perskich ze wszystkiem co się w nich znajduje!« To patryjotyczne uczucie powszechną zyskało pochwałę, i zakończyło tę rozprawę.

Znaczna część doliny Dusht-e-Ardshun należy do pewnego starego *reisa* czyli właściciela ziemskiego, który w przejeździe naszym towarzyszył nam kawałek drogi. »Jak szczęśliwi jesteście, mówił autor do niego, posiadając tak zyzne, piękne i rokoszną zielonością okryte pola.« — Starzec wstrząsnął na to głową i odpowiedział: »Ta zyzność, jest zgubą naszą; dolina ta jest najlepszym pastwiskiem w Persji, i dla tego, Xiążęta równie jak magnaci, wysyłają tu muły swoje na paszę i na utuczenie; a kiedy te tratują nam ogrody, musimy jeszcze znosić bezczelność, a niekiedy i ucisk ich dozorców; łotry te są jeszcze sto razy gorsi od panów swoich.«

W rozdziale następnym przedstawia autor charakterystyczny rys osób, które z ramienia rządu perskiego towarzyszyły ambassadorowi, jako to: Mahomeda Hussejn Khana, Dszaffira Alego Khana, Mahomeda Hussejna, Mirzy Agi Mihr, Hadszi Hussejna i innych mniej znaczących. Obszerny ten opis osób mniej mogących obchodzić czytelników opuścimy w piśmie naszym, a przejdziemy raczej

do przedmiotów które więcej bez wątpienia są zajmującemi.

Ważność formalności ceremonialnych — Życie towarzyskie u Persów — O bajkach i apokryfach.

Przybywszy do ogrodu Szaha Cheragh o 5 mil od Szyraz leżącego, zatrzymała się ambassada dla urządzenia formalności ceremonialnych. Czynność ta krótko się odbyła, ponieważ Elkih, lubo od czasu pierwszej ambassady, kiedy był jeszcze kapitanem, doszedł już do stopnia generała; nie żądał odmiennego jak pierwiej przyjęcia.

Ceremonje i formy lubo inają miejsce we wszystkich krajach, nigdzie jednak nie są tak obszerne i tak ściśle przestrzegane jak na wschodzie. Ze sposobu zachowania się pośta, wnioskują Persowie o charakterze narodu jego. Szczęściem ambassador rezydował już przy niektórych dworach Indyjskich, których zwyczaje podobne są do siebie, i miał już pewną znajomość tej ważnej nauki, którą oni »*Kaida - e - nishest - u - berkhasht* (sztuka siadania i wstawania) nazywają. Od chwili wylądowania do Bushiry ćwiczone ciągle otóżak ambassadora w postępowaniu ceremonialnem. Najtroskliwiej jednakże starano się objaśnić sposób kurzenia tytoniu z *keljanu*, i picia kawy. »Dziwić się trzeba, mówi autor, jak wiele w Persji, na tytoniu i kawie zależy. Można sobie ludzi zobowiązać lub ich obrazić; stosownie do sposobu w jaki im się te ulubione przedmioty podaje. Od tonu jakim się poleca podać lulkę lub

ławę, zawisło dobre lub złe przyjęcie gościa.« Tysiączne odcienia w obejściu się z nim, w miarę jego stopnia, wieku, znaczenia, stosunków przyjaźni i t. p., muszą być ściśle zachowane. Wszystko to łatwem jest dla tych, co się z temi zwyczajami obeznali, ale dla świeżo przybywających nie ma nic nad nie trudniejszego do pojęcia.

Z tych zwyczajów wszelako nie można wnosić iżby Persowie byli w ogólności bardzo poważni i formalnościom oddani. Jest to najprzyjemniejszy lud na ziemi; lubią oni poufałe rozmowy, a każda radość jest dla nich tak jak dla dzieci tem wyższa, im mocniejsze są przeszkody na które z powodu zwyczajów swoich w każdej chwili są skazani. Starają się oni aby wszelkiemi sposobami zaprawić przyjemnością godziny życia towarzyskiego, i życie to jest bez wątpienia u nich najprzyjemnijszem, jak tylko niem być może, pozbawione najpiękniejszej okrasz swojej, kobiet. Xiążęta, gubernatorowie i urzędnicy wyżsi chlubią się, i słusznie, z ukształcenia obyczajów, i usiłują z całej mocy być przyjemnymi w towarzystwie. Poeci, dziejopisarze, astrologowie, opowiadacze anegdot i bajek, którzy niejakię sławy nabyli, nietylko mają przystęp do najpięrszych towarzystw, ale nawet są w nich poważani.

Nim jeszcze autor wprowadzony został w towarzystwa perskie, poświęcił znaczną część czasu swego czytaniu znakomitszych dzieł tego na-

rodu, tak w prozie jak w poezji. Przekładał nie tylko opisy historyczne i poezje, ale nawet bajki i powieści, i był przekonany, że tym sposobem nie tylko nabędzie większej znajomości języka, ale o obyczajach, sposobie myślenia, i charakterze ludu dokładniejsze mieć będzie wyobrażenie. Zastanawiając się długo nad początkiem wszelkich powieści, bajek, apologów i fikcji wschodnich, wyjaśnił dostatecznie przyczyny używania tego sposobu wyrażania myśli swoich w owych krajach ciemnych, a między niemi za najgłówniejszą uważa tę, iż tam gdzie wolność mówienia i wolność osobista tak są ściśnione, gdzie obnażona prawda jest nienawidzoną i prześladowaną, musiano używać innych sposobów jej ogłaszania, któreby ją mniej ostrą i widoczną czyniły. Nie mniej ważną przyczyną jest zapewne i ta, że gdy do pojęcia dzieci najłatwiej trafiają bajki i powieści, narody zaś wschodnie we względzie wiadomości jeszcze w dzieciństwie zostają, rodzaj ten przeto literatury jest dla nich przystępniejszy, a przeto więcej niż inne lubiony.

Dając wyobrażenie rozmaitych rodzajów stylu u Persów, jako to: gorno-nadętego dyplomatycznego, stylu w zdaniach moralnych używanego, stylu listowego, historycznego i t. p. przytacza wyjątek z wstępu do traktatu, który w czasie pierwszej bytności ambassadora w Persji zawarty został. Wyjątek ten jak najwierniej przełożony brzmi następnie:

» *Kiedy się podniósł głos ku chwale i czci wszech-
 » mocnego Rządcy świata, i sklepienie przeni-
 » knęły wonności świętych i proroków — niech
 » im będzie cześć i chwala! — których rzadkie do-
 » skonatości brzmią na wieki w melodyjnym śpie-
 » wie dwu, trzy i czteroskrzydłych ptaków (*); i
 » ku czci Najwyższego który tam zasiada w nie-
 » biosach, dla którego wszystko dobre naprzód
 » było przeznaczone — te wonności które się po-
 » mięszwały z piżmem, które dosięgają niebie-
 » skich siedli k tych, co w eteryjskich sferach hi-
 » mnny śpiewają, a z tamąd aż do Najwyższego,
 » od którego pochodzi światło które oświeca mie-
 » szkańców niebieskiej przestrzeni; i t.d.«*

Lepsi jednak pisarze perscy wolni są od tej na-
 detości, a w dziełach wielkich poetów jako to:
 Firdusih, Nizamih, Sadih i Anwerrih, znajdują
 się miejsca, odznaczające się pięknnością i prostotą,
 równie jak prawdą i wydatnością. Jak pięknie
 nakoniec np. Sadih dobroczynny wpływ do-
 brego towarzystwa maluje:

» *Byłem, mówi on, pewnego razu w kąpieli,
 » kiedy mi jeden z przyjaciół dał do ręki kawa-
 » tek przyjemnie pachnącej gliny. Wziąłem ją
 » i zapytałem: »jestes ty piżmem albo olbro-
 » tem? zapach twój zachwycił mnie.« — »Byłam
 » wżgardliwą bryłą gliny, odpowiedziała mi ona,
 » ale przez czas długi leżałam przy róży; stąd-*

(*) Metaforyczne nazwisko aniołów.

«kie mój towarzyszycki tchnienie przeniknęło mnie;
»bez niego nie byłabym niczem więcej jak tylko
»tem czém się twym oczom być zdaje — bryłą
»pospółtęj gliny.»

W innym miejscu maluje on z równą mocą jak prostotą charakter wiernej miłości: »Piękny i
»przyjemny młodzieniec zaręczony był z ładną
»dziewczyną. Czytałem, iż gdy razu pewnego
»pływali czótnem po morzu, wpadli w wir mor-
»ski: majtek jakiś chwyta za rękę młodzieńca
»chcąc go ocalić, ale ten odzywa się mocnym
»głosem do niego, wskazując mu oblębienie
»między bałwanami: »Puszczaj mnie, a ratuj
»kochankę moją!« Cały świat podziwiał ten
»postępek, i po śmierci słyszano go jeszcze mó-
»wiącego: »Nie ucz się miłości od niedznika, ca
»w chwili niebezpieczeństwa kochanki swój zapo-
»mnieć jest zdolny.»

»Przywiedzione przezemnie przykłady stylu per-
»skiego, mowi autor, i uwagi moje na których
»wsparcie pierwszych użyłem, przekonają czytelnika,
»że kopalnia literatury perskiej zawiera
»skarby, w którym znajduje się wszystko począ-
»wszy od djamentów ognistych aż do pożyteczne-
»go granitu, i że materjały te użytymi być mogą
»do zbudowania zamków równie na powietrzu jak
»i na ziemi.»

Szyraz — Najwyższy sędzia Uhl Islam — Historia Abdul - Kadira — Rozrywki — Derwisz Seffer —
Perscy poeci.

»Jedynem zatrudnieniem naszym w Szyraz, mówi autor, były odwiedziny, oraz dawanie i przyjmowanie podarunków. Chciwość Persów nie ma granic; ministrowie, dworacy, kupcy, uczeni i poeci ubiegali się o łaskę ambassadora, która im najczęściej zegarek, sztukę szyncu (*) lub cienkiego płótna i t. p. w korzyści przynosiła. Postępowanie ich utwierdziło mnie w tém mniemaniu jakie jeszcze w Bushire powziąłem, że Persowie są ludem szalbierczym i chciwym.«

Sekretarz perski, którego przyjął ambassador, a który się zdawał być człowiekiem rozsądnym, umiarkowanym i skromnym, starał się usilnie przekonać Anglików, iż złe mniemanie jakie mają o jego ziomkach jest mylne. Stawiał on za przykład krewnego swego Szeika Uhl - Islam, najwyższego sędziego i kapłana w Szyraz: »oto jest, mawiał on, człowiek, który rozum i naukę z skromnością i niezrozumiałością łączyć umie. Nie ujrzycie go ani razu, tak jak tę chciwą szlachtę, i zgłodniałych poetów, nadużywającego szczodrobliwości ambassadora. Słysząc że ma wzrok krótki, ambassador posłał mu piękne oprawne w srebro okulary, ale ten zwrócił mu je z prośbą o inne w prosty róg oprawne.« Autor słuchał tej powieści z uśmiechem, i pragnął widzieć zachwalonego męża;

(*) Materja indyjska bawełniana drukowana farbami.

niał wkrótce sposobność poznania go przy śniadaniu, które w ogrodzie Sadih, obok grobu tego poety, dla syna ministra Hadazy Ibrahuma, posła od Mahomeda Hussejna Khana, było dane. Usiadł on obok niego - i starał się odkryć jego charakter, ale na próżno. Nakoniec sam kapłan wyznał że postępowanie jego skromne, równie jak odesłanie sekularów, nie zgadzało się bynajmniej z jego namiętnościami, ale względ na charakter powołania jego kazał mu wbrew chęciom i upodobaniom działać. — Między innemi mówiono przy stole o sekcie Suffisów, którzy z powodu fanatycznych i mistycznych nauk swoich, do których się przyznają, uważani są przez muzułmanów za odszczepieńców. Uhl - Islam sądził o nich z większą anizelimię się spodziewał tolerancją. Uważał, on iż często między nimi znaleźć można bardzo przykładowych ludzi. »Nadto, oba nasi poeci, mówił on, Hafis i Sadih, a szczególnie pierwszy, byli Suffisami, a któryż z mieszkańców Sziraz mógłby o nich co złego powiedzieć? — Autor przekonał się w końcu dostatecznie, iż Uhl - Islam był istotnie człowiekiem rzadkiego rozsądku i charakteru.

»Uczęszczaliśmy, mówi autor, między rozmaite towarzystwa wieczorne. Między innemi zaprowadzono nas do ministra Mahomeda Nebli Hana na obiad, który był nader świetny. Minister ten był w Indjach, a dla przypodobania nam się i przyjęcia nas z gościnnością, połączył on rozmaite

zwyczaje angielskie z Perskiemi zwyczajami. Zebrałiśmy się o piątej godzinie po południu; przyjęto nas w przepyszniejsz sali. Na dziedzińcu przed salą, znajdowali się tancerze na linach, szermierze, muzykanci, lwy, niedzwiedzie i małpy; wszystko to pokazywało sztuki zręczności i mocy aż do zachodu słońca, przy czem częstowano nas kawą, lulkami i konfektem, a następnie zaprowadzono nas do innego pokoju, gdzie zastaliśmy desser z owoców w najwykwintniejszym guście angielskim zastawiony. Tutaj spędziłiśmy blisko godzinę czasu; wróciliśmy następnie do sali paradnej i w tejże samej chwili zapalono fajerwerk, który pomimo szczupłości iniejsca tak zręcznie i tak świetnie był urządzony, iż podobnego nie widziałem. Rakiety puszczane były tak iż się trzymały razem i dziwnie piękny widok sprawiały. Innego rodzaju race które wirami zwano; wznosiły się z hukiem dwunastofuntowego działa, i rozjaśniały niezmiernie okolicę. W końcu zastawiono nam jeszcze ucztę, na której między innymi przysmakami jedlismy lody sorbetowe.«

»W dzień odjazdu naszego z Szyraz odwiedził ambassadora dawny mój przyjaciel, Derwisz Scfer. Ten osobliwszy człowiek, który ma powierzony dozór ołtarzy z relikwjami, a szczególnie Sadiha i Hafisa, uchodzi w Persji za najznakomitszego deklamatora poczji i powieści. W żadnym kraju na ziemi nie znaczą tyle co tutaj podobne talenta; jeśli je kto posiada w wysokim

stopniu, może być pewny że mu się tak powodzić będzie, jak najpierwszemu artyście dramatycznemu w Europie. Derwisz Seffer, który jest w łasce u króla, ma głos niezmiernie melodyjny, którym tak umie władać, iż z najwyższego tonu dyszkantowego przechodzić może w najniższy basowy. Godnym jest także podziwienia jego talent w szybkiem zmienianiu rysów twarzy. Akcje ma nader przyjemną i zawsze stosowną do przedmiotu. Pamięć jego posiada nieśłychany zapas anegdot, które on umie ozdabiać początkami swego. Najsuchszy przedmiot staje się w ustach jego zajmującym; ciekawem jest słyszeć go przeplatającego opowiadania swoje wyimkami z najlepszych autorów perskich. Csooby jego powołania umieją trafiać w uczucia religijne, kiedy je ku celem dobroczynnym chcą zwrócić.«

Derwisz ten opowiadał powieść o Abdullahu z Korazanu, i kiedy dwaj z obecnych, nierozumiejący po persku chcieli odejść, prosił aby się zatrzymali: twierdząc, że nieznanomość tego języka, nie uwolni ich z pod władzy jego talentu. I rzeczywiście, opowiadanie wzruszyło ich równie prawie jak inne osoby, tak cudownem było wrażenie jego mimiki i tak rozmaita głosu odmiana.

Poeta jeden z Szyraz, nazwiskiem Mullah Adam, wyszedł o jedną stację za miasto, dla ofiarowania ambassadorowi napisanej przez siebie ody. W tym długim, pełnym nadętości wierszu, porównywał on moc jego z siłą Rustana bo-

hatera perskiego, jego mądrość z mądrością Piran — Wihsza, Salomona Tatarji a jego hojność z szczodrobliwością Hatim - Taja najwspaniałomyślniejszego ze wszystkich arabskich Xiążąt. — Poeta został wprawdzie za wysilenia swoje wynagrodzony, ale nie był z tego kontent, a gienjusz jego wyższą naznaczał sobie cenę.

„Znajdowaliśmy się, mówi autor, w domu leżącym przy drodze do wspaniałego ogrodu Ichan na Numy, i spoglądaliśmy oknem na nasze muły które juki do Jspahanu niosły; w tém ukazał się ów kapłan muz, niby dla pożegnania się, właściwie zaś aby odczytał czterowierszowe *Rubai* (epigramma), które kończyło się wyrazami:

„Mullah Adam nikk sa'et saft.“

Wyraz *Sa'et* ma tutaj dwoiste znaczenie: *godziny* i *zegarka*; wiersz ten przeto możnaby przetłumaczyć:

„Mullah Adam trafił na dobrą godzinę.“

albo inaczej:

„Mullah Adam dostał dobry zegarek.“

Muły z kosztownymi pakami właśnie w tej chwili przed oknami się ukazały; ambassador wskazawszy na nie, rzekł: „*Sa'et guhsesht*“ (*oto przeszła godzina, albo oto zegarek przeszedł*). Twarz poety zajaśniała na te słowa nadzieją, ale zmieniła się nagle w przymuszony uśmiech, skoro otrzymał zegarek; zapewniał nawet iż wolałby być zabrać z sobą do miasta tę odpowiedź ambassadora, aniżeli dziesięć zegarków. (

Odjazd z Szyraz — Persepolis.

Urządzenie dworu ambassadora zaczęło się w Bushire a ukończyło w Szyraz. Poprzyjmowano rozmaitego rodzaju służących, przy czem ci mieli pierwszeństwo, którzy już dawniej w czasie pierwszego poselstwa użyci byli; jeśli którego z nich nie można było przyjąć, starano się o jego brata, syna, lub którego z krewnych.

Persowie mają uprzedzającą powierzchowność; a nadto, można, powiedzieć że są z pięknego rodu ludzi. Wszyscy publiczni słudzy równie jak domowi byli ubrani w jedwabną lub sukienną odzież; przy największej czystości mieli brody porządnie wyczesane, wiedząc dobrze, że kto chciał mieć jakieś znaczenie przy dworze ambassadora, powinien był pamiętać o swojej osobie.

Z największą okazałością wyjechał ambassador z Szyraz, otoczony ceremonjantami i urzędnikami perskiemi. Cały ten orszak towarzyszył mu w ciągu podróży, w takim samym porządku, nawet w ciągu nocnych pochodów, które się podróżnym bardzo przykrzyły. Dla rozrywki życzo no sobie mieć *minstrela*, któryby opowiadaniem powieści drogę przyjemnił i krótszą uczynił. Zaledwie życzenie to wynurzono, wyskoczył stary stajenny nazwiskiem Dszusi - Beg, i podjął się tej czynności. Powiadał on iż należał do pokolenia Zendów, i w czasie kiedy głowy tej rodziny były królami Persji, nie był od nich zapomniany. »Mubrad - Ali - Hau, i Luhtf - Ali - Han, mówił stary,

te cuda dzielności, słuchali głosu mego, kiedym ich rycerzy do boju zagrzewał(*); ale chwile te przeminęły! dynastja turecka dzierży koronę Iranu(**); a ja, równie jak inni z mojego rodu, pograzony zostałem w nędzy i zapomnieniu, rymy zaś, któremi zachwycali się Xiążęta, powtarzam dziś ludziom, którzy nie są inni niż nędzni i ponizeni odemnie. Jeśli jednakże ambassador rozkazuje, będąc mu deklamował niektóre wyjątki z *Szachnameh* Firdusego, które zasługują aby na nie wojownik zwrócił uwagę.«

Minstrel ten bardzo uprzyjemnił chwile podróży ambassadzie, i oprócz pochwał ogólnych otrzymał od ambassadora kilka piastrow.

Okolica między Szyraz i Ispahanem jest pełna szczątków dawnej Persji wielkości, największym jednak jej pomnikiem jest miasto Persopolis u Greków, Elemais u żydów, Istakhur u Persów zwane. Wszyscy podróżni opisywali te wspaniałe ruiny, którym krajowcy dają nazwisko Eehl-Menar (40 kolumn) (***) . Niektórzy mniemają

(*) W Persji był długo zwyczaj, iż pewne osoby przy rozpoczęciu bitwy i w czasie jej trwania, powtarzały zapalające wiersze z poematu rycerskiego *Szachnameh*. Zmarły król Szach - Mahomed lubił ten zwyczaj, i obdarzał Bardów dowodami swęj łaski.

(**) Iran jest dawne nazwisko Persji, tak jak Turan Tatarji.

(***) W Indjach równie jak w Persji mówią czterdzięci, kiedy chcą nieznaczoną ilość wyrazić.

iz to był pałac, inni z pewnością utrzymują, że gmach ten był świątynią. Autor nie chcąc żadnych z swjej strony czynić wniosków, co do przedmiotu który tylu uczonych w błąd wprowadził, przytacza jedynie rozmowę jaką miał z przewodnikiem swoim, kiedy te pomniki wielkości starożytnych oglądał. Budowa ta podług twierdzenia Agi Mihr, miała być domem Salomona, w czém odwoływał się on do dziejów miasta Szyraz wiadomość tę zawierających. Zbyt krótki pobyt ambassady w okolicy Persepolis, nie dozwolił autorowi dokładnego zwiedzenia sławnych zwalisk, i dla tego opisu ich nie przytacza.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI.

Niektóre wiadomości o Sycyljanack. — W charakterze Sycyljanów znajdują się skłonności wrodzone które, zdolneby były może podnieść naród ten do zaszczytnego w społeczeństwie stopnia. Sycyljanie są żywi, szlachetni, gościnni, uprzejmi i dowcipni. Namiętności ich są silne, łagodzi je wszelako naturalny pociąg do życzliwości i do uczuć przyjaznych.

Szlachta, która w Sycylji nawet pod względem liczbowym stanowi bardzo znaczną część ludności, nie tylko nie żyje w własnych posiadłościach, ale ich nawet nie zwiedza, chyba w ten czas, kiedy idzie o odebranie zaległych dochodów, które wpływają zawsze w naturze, podług osobnych układów właścicieli z dzierżawcami. Zebrane dochody, szlachta i magnaci wydać pospolicie w Neapolu, a w ogólności na stałym lądzie, pozbawiając tym sposobem ojczystą ziemię moralnych korzyści, jakie wypływają prawie zawsze z zwykłych między bogatszymi i im podległymi stosunków, oraz tych błogich rezultatów jakie powstają z współubiegania się pomiędzy klasami pracującemi narodu.

Ulepszenie rolnictwa nie doznaje w Sycylji żadnego zachęcenia. Żadnej pomocy nie udzielają rolnikowi, aby go pobudzić do udoskonalenia rozmaitych działań od wieków używanych ale przeciwnie wszystkie przeszkody powstają razem przeciwko najmniejszej nowości.

Trudności i wydatki które za sobą pociąga przewóz towarów lądem, w kraju zupełnie pozbawionym dogodnych dróg i komunikacji, powiększać muszą koniecznie cenę artykułów pierwszej potrzeby. Lecz kiedy niedość ścieśnienia miejscowe wzmożą jeszcze te przeszkody, handel w nędzne przekupstwo zamienić się musi.

Klasy ubogie i robocze, zawsze bez roboty zo-

stające, prowadzi życie nieczynne, i wegetują w stanie zupełnego upodlenia, bez pomocy i zdaleka od oczu klas możniejszych i oświećszych, zostawione tym sposobem wszelkim potrzebom i wszelkim przesądom miejscowym. Wszelako, skutkiem łagodności klimatu, okropności nędzy nie są tak przerażające, a lud, pomimo ubóstwa swego, poddaje się losowi swęmu i żyje w spokojności.

(Z podróży do Sycylii i wysp Liparyjskich,
P. L. H a g h e.)

Obrzędy pogrzebowe u Sererów. — U Sererów ludu zachodniej Afryki, kiedy kto umrze, sadzają ciało na stołku, i ubierają je jak najbogaciej; jeden zaś z krewnych tak następnie do zmarłego przemawia: „Po cóż nas porzucasz? Czyliż nie mamy u siebie „wszystkiego czegobyś żądał? Kto jest ten człowiek, „ten nieprzyjaciel co cię o śmierć przyprawił?“ — Inna osoba, ukryta za ciałem, odpowiada grzecznie za niego, iż jedynie tylko pragnie być pogrzebany. W ten czas zaczynają się jęki i krzyki żałosne; ale skoro zwłoki złożą do grobu, radość zabiera miejsce żalu: wszyscy obecni śpiewają i tańczą, a obchód trwa dni osiem.

Dąb Goffa w Anglii. — O cztery mile powyżej Enfield niedaleko starego zamku Oliwjera Kromwella, daje się widzieć dąb ogromny, którego pień jest wypruchniały. Dwanaście osób może w nim zasiąść wygodnie około stołu, w tem wydrażeniu które ręka

czasu dokonała. Pomimo osobliwości swojej drzewo to nie jest powszechnie znane. W małej karczmie opodal leżącej znajduje się niezgrabny rysunek jego z napisem zaświadcującym, iż dąb ów zasadzony został w 1066 roku przez Teodora Godtrój albo Goffby, który z Wilhelmem *Pogromicielem* przybył do Anglii. —

(*Jour. des Voy.*)

Dąb nadzwyczajnej wielkości w Galicji. — W majątności Wróbléwice dziedzicznej JW. Urszuli hrabiny Tarnowskiej, w cyrkule Samborskim położonej, stoi oddzielnie na samej krawędzi pięknego lasku dębowego, ogromny dąb, nietylko nad tymże laskiem, ale nad całą okolicą górtający. W środku jego tak w pniu jako i w 2ch dzielących go w pewnej od ziemi odległości odnogach jest wydrążony. Zwyczajem miejscowym bywa, iż tam zgromadzają się dla zabawy dzieci wiejskie i mieszczą się w wydrążeniu rzonego dębu, z kądem potem jak pszczoły z ula wylatują; w samym pniu może ich pomieścić się 50, a w 2ch odnogach w każdej po 6. Dąb ten mimo wydrążenia swego, w najlepszym ciągle zachowuje się w stanie świeżości; kilka osób potrzeba aby go objąć można, przeto jest go w około łokci piętnaście.

(*Z Kur. War.*)

GAZETA PODRÓŻY i JEOGRAFJI.

NIEMCY. Na dniu 17 Paźdz. 1828 umarł w Gotha Dyr. wojenny Reichard. znany z mnóstwa pism jeograficznych: a mianowicie z dzieła *Guide des Voyageurs en Europe*.

—P. Ferd. De ppe, który r. z. w towarzystwie Dra Schiede przedsięwziął z Kasslu drugą podróż swoją we względzie nauk przyrodzonych do Meksyku, przybył w d. 1 Lipca do Vera-Cruz. — Wkrótce udali się obadwa do *Xalapa*, gdzie rozpoczęli prace swoje pośród bogatego roślinienia tej ziemi. Pierwszy zbiór roślin częścią zasuszonych częścią świeżych wysłali już do Europy.

—W różnych okolicach nad *Renem* panowały w zeszłym miesiącu trzęsienia ziemi, trwające wszędzie po kilka sekund. Z tych było najsilniejsze w *Akwisgranie*, gdzie mieszkańcy jednej z ulic tegoż miasta tak byli przestraszeni, że opuszczali swe domy.

SZWECJA. *Thunberg* jeden z następców *Linneusza* w Uniwersytecie *Upsalskim*, umarł d. 8 sierpnia r. b. w 85 roku życia. Uczył on w Uniwersytecie *Upsalskim* Botaniki przeszło lat 5.; z niezmierną gorliwością przebiegł wszystkie części świata w celu badania natury, i należał do znacznej liczby towarzyszt uczonych na obu półkulach.

NIDERLANDY. P. *Jacometti* kapitan brygu antwerpskiego *Eliza*, płynąc około przylądka *Dobrej nadziei* na d. 6 Kwietnia r. b. pod 37° 31' szer. pół.

a $18^{\circ} 7'$ dług. wsch. napotkał 5 wysp lodowych. Z odległości $\frac{1}{4}$ mili wysokość ich zdawała się wynosić od 150 do 300 stóp. Podobne były do wież wybiegłych, jedna zaś była płaska i szeroka. — Podobne góry lodowe widziały holenderskie okręty w 1789 r. pod $37^{\circ} 22'$ i $38^{\circ} 44'$ szer. pół. a $43^{\circ} 41'$ i $42^{\circ} 50'$ dł. wsch. Góry te miały być od 300 do 400 stóp wysokie.

— Osada *Bencoolen* znajduje się w bardzo nędznym stanie. Wielu mieszkańców opuszcza miasto i grunta prawie żadnej nie mają wartości. Cała linja budowli które kosztowały kompanję wsch. ind. 20,000 talar zakupiona została za 300 talar. przez władze niderlandzkie. Toż samo dzieje się z należącemi do tej osady południowemi okolicami, które mają 60,000 mieszkańców. Holendrzy nie mogą utrzymać w karchach posłuszeństwa mieszkańców, a ztąd powstają bezkarne morderstwa i zniszczenia wsi całych.

ROSSJA. Młody malarz *T a u n a y*, który należał do wyprawy rosyjskiej w głąb Brazylii przedsięwziętej, utonął w rzece *Guapari*, chcąc ją przepłynąć.

GRECJA. Powszechna Gazeta Grecji zawiera następującą statystykę *Hydry*, z powodu wyborów Demogerontów: wyspa ta ma domów 3154 — mieszkańców urodzonych także 11,515 — obcych 3177 — Obwodów parafjalnych 55, z których każdy wysłał jednego wyborcę.

FRANCJA. Pewien inżynier francuzki, który przez długi czas zatrudniony był wymiarami trygonometrycznemi oraz wysokości na górze *Jura*, miał się

przekonać, iż najwyższym punktem na tym gór-
nuchu nie jest ani *Reculet*, ani *Dole*, ani *Mont tendre*,
ale miejsce jedno w okolicy Gex, powyżej Thony.
Pasterze nazywają to miejsce *Pré Marmiers*.

— Towarzystwo jeogr. paryżkie przeznaczyło było na-
grode podróżnemu, któryby się dostał do tajemni-
czego miasta *Tombuctu*. Ten aż dotąd niedokonany
zamiar udał się pomyślnie młodemu francuzowi na-
zwiskiem *Caillé*. Szczęśliwy ten wędrownik, po
18 miesiącach bardzo niebezpiecznych podróży po
Afryce, przybył ztamtąd do Tulonu; przywiózł on z
sobą listy P. Delaporte konsula w Tangerze do Tow.
jeograficznego. — W piśmie z 10 paźd. przesłanem
prezcsowi tegoż Towarzystwa mówi *Caillé*: D. 19
kwietnia 1827 opuściłem *Cacandi* (*Cacondi*), leżące
nad Rio-Nunez, i przyłączyłem się do karawany ku-
pców mandygijskich, która w górę Nilu się udawa-
ła. Mój arabski ubiór i naśladowanie zwyczajów re-
ligijnych krajowych pomogły mi do przewyciężenia
wszelkich trudności, jakie są nieodłączne od téj utru-
dzającej podróży. Przebyłem bez przeszkody wyso-
kie góry Senegambji i Futa Czallon, przeszedłem przez
Kauka, Wassulo i t. d. i przybyłem nakoniec do Time,
wsi przez Mandingów mahometan zamieszkaney, w
części południowej Bambarry leżącej, gdzie z powo-
du choroby przez pięć miesięcy pozostać byłem przy-
muszony. D. 9 stycznia 1828 udałem się w dalszą
podróż, zwiedziłem wyspę i miasto Dszinni, i pu-
ściłem się na rzece Nigrze statkiem około 60 beczek
ciężaru, który do *Tombuctu* był przeznaczony. Po

bardzo przykrój i trudnej podróży miesięcznej przybyłem do Kabra (*), niejako portu miasta Tombuctu. — Samo miasto leży na piaszczystej równinie, na której rosną jedynie bardzo nędzne krzewiny. Zostałem tam przez dni 14, i przyglądałem się obyczajom i zwyczajom mieszkańców, handlowi, i źródłom przemysłu krajowego, i zebrałem wszelkie wiadomości jakie tylko zebrać można było. Nakoniec puściłem się ku północy i przybyłem do *Él-Arawan*. Miasto to leży o 5 dni drogi na północ od Tombuctu, i jest składowym miejscem na sól, którą do *Sansanding* i *Jamina* prowadzą. *Él-Arawan* leży w dzikiej i jałowej zupełnie okolicy, a skwarny wiatr wschodni wieje tu nieustannie. — Ztąd udałem się w dalszą ku północy drogę, i przybyłem do źródeł *Talighy*, ośm dni od *Arawan* odległych; dalej zaś zapuściłem się w pustynie ku północo-zachodowi. Powierzchnia ziemi składa się tu z ruchomych piasków i z opok szarego kwarcu, z białym pomieszanego. Po dwumiesięcznej podróży połączonej z najstraszliwszym niedostatkiem potrzeb do życia, przybyłem nakoniec do *Tafiletu*, a ztamtąd przez *Fez*, *Mequinez*, *Rabat*, do *Tangeru*.“

— Towarzystwo jeograficzne w Paryżu przyznało na posiedzeniu dnia 16 grudnia, wyznaczoną za podróż do środkowej Afryki nagrodę 12,000 fr. temuż panu Caillé.

(*) Miasto nad Nigrem niedaleko od Tombuctu ku południowi leżące.

—Pan Brunnel znajdował się dnia 5. grudnia na posiedzeniu akademji w Rouen, której jest członkiem, i czytał na niem objaśniające uwagi nad dziełem olbrzymiem, które w Londynie rozpoczął; w końcu zapewnił, że żadna przeszkoda nie wstrzymuje już zupełnego tryumfu drogi podziemnej.

—Do licznych dzieł o statystyce Francji, w latach ostatnich wydanych, przybyło nowe i od poprzednich nierównie obszerniejsze dzieło tego rodzaju. Wydawcą jest P. Girault de S. Fareau. Całe dzieło obejmować będzie 86 części, podług departamentów i cena jego po ukończeniu wydania wyniesie 2,100 złtp. Opis każdego departamentu stanowić ma osobne dzieło, przyozdobione mappami, wizerunkami najślawniejszych urodzonych w nim mężów, wyobrażeniami ubiorów i t. p.

—Podróżny Revergie wysłany przez ministra spraw wewnętrznych dla zwiedzenia prowincji Akhalzik i Kars. stanął szczęśliwie na miejscu i zamyśla opisać kopalnie żelaza w Elizabetpolu, niemniej góry Bambaki i Samkheti.

ANGLJA. Ludność wysp Faro, leżących na północ szkocji, a do Danji należących, która w rozmaitych statystycznych dziełach mylnie oznaczaną była, wynosi podług urzędowych poddań 5336 osób, między którymi 2208 osób nie mających lat 15.

—Rząd angielski ma zamiar założenia nowej wielkiej osady na zachodnich brzegach Nowej Walji południowej, naprzeciw portu Jackson, pod tąż samą szerokością.

— Dr. Morisson zajmuje się ułożeniem *Słownika* dżalektu Kantonu, który ma być drukowany łaćniskimi literami w drukarni kompanji w Chinach. Dżalekt ten w ogólności zbliża się więcej nierównie do mowy kraju, aniżeli dżalekt Fokjów, którym mówi większa część Chińczyków osiadłych w krajach zagranicznych. P. Medhurst misjonarz, który przebywa na wyspie Jawie, ułożył słownik tej ostatniej mowy. Dżalekt Mandarynów używany jest przez mandarynów i na dworze, równie jak przez wszystkich mieszkańców Nankinu, Seczuów i innych prowinoji; ma on wszelako kilka gałęzi. Panująca rodzina wprowadziła wymawianie tatarskie, podług którego np. *Peking* nazywają *Pciczyng*, a nawet *Peit-sing*.

— Nadeszły dostateczne wiadomości o zamordowaniu sławnego majora *Linga*. Nieustraszony ten wędrownik dostał się do Tombuctu, i tam przez znaczny przeciąg czasu zostawał, ale we 3 dni po wyjeździe ztamtąd, między 21 września i 1 października 1826 został na drodze do Segu zamordowany. Wiadomość tę odebrał teść jego P. Warrington konsul angielski w Trypolis (*).

(*) Dziennik *Times* ma tę wiadomość za płończą; ale inne dzienniki nie dzielą tego zdania, ponieważ zbyt wielkie tu jest prawdopodobieństwo i przekonanie moralne. Przydać do tego należy świadectwo P. Caille, który był w Tombuctu; słyszał on w czasie swego tamże pobytu o zamordowaniu jakiegoś Europejczyka, który na krótki czas przed nim zwiedzał Tombucta.

— Porucznik L. Ruís przybył z Boliwji dó Matto Grosso, dla przewiezienia pewnych depeszów do Paragway, które mają przyspieszyć oswobodzenie sławnego badacza natury Bonpland. Porucznik ten otrzymał za pozwoleniem cesarza Don Pedro wszelką potrzebną pomoc od Brazylijskiego Wiceprezydenta Matto Grosso.

AMERYKA. Dnia 9 października założono w Alabana, w zjedn. krajach Ameryki północnej, kamień węgielny pod gmach uniwersytecki. Przed 30 laty były w tém miejscu, gdzie to miasto stoi, — same bory.

NOWE DZIEŁA.

— Drukarnia Gałęzowskiego i komp. w Warszawie ogłosiła prospekt na wydanie *Atlasu historycznego, chronologicznego i jeograficznego Polski*. Dzieło to ułożone przez młodą Polkę na wzór francuzkiego Atlasu L. Sage, którego 16,000 exemplarzy się rozszło, wyjdzie w 8 arkuszach drobnym drukiem. Cena prenumeraty w Warszawie złtp. 54 na prowincji złtp. 60.

— *Etymologisch-topographische Beschreibung der Mark Brandenburg* — przez P. Hermesa.

— *Neapel wie es ist*, (Neapol w obecnym stanie) przez W. Lüdemana.

— *Venedig wie es war und wie est ist* — (Wenecja w dawnym i w dzisiejszym stanie) przez tegoż.

- *Spaziergänge in Rom* etc. (Przechadzki po Rzymie — przełożone z ang. na niem. przez tegoż).
- *Tommasini's Spaziergang durch Kalabrien* etc. (Przechadzki w Kalabrii i Apulji przez Tomasinięgo.
- *Morea und seine Bewohner* etc. (Morea i jej mieszkańcy, z dołączeniem uwag nad Konstantynopolem — przez M. Lischke).
- *Bemerkungen auf einer Reise durch England* etc. (Postrzeżenia w podróży przez Anglię przez G. Broiling — przełożone z szwedzkiego na niem. przez P. Blumhof. 2 części 8vo).
- *Generalin v. Minutoli Reise nach Aegypten* etc. (Podróż jenerałowej Minutoli do Egiptu, przełożona przez W. Gersdorf).
- *Charakter der vegetation auf den Inseln des indischen Archipels*. (Charakter roślinienia na wyspach Archipelagu Indyjskiego — Rozprawa, czytana przez P. Reinwardt na ostatniem posiedzeniu niemieckich badaczy natury w Berlinie odbytem).
- Dzieło Coopera *Notions of the Americans* wyszło w przekładzie niemieckim pod tytułem: *Die Nordamericaner, geschildert von einem reisenden Junggesellen*.
- *Dictionnaire geogr. universel de Vosgien, et pour la France spécialement* wypracowany przez P. Parisot.
- Wyszło w Paryżu powtórne wydanie dzieła P. Simond pod tytułem: *Podróż we Włoszech i Sycylii*, oraz powtórne wydanie dzieła P. Ancelot

Six mois en Russie. (Sześć miesięczny pobyt w Rossji — w Paryżu 1828.)

—Przekład z ang. na franc. dzieła P. Walsh p. t. *Podróż do Turcji*, uskuteczniiony przez PP. Rives i Villemain wyszedł z druku w Paryżu 1828.

—*Atlas geograph. stat. hist. et chronol. de deux Amériques et des Iles adjacentes.*— Atlas ten ułożony został podług sławnego atlasu przez Lesage wydanego; składa się z 63 kart arkuszowych.

—*Atlas universel* przez Lapie. Oddział 1szy.

—*Dictionnaire Universel des Geographies Phys. Hist. Polit. et commerciales* przez P. Masselin.

—*De l'influence des femmes sur les moeurs et coutumes des peuples*— przez J. Mongellaz.

Spis przedmiotów zawartych w Tomie IV.

- Życie i podróże Krzysztofa Kolumba przez Washingtona Irving. 4. Tomy in 8 w Londynie (Dokończenie) 3
- Wiadomość o Araukanach. 26
- Anglja i Szkocja. — Przypomnienia z Podróży roku 1820-1824 odbytej przez Krystyna Lacha-Szyrmę — Tom II. (Dokończenie) 38
- Wiadomość o podróży P. Laborde odbytej na Wschodzie. 65
- Przejazdka do Rangoun w Państwie Bir-

manów. Wyjątek z listu podróznego z d. 18 Paździer. 1826.	72
— Podróż z Sirepty do rozmaitych hord Kałmuckich gubernji Astrachańskiej, przedsięwzięta w interesach Towarzystwa biblijnego Rossyjskiego, przez PP. Henri., Augusta Zwicka, J. B. Schilla	78
— Wiadomość o rządzie, obyczajach i przesądach mieszkańców kraju Walo, przez Barona Roger, byłego wielkorządcę osady francuzkiej Senegal.	121
— Podroże PP. Ward i Beaufoy do Meksyku	136
— Wiadomość o ludach Australję zamieszkujących, jako to: Papuach Tasmanjanach, Alluruaach i Australjanach, przez PP. Lesson i Garnot.	145
— Wypis z dziennika podróży odbytej w roku 1828, w celu zwiedzenia celniejszych w Europie zakładów dobroczynnych i wiezień, przez Eustachego Marylskiego Mag. U iw. Warszawskiego	177.256
— Wiadomości o Persji.	193-268-312
— Wiadomość o podróżach i odkryciach, jakie w Afryce dotąd skutecznie zostały.	233
— Podróż do Islandji i do góry Hekli w roku 1827 odbyta.	290

Rozmaitości.

— Wiadomości o wyprawie P. Durmont Duville, kapitana fregaty, dowodzącego korwetą Astrolabe.	62
— Pasożytne grzyby.	62
— Komunikacja spławna między oceanem Atlantyckim i wielkim oceanem.	63
— Adrjanopol.	97
— Nowe szczegóły o Pułkowniku Denham.	98
— Waz morski.	100

— Chwywanie węzów.	101
— Szczególniejszy wieloryb.	101
— Starożytności około Moskwy.	102
— Nadzwycza na żarłoczność weża.	102
— Wzmianka o Polaku Pazowskim.	102
— Odkrycie szczątków zwierzęcych kopalnych w Anglii.	103
— Szczątki zwierzęcych kości znalezione nieda- leko Lwowa.	103
— Przezorność ryb.	104
— Odkrycie starożytności w Rzymie i Hercula- num.	104
— Nadzwyczajnej wielkości pająki.	105
— Wytrzymałość węża.	105
— Nowy gatunek drzewa.	105
— Trzęsienie ziemi w Peru.	106
— Sposób pomnazania liczby potraw.	106
— Ulepszenie stanu zdrowia w Genewie.	107
— Miejsce przeprawy Cezara przez Tamizę.	107
— Wieczór między Otaitanami w 1827 roku.	108
— Zgon młodego Mungo - Parka syna sławne- go wędrownika tegoż nazwiska.	111
— Śmierć Chorisa Rossjanina.	113
— Niektóre szczegóły o krajach zjednoczonych Ameryki północnej.	114
— Obyczaje patryarchalne we Włoszech.	118
— Wiadomości najświeższe o nowej osadzie angielskiej przy brzegu Afryki Fernando-Po.	119
— Radjah Bidini.	160
— Naga - panthami.	162
— Skala miedziana niedaleko rzeki Ontonagon.	164
— Almanach Cesarski w Chinach.	165
— Nowa osada na wyspach Kiling.	167
— Śmierć Pułkownika Denham.	168
— Postępy komunikacji w krajach zjednoczo- nych północnej Ameryki.	169
— Liberja.	170
— Z podróży Majora Denham.	170
— Męczennicy Indyjscy.	171
— O Angielskiej osadzie na wyspie Ascension	

(wniebowstąpienia).	171
— O Upiorach	226
— Teby Egipskie	285
— Drzewo zwęglone	285
— Żegluga na statkach parowych po morzach Indyjskich.	285
— Szczatki przedpotopowe	286
— Odkrycie nowego jeziora w Nowej Holandji	287
— Nieznany zwierz dziki.	287
— Wyspa Chiloe.	287
— Niektóre wiadomości o Sycyljanach.	333
— Obrzędy pogrzebowe u Sererów.	335
— Dąb Goffa w Anglii	335
— Dąb nadzwyczajnej wielkości w Galicji	336
Gazeta podróży i jeografji.	337
Nowe Dzieła.	64-176-232-288-345

NAZWISKA PRENUMERATORÓW. c

Adamski Michał.

Badowska

Bechon A.

Białkowski Ass. pr. K. W. Krak.

Biblioteka Teatru Narodowego

Biegański Jenerał.

Bienkowski Antoni Sen. Kaszt. K. P.

Biernacki Prezes Tow. Kr. W. Kal.

Blumer Jenerał.

Borzęcki Tadeusz Patr. Tr. W. Płock.

Bronikowski Kom. Obw. Koniń.

Bronikowski Xawery.

Broździnski X. R.

Brzeziński Wojciech Patr. Tryb. C. W. M.

Chodynicki Leon Inz. w D. D. i M.

Cholewiński.

Christiani Xawery Dyr. Jener. Kor. Kr. D. i M.

Chrzanowski Ignacy.

Cichocki.

Cielecki Urz. K. R. P. i S.

Ciświcki Leon Sekr. Tr. C. I. Inst. W: S.

Czaputowicz Józef Patr. Tr. C. W. San

Dembiński Felix PPor. Rak. konnych.

Dębski Stanisław Urzęd. K. R. P. i S.

Dydak Ernest Patron Tryb. W. Płoc.

Dyzmański.

Dwernicki Prezes Tr. W. Kal.

Fechner Franciszek Kapitan.

Gawarecki Hippolit Prokur. T. C. W. Pł.

Ginałski Jan Patron Tr. C. W. Sand,

Gmehling Stanisław Sekr. K. R. W.

Gniewosz.

Golanowski.

Graff Radca Górnicy.

Greyber.

Gydelski.

Hauke Ludwik Radca St. Nacz. W. Gór.
Hoppen Karól.
Horehład Józef Rad. Nadw.

Jagmin Bonifacy Pułkownik.
Jakubowski X. Adam Prof.
Janikowski Andrzej Dr. Wd. i Chir.
Jasiński Erazm Pis. S. P. P. W. Sand.
Jawornicki Felix Pis. Tr. Cyw. W. S.
Jenicz.
Jonczewski Konstanty Urz. Kom. R. S.W. i P.

Kaczkowski Jan.
Kawiarnia w pał. Chod.
Kiel Rotmistrz Gw, Wołyń,
Kochanowska.
Köhler Józef.
Komitet Cent. Policji.
Korczakowski.
Kosminski Antoni.
Kozmian X. Biskup.
Kraiński Wiktor Kassjer T. C. W. Sand.
Kranas W. F.
Krupski.

Krzyżanowski Adrian Prof. Uniw.
Lach Szyrma Krystian Prof. Uniw.
Lapierre Jan Urz. K. R. P. i S.
Laškiewicz.

Lelewel Joachim.

Lewiecki Piotr. Rach. i Płat. w D. D. i M:
L... S...

Lipski Wojciech.

Łanowski Andrzej.
Łapiński Xawery Dyr. Kanc. w K. R. P. i S.
Łapiński Korneli Urz. K. R. P. i S.
Łapiński Paweł Por. Rak. konnych.
Łacka Eleonora.
Łojewski Patr. T. W. Kal.
Łowiński Ignacy Kassjer M. R.
Łukaszewisz Por. Art.

Majer

Majewski Mecenas S. N. I.
Makowski
Makrot
Malcz Dr. Md. i Chir.
Malcz Bogumił Patron Tr. C. W. M.
Mieszkowska Marszałkowa.
Milewski Karól Ur. K. R. W. R. i O. P.
Morawski Karól Inż. D. D. i M.
Morawski
Myło Edward.

Nakielski Major.
Narbutt. Kap. Gw. Pol.
Niemojewski Teodor.
Norwid Jan Kom. Obw. Marjam.
Orłowski Michał Urz. K. R. P. i S.

Paschalis.
Piątkowski.
Pióro Łukasz Patr. Tr. C. W. S.
Piwnicki R. S. Prezes K. W. Kal.
Płużański Major.
Posturzyński Jan Patr. T. W. S.
Prószyński Major.
Przybyłowski Kom. w K. W. Kal.
Puchalski Administrator.
Pusch Prof. Szk. Gór, Asses. W. G.

Radwan Pułkownik.
Radzicki Kom W. K. W. Kal.
Regulski Pułkownik.
Reklewski Łukasz Ref. W. G.
Resursa kupiecka stara.
Resursa kupiecka nowa.
Roztworowski Hr.
Rutkowski PPisarz S. P. P. Kal.
Rycerski Błażej Kom. W. Sand.
Rychłowski Władysław PPis. S. P. P. W. M.

Sałacki Pułkownik.
Sattler Jan Kas. K. W. M.
Sierawski Julian Jenerał.

Skórkowska Katarzyna.
Skwarski Klemens.
Sokołowski Kajetan P. T. S. W. L.
Solecki Józef.
Sołtyk Franciszek Poseł.
Straszewski Florjan.
Swiechowicz Ludwika.
Szamota Franciszek.
Szembek
Szemiot
Szkoła Zamojska.
Szkoła Woj. Pinczowska.
Sztanderski Jan S. T. W. S.
Toczyński X.
Tomaszkiewicz Urz. K. R. P. i S.
Trzetrzewiński Ur. K. R. P. i S.
Twardowski Por.
Uniatycki Pis. S. Appel.
Waligórski Józef PPor. Rak. piesz.
Watson Edward K. W. Sand.
Węgierski X. Kan.
Wielogłowski Radca St. Pr. K. W. Krak.
Wiśniewski.
Witkowski Augustyn Prez. Tr. W. S.
Wodzicki Stan. Hr. Prez. Sen. Rz. Krak.
Wolicki
Zakrzewski Hilary Ins. K. D. i M.
Zawadzki adw. S. A.
Zille.
Żywult Major.

Nazwiska prenumerujących na pocztamtach nie są
Redakcji wiadome.

Pamiętnik Kolumb wychodzić będzie w następującym roku, Redakcja przeto Szanownych Prenumeratorów o wczesne zapisanie się na kwartał przyszły uprasza.



